

Z PRUSKIEGO ZABORU



110908

RENÉ BAZIN

Z PRUSKIEGO ZABORU

(RODZINA OBERLE)

PRZETŁOMACZYŁ

ZA POZWOLENIEM AUTORA K. M.

Tow. Przemysł nauk w Przemyślu.
3299
VI-3-49


~~BIBLIOTEKA~~
URZĘDNI. TOW. WZGL. HB. W KRAKOWIE
~~SEKON. IV.~~

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1902

A-18254



1000173370

Odbitka „Czasu“

BIBLIOTEKA
UMCS
LUB. JN

Literat. 13

K. 1160/56/2308

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“

I.

W zimową noc w Alzacyi.

Księżyc wschodził nad oparami, znaczącymi łożysko Renu. Zstępujący górką ścieżką z Wogezów bacznym strzelec, na widok nagłego rozwidnienia nocy, wśród rzadszego w tym miejscu zagajenia, cofnął się, by w głębszem schować się cieniu. Ale to przelotne spojrzenie z polanki nagłem oblanej światłem, wystarczyło, aby w nim wzbudzić żywsze poczucie tej przyrody, wśród której żyć mu przyszło. Uczuł dreszcz rozkoszy. Czas był spokojny i zimny. Doliny i uroczyska przesłaniały się lekką mgłą, nie zbudziły się jeszcze były wonie dzikich kwiatów i jagód leśnych, ale w powietrzu płynął ów zapach właściwy a bezimienny, niezależny od pory roku, złożony z żywicy, zeschniętych liści, wschodzącej trawy, pękającej drzew kory, nareszcie z tchnienia mchów, tego nieśmiertelnego lasów kwiatu. Wędrowiec pełnymi piersiami wchłaniał te ulubione zapachy, pił je chciwie, a choć przywykł był oddawna do tych nocnych uroczystości leśnych, do tych blasków i tych woni i szmerów, nie mógł powstrzymać cichego okrzyku: „Niech żyje zima! Wiwat Wogezy moje! nie potrafili was

zepsuć!“ Zaczem podniósł laskę, aby jeszcze zciszyć kroki swoje po igliwiu i piasku i zwrócił się do niemego swego towarzysza:

— Ostrożnie, Wiernuś, stąpaj ostrożnie! Jakże tu dziś pięknie!

Pocziwy piesek zrozumiał snąc zakłęcie, bo pomknął dalej, sunąc tak lekko, jak przedzierające się przez gęstwinę promienie cichego miesiąca.

Niebawem pełniejsze światło przedarło się przez gałęzie miecąc przed sobą cienie, wydłużając stoki gór, strojąc pnie drzew w gwiazdziste pasma i wytworzyło jakiś las nowy, pół błękitny, pół ciemny, o którym jasny dzień żadnego dać nie mógł wyobrażenia. W dziesięć minut nastąpiła ta czarowna przemiana, żadnem nie zapowiedziana drgnięciem ni zakłęciem. A tym czasem p. Ulryk Biehler schodził dalej, ogarnięty rosnącym wzruszeniem, przemykając się ostrożnie wśród gąszczu, na podobieństwo sarn, spieszących o tej porze ku źródłom.

Ten wędrowiec, pełen młodych zapałów, nie był jednak młodym człowiekiem. Ulryk Biehler, a raczej jak go powszechnie w okolicy nazywano, pan Ulryk, — dochodził lat sześćdziesięciu, o czem świadczyły przyprószone siwizną włosy jego i broda: posiadał jednak niegdyś więcej od innych młodości, tak, jak bywają ludzie bardziej w urodę lub męstwo uposażeni, i z tego zasobu dużo mu jeszcze pozostało. Siedziba jego znajdowała się na stoku góry Świętej Odyli, na 400 metrów wysokości. Była to leśniczówka bez żadnych przyległości, okrom polanki, na której stała, oraz małego sadu, raz po raz sroższą zimą niszczonego. — Chatę tę odziedziczył był pan Ulryk po ojcu, który tu niegdyś spędzał czas wa-

kacyj, on zaś przez cały krągły rok w tem pustkowiu samotnie przesiadywał, acz mu nie brakło przyjaciół w dolinie. Nie był odludkiem, ale nie rad życie swe z innymi dzielił. Otaczał go pewien legendowy urok. Opowiadano, iż w r. 1870 odbył był całą kampanię w srebrnym hełmie, z którego spływały zamiast pióropusza złote włosy niewieście. Nikt nie umiał sprawdzić tej legendy. Jednemu wszyscy świadczyli, że wśród dragonów francuskich nie było bodaj żadnego dzielniejszego jeźdźca, waleczniejszego żołnierza, lepszego towarzysza broni, gotowego zapomnieć o własnej biedzie, aby nieść ulgę drugim.

Właściciel Heidenbruchu na górze św. Odyli, pan Ulryk, pozostał Francuzem pod jarzmem niemieckiego zaborcy. Zuosił tysiączne przykrości, byle dalej oddychać powietrzem ukochanej Alzacyi. Umiał zachować przygodą godność w tej roli zwyciężonego, którego miejscowe władze cierpią tylko i podglądają ustawicznie. Nie dawał się przymusić do żadnych ustępstw, do żadnego sprzeniewierzenia się swej miłości dla Francyi, ale jednocześnie stronił od wszelkich marnych demonstracyj, miał wstręt do prowokacyj daremnych. Obiegał ustawicznie Wogezy, posiadał bowiem na różnych miejscach kawałki lasu, około którego umiejętnie chodził i wielkiego zażywał poważania wśród handlarzy drzewem. Dom jego, od wielu lat żalobą zamknięty, sływał z wygodnego i nawet wykwintnego wewnętrznego urzędzenia. Rządscy goście, którzy tu z Francyi lub Alzacyi zabiegali, chwalili sobie uprzejmą gościnność gospodarza. Lud okoliczny osobną dla niego żywił przychylność, mianowicie ci wieśniacy, którzy z nim niegdyś walczyli w jednych szeregach. Lecz i synowie ich uchylali życzliwie kapelusza,

ilekroć pan Ulryk przechodził wzdłuż ich winnicy, czy pola.

Poznawano go zdaleka po wyniosłym wzroście, po lekkiej zawsze odzieży, wyłącznie w kolorze ulubionych drzew, od ciemnego odcienia orzechów, do jaśniejszego koloru dębiny. Suchy i gibki, nosił zaostrzoną brodę, która wydłużała jeszcze twarz bladą, bezkrwistą, lecz i niewielu pooraną zmarszczkami. Usta, z pod siwego wąsa nie rzadko się do uśmiechu rozchyłały, nos kościsty świadczył o szczepowej przynależności; szare źrenice, zwykle łagodne i mądre, przybierały dumny, wyzywający wyraz, gdy wspomniano przed nim Alzacyę. Dość rozwinięte czoło dodawało coś romarzonego temu obliczu wojownika, wieńcząc się siwym, najeżonym, krótko przyszczyżonym włosem.

Tegoż wieczora pan Ulryk wracał z poręby, którą posiadał w dolinie Bruchy i służba nie spodziewała się już, aby powtórnie z domu wyszedł, gdy po obiedzie odezwał się do starej Lizy, usługującej mu przy stole:

— Siostrzeniec mój, Jan, musiał dziś przybyć do Alsheim i mógłbym do jutra poczekać, aby go tu powitać. Wolę jednak już dziś tam go zobaczyć. Zostaw klucz na przyzbie i idź spać, bo nie wiem, kiedy wrócę. — Gwizdnął na Wiernusia, chwycił za laskę i po chwili zagłębił się w lesie.

Pan Ulryk swoim zwyczajem ubrany był w brunatną, opiętą kurtkę myśliwską z taką czapką aksamitną. Szedł przyspieszonym krokiem i rychło też ustronnemi ścieżkami doszedł do bitej drogi, wiodącej pielgrzymów ku świątyni św. Odyli. Malowniczą tę miejscowość przewodnicy wskazywali turystom. Stąd bowiem rozwartość górskich

stoków pozwalała ogarnąć część alzackiego kraju, umajonego łąkami i łanami, urozmaiconego wioskami, z sinem pasmem Czarnego Lasu na krawędzi widnokresu, z srebrzącą się w dali linią Rennu, z potokiem, wytryskującym w górze, aby poniżej wartko płynąć przez Alsheim.

Mimo cieniów nocy, p. Ulryk spojrział przed siebie, wiedziony przywyknieniem, ale z całego krajobrazu, zatopionego w stalowym mroku, ujrzał tylko wśród drzew migocące w górze gwiazdy, w dole zamglone światelka ludzkiej w Alsheim osady. Wspomniał na siostrzana, którego za chwilę do piersi miał przytulić i spytał sam siebie: „Jakimże go odnajdę? Czem on będzie dziś po trzechletniej nieobecności, po trzechletnim w Niemczech pobycie?”

Ale przystanął zaledwie na chwilę, aby wnet puścić się na przełaj krótszą drogą, a raczej bezdrożem wśród gęstych buków. Zeschłe liście załęgły ziemię, niby jasną wytwarzając posadzkę, z której wyrastały blade pnie, jakoby filary, podtrzymujące sklepienie zwartych, lecz odartych z liści gałęzi, przez które przezierały blaski księżycowe. Harmonię linii tu i owdzie mąciły przysiadłe u stóp olbrzymów leśnych krzewy. Dalej zwarte świerki, wytwarzały niby ściany tajemniczego, walącego się przybytku.

Nagle pan Ulryk usłyszał drobny szelest, nie-dościgły bodaj dla mniej wprawnych uszu. Kamyk strącony gdzieś w górze, toczył się coraz prędzej na pochyłości, aż nareszcie zapadł się w przepaść i wszystko ucichło. Ale po chwili nowy znów kamyczek, jeszcze drobniejszy, w ten sam zatoczył się sposób. Wiernuś mrużąc, przycisnął się do swego pana, najeżywszy sierść niespokojnie.

— Cicho, piesku, nie trzeba mnie zdradzić!

I skoczył za pień grubego buku, domyślając się, iż ktoś się przybliżył. Jakoż niebawem z świerków gęstwiny wyłonił się tułów dyszącego wysileniem konia. Zbyt stroma pochyłość, wymagała takiego naprężenia muszkułów, że koń posuwał się naprzód, jakoby podskokami, próbując wryć przednie nogi w miękkie trawy i liści zeschniętych kobierzec, który się uginał pod kopytami, wydobywającemi perlistą z głębi rosę. Przechylony na kulbace jeździec, w jasno niebieskim mundurze, trzymał w ręku lancę, jakby gotów niewidzialnego wroga odeprzeć. Sapanie konia zlewało się z przyspieszonym oddechem jeźdźca, świadectwem podwójnego wysiłku. Niebawem wędrowiec mógł rozeznać żółte wyłogi moduru, wysokie buty, pałasz u olster zawisły, zaczem poznał jeźdźca z pułku huzarów nadreńskich, stojącego garnizonem w Strassburgu; wnet na czarno-białej lancy chorągiewce mignął żółty orzełek, — oznaka podoficera, a wraz uwydatniła się twarz wygolona, krwista, o rdzawych, dzikich i niespokojnych oczach, przeważnie, ku prawej zwróconych stronie. Ulryk poznał Gotfryda Hamma, syna policyanta z Obernai, wachmistrza huzarów nadreńskich. Jeździec przesunął się obok drzewa, zasłaniającego wędrowca, cień jego padł na nogi Alzarczyka i na mech sąsiedni. Raz jeszcze obejrzał się, zawsze patrząc na prawo. Spojrzenie pana Ulryka za nim biegło. I oto na tej samej linii dostrzegł w oddali, najprzód drugiego, potem trzeciego i czwartego jeźdźca, którzy wszyscy wspinali się w górę. Za nimi domyślał się obecności innych jeszcze koni, innych żołnierzy. Wtem coś błysnęło w mroku: był to rozkaz, za którym wszyscy ci ludzie, pomykający jak cienie zrobili

w miejscu zwrot na prawo, i uszykowawszy się rządkiem, dalej w milczeniu tajemniczego dopełniali manewru.

Jeszcze przez chwilę słychać było szelest liści, szmer poruszanych gałęzi, aż wszystko ustało i niema, bezludna noc znów niepodzielnie zapadła: — Straszny to przeciwnik, pomyślał pan Ulryk, który we dnie i w nocy nawet nie przestaje się ćwiczyć. Niewątpliwie musiał być z nimi oficer, bo wszyscy w jedną patrzeli stronę, a gdy podniósł pałasz, bliżsi ujrzeni stal, błyszczącą w świetle księżyca i wszyscy zawrócili. A jak się to odbyło cichutko!

— Gdyby tak czas wojenny, byłbym zdołał bodaj z dwóch uprzętnąć.

Poczem, zauważywszy, iż pies spokojnie się w pana swego wpatrywał, kręcąc ogonem, pan Ulryk dodał:

— Już sobie poszli... I ty ich także nie lubisz, nieprawdaż?

Odczekał jeszcze chwilę, aby się zapewnić, że patrole nie wrócą. Nie rad spotykał niemieckich żołnierzy. Cierpiał przytem w mężnej dumie zwyciężonego, cierpiał w wierności swej dla Francyi, cierpiał w zawodnej nadziei wciąż odraczanej nowej walki. Nieraz przychodziło mu sporo nadłożyć drogi, byle sobie niepięknego oszczędzić spotkania. Czemuż dziś te patrole zaszyły mu drogę? Wciąż manewry, wciąż ćwiczenia, ciągnęła baczność na Zachód, wieczne uganianie po stokach Wogezów, jakby dla upatrzania sobie, którądy i kiedy zejść na tamtą stronę wypadnie...

Pochylił głowę, obciążoną mnóstwem smutnych myśli, smutniejszych przypomnień, które utkały całą młodość jego i wstawały w pamięci za najdrobniejszą przyczyną.

I on starał się przemykać jak najciszej przez bukówkę i niebawem stanął na jej krańcu. Chłodniejszy powiew szedł od doliny po przez leszczyńę i młoda dębczaki, tworzące rąbek lasu. Wędrowiec przystanął, spojrział ku prawej stronie i mruknął niechętnie:

— Tak powrócą, jak przeszli! Nikt ich nie zobaczy, nie dostrzeże! Dalej, starajmy się o nich zapomnieć, śpieszmy powitać Jana Oberle.

Pan Ulryk wyszedł z lasu, a jednocześnie, pod niebem pogodnym, odsłonił mu się skrawek ziemi przymglony, łagodne i sine pasmo kraju. Była to Alzacya. Woń łąk i łąnów, rosą zwilżonych, płynęła w powietrzu, jakby nocny żniwo, parta chłodnym powiewem, nieodłącznym towarzyszem płynącego opodal Renu. Niepodobna było rozemnać żadnego niemal szczegółu uspionego w mroku krajobrazu, krom o kilkaset metrów skupionych dokoła szarej kościelnej dzwonnicy dachów wiojski Alsheim. Wędrowiec przyspieszył kroku, odnalazł brzeg potoku górskiego, zamienionego tu w wartki strumień i wnet doszedł do pierwszego w Alsheim domu, sterczącego wśród ogołoconych zimą drzew większego ogrodu, do dworca rodziny Oberle.

Kamienny mur opasowy odgradzał ową siedzibę od drogi, strumień górski opływał całą posiadłość, aby dodać malowniczości umiejętnie zarysowanemu parkowi, a jednocześnie zasilać opodal maszyny fabryk i warsztatów. Pan Ulryk zostawił na lewo te warsztaty, pełne drzewa, desek, tyczek i t. d., aby wprost zdążać ku dwupiętrowej kamienicy, zbudowanej w połowie stulecia, w stylu mansardowym z czerwonej cegły Savernańskiej. Żywo podbiegł na pierwsze piętro i zapukał do drzwi. Głos świeży i młody odpowiedział z wnętrza:

— Proszę.

Wchodzący nie miał czasu, aby zdjąć czapkę, gdy już uczuł na szyi obejmujące go ramiona siostrzana, Jana Oberle.

— Witaj mi, wuju! Jakżeś mnie ucieszył! Co za przednia myśl!

— Puśćcie mnie, Janku! Kiedyżeś przyjechał?

— Dziś po południu. Jutro się do wuja wybieralem

— Nie wątpilem o tem. Ale m dłużej wytrzymać nie mógł. Musiałem ci się przypatrzeć rychlej! Wszakże trzy lata mijają, odkąd ciebie nie widziałem!

— Przypatruj się tedy do syta — zaśmiał się młodzieniec. — No, i cóż?... czym się bardzo zmienił?

Podsunał wujowi skórą wybite krzesło, sam na drugiem się sadowiąc. Rozdzielał ich stół, na którym płonęła lampa naftowa. Obok, przez rozsłonięte firanki okna, wzrok ogarniał uciszony, oblaony światłem księżycowem ogród. Pan Ulryk wpatrywał się w młodziana okiem pełnem rzewnej i zadowolonej ciekawości. Jan Oberle przerósł był wuja; alzackie rysy jego twarzy nabrały wyrazu, woli i zacięcia. Ciemny wąsik ocienił młode usta, znać było w całym wzięciu obycie się z ludźmi i ze światem; można go było wziąć za południowca ze względu na jego ciemno-błądą cerę, ciemny zarost i białe, błyszczące zęby. Ale inne rodzime cechy zdradzały syna Alzacyi. A więc oczy zielone, jak bory ojczystych Wogezów, kwadratowa szczęka kmieci miejscowych, po których o-dziedziczył niektóre piętna charakterystyczne. — Wszakże jego pradziad jeszcze chodził za pługiem. Wziął po nim w spadku i silną budowę ciała. Jedno spojrzenie w oczy siostrzana dowio-

dło panu Ulrykowi, że Jan Oberle niewiele się przez te trzy lata odmienił.

— Wróciłeś takim, jakim od nas wyszedłeś — rzekł po chwili — tylko zmężniałeś. Lękałem się większych w tobie przemian.

— A to dlaczego?

— Bo w twoim wieku niektóre podróże równają się próbom doświadczalnym.... Skądże powracasz nam dzisiaj?

— Prosto z Berlina, gdzie zdał t. zw. *Referendarexamen*.

Zaśmiał się krótko pan Ulryk.

— Możeby to lepiej nazwać licencyą prawną?

— I owszem, wujaszku.

— Dajże mi tedy dokładniejsze, a zwłaszcza świeższe wiadomości, boć, o ile wiem, od roku masz tę licencyę w kieszeni. Cóżeś od tego czasu porabiał?

— Służę wujowi. Otóż w zaprzeszłym roku ukończyłem studia prawnicze. Następnie aż do sierpnia pracowałem w biurze adwokackiem, poczem, za pozwoleniem ojca, odbyłem dłuższą podróż po Czechach, Węgrzech, Kroacyi, dotarłem aż do Kaukazu. Zabrało mi to całe sześć miesięcy. Teraz wpadłem do Berlina po rzeczy, kilka wizyt pożegnalnych złożyłem i oto mnie widzisz w domu.

— Wspominasz ojca — nie pytałem jeszcze o niego. — Czy zdrów?

— Niema go w domu.

— Jakto? w dniu twego powrotu?

Jan Oberle odpowiedział nie bez odcienia gorczy:

— Zniewolony był uczestniczyć w wielkim obiedzie u pana radcy von Boscher. Zabrał z sobą i moją siostrę... Mają to być świetne przyjęcia.

Nastąpiła chwila milczenia. Zeszedł uśmiech z twarzy obu mężczyzn. Po trzech minutach rozmowy, już między nimi stała kwestya przewodnia, kwestya drażliwa i fatalna, nieunikniona, rozdzielająca lub łącząca ludzi, tkwiąca na dnie wszystkich społecznych stosunków, kwestya, która od przeszło lat trzydziestu całą Europę trzyma pod bronią.

— Obiadowałem sam — dodał Jan — to jest sam z dziadkiem.

— To jakby z nikim... Jakże ten biedak się miewa? Czy zawsze równie przybity, zniechęcony?

— Wierź mi wuju, że umysłowo jest on zupełnie żyjącym i przytomnym.

— A moja siostra? a twoja matka? czyż i ona poszła z nimi? — spytał pan Ulryk po chwili nowego milczenia.

Młodzieniec skinął głową potakująco.

Ból tak dotkliwy szarpnął za serce pana Ulryka, że odwrócił twarz, aby młodzieniec nie wy czytał na niej wyrazu cierpienia. Wstał z miejsca, niby dla przypatrzenia się rycinie, zawieszanej na ścianie, a przedstawiającej alzackie dziewczęta, bujające na huśtawce. Opanowawszy się, spytał wprost siostrzana głosem drgającym się źle stłumionem wzruszeniem:

— A ty, dlaczego nie poszedłeś na obiad do pana radcy von Boscher, skoro jesteście na tak poufalej stopie z tymi szwabami. Nie zechciałeś towarzyszyć rodzicom?

— Nie — odrzekł stanowczo z prostotą zagadniony. — Ale pan Ulryk nie doczekał się spodziewanych wyjaśnień. Jan Oberle istotnie wyrósł był na mężczyznę. Nie chciał potępić swej

rodziny, nie rad innych potępiał własnem zdaniem. Wuj z pewnem szyderstwem przerwał milczenie:

— Przecież dość mi się nasłuchać przyszło o twych światowych w Berlinie powodzeniach; nie oszczędzano mnie zgola, dostarczano nazwisk, wiem, że obtańcowywałeś nasze jasnowłose nieprzyjaciółki..

— Dajcie mi pokój z tymi żartami, zdawkową monetą ludzi, którzy boją się spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć prawdę. Inne zapewne od waszego otrzymałem wychowanie, bo wychowanie niemieckie. Ale to nie przeszkadza mi gorąco miłować kraj własny... i owszem...

P. Ulryk przez stół wyciągnął dłoń do Jana i uściskał jego rękę.

— Tem ci lepiej!

— Czyś o mnie wątpił?

— Nie wątpilem, mój chłopcze, ale nie wiedziałem dotąd. A dokoła widzę tyle rzeczy, co bołą, tyle przekonań, co się uginają!

— Dowodem, jak bardzo naszą Alzację kocham, to niezłomne moje postanowienie, ażeby w Alsheim zamieszkać.

— Jakto? — spytał zdumiony p. Ulryk. Alboż nie chcesz już wstąpić do urzędu, jak tego pragnął twój ojciec, chcesz pomięszać jego ambitne widoki? Rzecz to nie małej wagi. Czy ojciec zna twe zamiary?

— Nie rozmówilem się z nim o nich, ale widzę, że się ich domyśla.

— I cóż dalej z sobą zrobić zamysłasz?

Młody uśmiech rozpogodził oblicze Jana.

— Zajac się leśnictwem, handlować drzewem, jak mój dziad, Filip Oberle, osiedlić się tu na dobre. Jeżeli tyle podróżywałem po różnych oko-

licach Niemiec czy Austryi, to na to, aby zbadać tamtejsze tartaki, warsztaty, bory..

— Cóż to wuju, płaczecie?

— Nie, zupełnie.

I w istocie, p. Ulryk nie płakał, ale ukradkiem lży cisnące mu się do oczu, palcem ocierał.

— Gdybym płakał, to z radości, z wielkiej, wdzięcznej radości. Widzieć, żeś pozostał wiernym temu, co mi najdroższem na świecie, że z nami pozostaniesz, że nie chcesz zaszczytów, ni urzędów z rąk, co twoją poćwiertowali ojczyznę! — Wszakże to było marzenie, na które bodaj już liczyć śmiałem. Tylko na razie czuję się jakoby zaskoczony tem wszystkim... Bo jak się to dzieje, żeś niepodobnym do ojca, do siostry, kiedy oni otwarcie się pogodzili z nowym rzeczy porządkiem? Studya odbyłeś w Monachium, w Bonn, w Berlinie, przez lat cztery nie ruszyłeś się z Niemiec, pominąwszy już dawniejsze, gimnazyalne lata. Jakim sposobem nie przedzierzgnąłeś się w Niemca?

— Mniej nim jestem od ciebie, wuju.

— To nie wiele.

— Mniej od ciebie, bo ich znam lepiej, osądzić mogłem dokładniej przez porównanie.

— No i cóż?

— Stwierdziłem ich niższość.

— Aż miło cię słuchać! Zwykle tylko wręcz przeciwne obiegają zdania. Zwłaszcza we Francyi niema końca pochwałom dla zwycięzców z roku 1870!

Młodzieniec, któremu powoli udzielało się wzruszenie pana Ulryka, wyprostował się nagle, z twarzą pałającą, z oczami, pełnemi rdzawych błysków.

— Nie wiem, czy mnie dobrze rozumiesz, wu ju? Otóż ja Niemców nie nienawidzę i w tem od ciebie się wyróżniam. Nawet ich podziwiam nieraz, mają oni wiele stron podziwienia godnych. Liczę wśród nich wielu dobrych kolegów, dla których żywię szczerzy szacunek. Znajdę i późniejszych przyjaciół. Jestem z pokolenia, które nie widziało tego, coś ty widział, z pokolenia, które inaczej żyło. — Nie należę do pocztu zwyciężonych!...

— Szczęśliwyś!

— Ale w miarę, jak ich lepiej poznawałem, głębiej odczuwałem plemienną różnicę, żywiej oceniałem przynależność do innej sfery ideałów, dla nich obcej a nieprzystępnej, którą, sam nie wiem dla czego, nazywam Francją!

— Brawo Janku, brawo!

Stary oficer dragonów przechylił się ze swojej strony przez stół, aby się do siostrzana przysunąć.

— Co zaś Francją nazywam, co mam w sercu, niby jakiś sen czy widzenie, to kraj, posiadający większą lotność i łatwość myśli....

— Zapewne!

— Słowa....

— Niewątpliwie!

— Wesela....

— Jak ty to odgadujesz!

— Kraj, gdzie w duszach znajduje się nieskończone stopniowanie odcieni, kraj, posiadający urok kochanej kobiety, coś nakształt szerszej, piękniejszej jeszcze Alzacyi.

Powstali obadwaj i starszy młodszego przytulił do piersi.

— Francuz z ciebie! Francuz ze krwi i kości! — powtarzał p. Ulryk. — Drogie moje, biedne dziecko!

Młodzieniec, oparty o pierś starego, szeptał półgłosem:

— I dlatego to żyć tam nie mogę, poza Renem, dlatego tu zamieszkać pragnę!

— A więc słusznie mówię: Biedne dziecko moje! Wszystko się, niestety, odmieniło, tu nawet, w tym domu, w domu twoim! Z twoim charakterem przyjdzie ci więcej cierpieć! Teraz wszystko rozumiem!

A wypuszczając siostrzana z uścisku, dodał:

— Alem też rad, żeś się tu dziś wybrał! Przyśiądź się tu do mnie! tyle mamy sobie do powiedzenia. Janie, mój Jasiu!

Zasiedli pospołu na kanapie. P. Ulryk gładził brodę, tłumił przebyte wzruszenie.

— Dopuściliśmy się dziś przestępstwa politycznego, mówiąc w ten sposób o Francyi. Toć to ulubione moje przestępstwa. Gdyby nas tak Hamm podsłuchał, śledztwo i proces gotowe!

— Spotkałem go tu po drodze.

— Ja zaś syna zoczyłem w lesie, służy w huzarach nadreńskich, w pułku, do którego masz wstąpić. Alboż to nie powóz słyszę?

— Nie, wuju!

— Posłuchaj!

Zbliżyli się do okna. Księżyc w pełni rzucał teraz pęk światła na trawniki, aleje i kwietniki ogrodu. Cisza panowała zupełna, słychać było tylko plusk wody przy kołach tartaku.

— Nie, to tylko szum strumienia przy szluzie— rzekł Jan. — Ojciec rozkazał stangretowi stawić się w Molsheim dopiero na pociąg, przychodzący tam o wpół do dwunastej. Mamy czas nagadać się do syta.

Mieli czasu dosyć i umieli zeń korzystać. Rozmawiali spokojnie, jak ludzie, którzy, porozu-

miawszy się w rzeczach najważniejszych, mogą teraz swobodnie o pomniejszych mówić. A więc o niedalekiej służbie wojskowej Jana, który do dwudziestego czwartego roku otrzymał był odroczenie tej powinności i teraz dopiero, z dniem 1 października miał wstąpić, jako jednoroczny, do pułku huzarów, konsystujących w Strasburgu, skąd łatwo mu przyjdzie na niedziele do Alsheim powracać. Później wuj i synowiec z lubością jęli wspominać różne sąsiednie miejscowości, górę św. Odyli, leśniczówkę w Heidenbruch, porębę w Savernie, dalszą rodzinę, osiadłą w Guebwiller. Zakłęta ich słowem Alzacya przed nimi wstawała. Rozumieli się dobrze, głosy ich się zlewały, nieraz zlewał się i śmiech wesóły. Rozmowa przeciągała się nieskończenie, aż wtem kukulka nad drzwiami w drewnianym umieszczona zegarze wykukała północ.

Zerwał się pan Ulryk.

— Czyśmy tylko nie zbudzili dziadunia? — spytał, wskazując ręką na bliskie chorego pomieszkanie.

— Nie — rzekł Jan — on i tak prawie nie sypia, a jeśli coś usłyszał, rad był, że się śmieję. Ponieważ rodzice wyjechali o piątej, długo przy nim siedziałem i przekonałem się raz więcej, jak dalece on wszystko słyszy i wszystko rozumie. Poznał z pewnością głos wuja, może rozeznał i słowa...

— Nie mogły one mu być nieprzyjemne. — Należy on do starej Alzacyi, do tej, co wam już niemal bajeczną się zdaje, a z którą i mnie nawiązać można, choć jestem wiele młodszy od p. Oberle. Nasza Alzacya była całkiem francuska, a ludzie z tej epoki nie znają odmiany w przekonaniach, ni pojęciach. Patrz na swego dziada,

na starego Bastjana. My jesteśmy pokoleniem, które cierpiało. Twój ojciec już do rezygnacyi do szedł.

— A ja? — spytał młodzieniec.

— Ty — rzekł wuj, wpatrując się w twarz siostrzana — ty jesteś legenda.

Spróbowali obadwaj się roześmiać, ale się nie zdobyli na uśmiech, jakby pod wrażeniem zbytnej trafności tego określenia, jakby w tej samotnej izdebce, opodal nich, stało było niewidzialne Przeznaczenie, powtarzające niby echem: „Tak jest, ten już tylko legenda“.

Rozproszyło się przelotne ich pomieszanie. P. Ulryk podał rękę synowcowi poważniej, niż przed chwilą, przed owem słowem, które padło między nimi żalobnym dźwiękiem.

— Do widzenia, mój Janku. Wolę nie doczekać powrotu szwagra. Nie wiem, jakiemby dziś było nasze spotkanie, po wszystkim, coś mi zwierzył... Życz im dobrej nocy odemnie. Wrócę teraz do lasu, w tę noc księżycową. Szkoda, żem z sobą nie zabrał strzelby. Kto wie, czy się z cietrzewiami nie spotkam.

Stąpił cicho, ostrożnie.

— Wujaszku — ozwał się Jan — nie wątpię że dziadzio nie śpi. Gdybyś tak do niego wstąpił, ucieszyłbyś go serdecznie.

Cofnął się pan Ulryk, a Jan otworzywszy drzwi sąsiednie, rzekł od progu zciszonem głosem:

— Dziaduniu, przyprowadzam ci gościa, wuja Ulryka, który cię odwiedzić pragnął.

Znaleźli się w obszernej komnacie, słabo oświetlonej nocną lampką, ustawioną między oknami a łóżkiem. Migotliwe światło padało na jedyne w całej izbie błyszczące przedmioty, prosty krzyż metalowy i złoty zegarek na przyległym sto-

liku położony. Starzec siedział raczej, aniżeli leżał na posłaniu, podparty wysoko upiętrzonemi poduszkami, przybrany w ciepły, ciemny kaftanik. Haftowany pas do dzwonka zwieszał się aż na środek łóżka. Człowiek bowiem, który tu spał, czy też czuwał, był bezwładnym kaleką. Życie u niego coraz się więcej na wewnątrz cofało. Z trudnością mógł się poruszać, z trudnością chodzić. Zaprzestał mówić prawie całkowicie. Z białych i zwieszonych ust zaledwie jeszcze padały trzy wyrazy, raczej trzy jęki, zawsze jednakie: Jeść! pić! precz stąd, precz! Rodzaj paraliżu zwarł był tę silną szczękę, która niegdyś rozkazywała licznej ludzkiej rzeszy. P. Ulryk i Jan zbliżali się do łóżka, nie doczekawszy się żadnej oznaki powitania, ani rozpoznania. A jednak ten biedny rozbitek do niedawna był dzielnym ezłowiekiem, założycielem wielkich warsztatów w Alsheim, wyrosłym pracą własną i rozumem z drobnego wiejskiego gospodarza na zamożnego przemysłowca, którego obrano posłem, który windykował prawa Alzacyi w parlamencie niemieckim i dopominał się sprawiedliwości od żelaznego kanclerza. Duch starca żył, czuwał jeszcze, uwięziony jak płomień lampy, oświetającej jego sypialnię, ale już myśli swych nie był w stanie wyrazić. A podczas tego przedłużonego, nieprzespanego snu lat całych, ileż to postaci, ile rzeczy roić się i przesuwac musiało w głowie tego, który znał na wylot całą Alzacyę, obiegłszy niegdyś wszystkie jej zakątki, zasiadłszy naprzemian przy stole możnych i maluczkich, jako wędrowiec, gość, handlarz, leśnik, przedewszystkiem gorący patriota!... I oto wszystko, co z niego zostało, opuszczona na piersiach głowa, zwisłe powieki, nieruchome, smutne źrenice!

A jednak pomimo martwoty tych oczu, obaj mężczyźni dopatrzyli się w nich jakiegoś przychylniejszego wyrazu; nie śmieli się zrazu odzywać, by nie zamącić pogodniejszej myśli chorego. Po chwili milczenia, p. Ulryk położył dłoń na rękę Filipa Oberle i rzekł zwolna, wyraźnie:

— Długo rozmawiałem z waszym wnukiem, panie Oberle — dzielny to, poczciwy chłopiec!

Oczy chorego z trudnością się podniosły, szukając Jana spojrzeniem.

— Dobry z niego, dzielny chłopiec, nie zepsuty długim z Berlinie pobytem — ciągnął dalej nadleśny. Pozostał on godnym was, dobrym patryotą, prawym Alzateczykiem. Powinszować wam takiego wnuka!

Mimo mroku, panującego w izbie, dostrzedz było można błady uśmiech na obliczu starca, odpowiedź duszy jego, zawsze żywej i młodej.

— Dobranoc dziaduniu! dobranoc panie Oberle! — rzekli razem, odchodząc.

I drzwi się zawarły. i lampka zamigotała, i sen nieprzespany dalej się ciągnął w tej izbie, dokąd po zachodzie słońca żaden głos nie dochodził, krom godzin, wydzwanianych na kościelnej wieży.

Wyszli z domu, szron ubielił był murawę, noc była zimna, mroźna.

— Co za śliczny czas na moją przechadzkę! — ozwał się p. Ulryk. — Czekam cię tedy w Heidenbruch.

Gwiznął na psa, a pogłaskawszy wiernego towarzysza, dodał:

— Prowadź mnie z powrotem, bo gotówbym zbłądzić, tak mnie rozmarzyły zwierzenia tego oto chłopaka!

Zaledwie zcichły kroki oddalającego się p. Ulryka, aliści Jan rozpoznał w oddali tętent koni,

daleki zrazu, potem coraz bliższy, głośniejszy turkot kół, aż nareszcie pojazd wtoczył się przez most i stanął przed domem. Jan otworzył drzwi. Wyskoczyła najprzód zaróżowiona senna, a cała białą ubrana panienka, która musnęła czoło młodzieńca ze słowem: Dobranoc, braciszku! — i znikła w przedpokoju.

— Dobranoc, mój synu! — ozwał się z kolei głos męski, rozkazujący, twardy. — Niepotrzebnie na nas czekałeś. Wsiadajże prędzej, Moniko, konie bardzo się zgrzały. Anguście, daj im więcej obroku, a jutro zaprowadź do kuźni... Szkoda, żeś się z nami Janie nie wybrał. Bardzo było przyjemnie. Radzca po dwa razy o ciebie pytał.

Ten, który tak naraz do wszystkich się odzywał, stanął na peronie, mierząc okiem znawcy istotnie bardzo zgrzane kare perszerony. Zresztą twarz jego pełna i czerstwa, oprawiona w siwiejące faworyty, zaledwie się mignęła. Wydawszy bowiem uwagi swe i rozkazy, Józef Oberle, zawsze pamiętny na wszystko i czujny, objął spojrzeniem warsztaty i składy drzewa, a upewniwszy się, że nigdzie ognia nie widać, wszedł do domu. Syn nic nie odpowiedział ojcu, sam zajęty matką, której wysiąść z powozu pomagał, szepcząc czule:

— Nie jesteś zmęczoną, najdroższa matulu?

Kochane oczy śmiały się do niego, wykwintuie zarysowane usta rozchyłały się, aby odpowiedzieć:

— Nie, zmęczoną się nie czuję zbyt, ale to nie na moje lata! Starą masz matulę!

Opierała się na ramieniu synowskiem, nie tyle z potrzeby, co z dumy macierzyńskiej. Smutek przeświecał nawet w jej uśmiechu. Zdawała się powtarzać nieme pytanie: „Przebaczasz mi, że

tam z nimi byłam. Nie mogłam się oprzeć. Nacierpiałam się dosyć.“

Miała na sobie czarną atlasową suknię, diamenty zdobiły ciemne jej włosy, nie przyprószone dotąd siwizną, z ramion spływała szubka futrzana. Jan w niej upatrywał wdzięki i powagę nieszczęśliwej królowej, podziwiał majestat i wykwiutność tej Alzarki dawnego pokroju i z dumą czuł się jej synem. Podał jej rękę, rad się do niej przytulić i na każdym stopniu przystawał.

— Wystaw sobie, mamo, że przepędziłem wieczór zachwycający, brakło mi tylko ciebie... Wuj Ulryk się tu zjawił wieczorem, a przed chwilą dopiero wyszedł.

Pani Oberle uśmiechnęła się smutnie.

— Nigdy się tak długo z nami nie zasiedzi, ucieka zaraz...

— Chcesz powiedzieć: Uciekał. Ja go teraz na powrót sprowadzę.

— Oj młodyś, młody! gdybyś wiedział ile ja oddaleń oplakuję...

Rozpogodziło się jej czoło, patrząc na jedy-naka.

— Kochasz wujaszka?

— Spodziewam się. Jeszczem go lepiej dziś poznał.

— Dawniej byłeś dzieckiem.

— Cośmy się nagadał, to nagadali dzisiaj. We wszystkim się zgadzamy.

Oczy matki baczniej zajrzały w źrenice syna.

— We wszystkim? — spytała.

— Tak jest, matulu, we wszystkim!

Wysunęła rękę z pod jego ramienia, położyła palec na ustach. Doszli byli do ostatnich schodów. Pani Oberle stanęła przed drzwiami sy-

pialni, znajdującej się naprzeciw izby chorego teścia. Jan matkę uściskał, cofnął się nieco i powrócił, aby raz jeszcze w milczeniu do jej piersi się przytulić. — Oddalając się, raz jeszcze spojrział na tę kobietę czarno ubraną, której żałobne szaty tak były do twarzy, uwydatniając jej prostotę, jej wdzięk i powagę i twarz pełną niewieściej słodyczy.

— Święta Moniko Oberle, módl się za nami! — szepnął półgłosem.

Zdawała się nie słyszeć, ale nie zamknęła drzwi, dopóki Jan nie zniknął z przed jej oczu na zakręcie korytarza.

Wszedł do własnego pokoju, a wrażenia wieczoru jeły budzić się na nowo w jego duszy. — Zrozumiał, iż nie prędkoby usnąć potrafił. Otworzył tedy okno. Rozwiały się wieczorne przymglenia. Mroźny wietrzyk dał od północy. Jan mógł rozeznąć sine pasmo zalesionych gór, zamykających widnokrąg, nad którymi nieprzeliczone teraz migotały gwiazdy. Szukał kierunku leśniczówki wuja Ulryka i gonił go myślą, gdy wtem na krańdzi lasu odezwał się zgodny chór rozśpiewanych głosów.

Miłośnik zapalony muzyki, Jan na razie odczuł dreszcz rozkoszny. Głosy zdawały płynęły młode, piękne, dobrane. Śpiewaków musiało być kilkudziesięciu. Słowa w przestrzeni ginęły. Wiatr alzacki niósł tylko pieśń o rytmie wspaniałym, niby dźwięk dalekich organów. Wtem kilka słów wvraźnych doleciało uszu Jana. Wzdrygnął się, zły sam na siebie, iż nie odrazu poznał był śpiewaków. Byli to niemieccy żołnierze, huzary nadreńskie, powracający z nocnych po górach ćwiczeń i patroli. Wedle zwyczaju, rozbudzali się z przygo-

dnej senności, nuąc pieśń czarowną, bo pełną ojczyzny. Miarowe stąpanie koni dostarczało pieśni zgłuszonego towarzyszenia. Słowa pieśni, teraz już gromko, wyraźnie płynęły:

Stimmt ein mit hellem, hohem Klang,
Stimmt an das Lied der Lieder,
Die Vaterlandes Hochgesang
Das Waldthal hall es wieder.

Jan Oberle byłby chciał pieśń tę zgłuszyć, stłumić. Ileż to jednak razy w czasie swego pobytu w Niemczech, słyszał był śpiewających żołnierzy. Czemuż dziś takim bólem ścisnęło mu się serce? Czemu rozrywały mu dusze te słowa dobrze znane i zapamiętaue? Pieśń ucichła opodal wioski, zastąpiona już tylko stąpaniem kopyt na twardej drodze.

Wychylił się z okna, aby dostrzedz przejeżdżających. Cienie nocy zlewały z sobą jeźdźców i konie. Ale musiało ich być wiele. „Co ich tu jest!“ pomyślał Jan z rosnącym bólem. W Monachium, w Heidelbergu, w Berlinie budzili tylko poczucie siły bez przystosowania bezpośredniego. Wróg nie był określonym, ani wytkniętym. Wszystko, coby zagrażało potędze niemieckiego cesarstwa, było tym niewidzialnym, nienazwanym przeciwnikiem.

Jan Oberle nieraz tam podziwiał przeciągające pułki, podziwiał moc w takiej armii złożoną. Ale tu, na pograniczu, na ziemi skrwawionej jeszcze niedawnem starciem, żyły wspomnienia, ujawniające zbyt jasno w kogo tu mierzyć, kogo dosięgnąć i komu grozić chciano. Chrząst oręża, widok żołnierzy wywoływał pamięć niedawnych mordów i pożogi, ustalonej dotąd żaloby. Huzarzy

przejeżdżali główną ulicą uspięnej napozór wioski, mimo odgłosu kopyt i chrzęstu broni. Zdało się, iż nikt się nie zbudził. Atoli w niejednym domu tu matka z drzeniem zerwała się z posłania, tam mąż zacisnął pięść, klnąc w duszy pogromcom. Przejechali aż do ostatniego. Gdy jednak zniknął cień, rzucony na drogę przez ludzi i konie tylnego szwadronu, Jan Oberle rozemknął zapóźnionego jeźdźcę, który zdawał się w tę stronę spoglądać. Alboż koń narowisty nie chciał za innymi spieszyć? Nie, koń był spokojny. Dosiadał go wyraźnie oficer, błyszczał w mroku sute galony, bodaj orderzy na piersiach zawieszone. Stał i patrzył w górę przez krótką chwilę. Poczem skłonił się pałaszem i spiąwszy konia ostrogą, za towarzyszami podążył. Trwało to wszystko zaledwie minutę, i Jan mógł być przypuścić, że padł ofiarą złudzenia, gdyby nie tętent konia pomykającego cwałem za drugimi.

— Cóż to za niemiecki figiel? — pomyślał Jan. Co się temu szwabowi mogło tak w naszej siedzibie spodobać. Dziękuję za łaskę!

Jeźdźcy tymczasem opuścili Alsheim i wjechali na równinę. Cisza zaległa dolinę. Wiatr nocny dął silniej ku zielonym Wogezom. Daleko, coraz dalej, zabrzmiała ponownie pieśń niemieckich żołnierzy, sławiących niemiecką ojczyznę po drodze do Strasburga.

II.

Na egzaminie.

Nazajutrz słońce już było wysoko, gdy Jan Oberle wyszedł z domu, ubrany w kurtkę granatową i miękki kapelusz myśliwski, zdobny w pióra cietrzewie. Na widok ogrodnika, równającego trawnik, zapytał:

— Gdzie jest mój ojciec?

— Pan jest w kantorze, w warsztatach.

Jan Oberle ogarnął ucieszonym spojrzeniem pasmo gór ojczystych, dachy czerwone osady, rodzicielskie fabryki, białe dymy parowego tartaku, olbrzymie stosy desek, zalegające dziedziniec warsztatów i magazyny.

Skierował kroki swe na lewo ścieżką, wiodącą przez ogród, umiejętnie założony i narysowany przez Filipa Oberle, który tu pragnął stworzyć harmonijny zakątek, a okrążywszy olszynę, odgradzającą siedzibę właścicieli od warsztatów, wkroczył do wydłużonego gmachu fabryki.

Ojciec znajdował się w kantorze, a raczej w oszklonym pawilonie, który mu służył za pracownię i biuro. Ranoą rozpatrywał pocztę, gdy syn do niego zapukał. Odłożył na bok papiery, na znak, że oczekiwał tej wizyty.

— Cóż mi powiesz, chłopcze? — zapytał, podsuwając krzeselko.

Pan Józef Oberle był mężczyzną krępkim, krwistym i samowolnym. Ze względu na wygolone starannie wąsy i brodę, zaokrąglenie ruchów i wytworność słowa, oraz z powodu pewnego wyszukania w odzieży, nieraz go brano za byłego francuskiego urzędnika. Nie mylili się ludzie, omylili okoliczności, które wyparły pana Józefa z drogi, wiodącej do publicznych zaszczytów, ze służby sądowej, czy administracyjnej. Ojciec jego, założyciel dynastyi, Filip Oberle, syn kmięcy, założył był w połowie wieku w Alsheim piłę mechaniczną, która szybko najpomyślniej się rozwinęła. Szybko wzbogacony, nie przestał być bardzo popularnym, zasłużył sobie na miłość ogólną, posiadał niebawem wpływ znaczny, nie domyślając się, iż przyjdą dni, w których tym wpływem przyjdzie mu bronić Alzacyi.

Syn jego, pod koniec drugiego cesarstwa, nie mógł ująć ambicyom urzędniczym. Tak się też stało. Wychowany w Paryżu, w dwudziestym drugim roku życia przydzielony był do prefektury w jednej z zachodnich prowincyj, gdy wojna wybuchnęła. Pryncypał jego, mniemając, że dogodzi wielkiemu alzackiemu przemysłowcowi, zatrzymał przy sobie młodzieńca przez długie miesiące w końcu dopiero wstąpił Józef Oberle do armii Loary. Zaznał dużo trudów, dużo cierpiał od zima, w ciągłych rejteradach kilkakrotnie bił się i to bił się mężnie. Gdy zaś pokój nastąpił, wypadło mu optować.

Gdyby był szedł za własną skłonnością, byłby pozostał Francuzem, aby dalej się posuwać po szczeblach administracyjnych, w czem brak osobistych opininij i usposobienie rozkazujące walnej

mu udzielało pomocy. Ale wola rodzica powołała go do Alzacyi. Błagał on syna, aby nie poniecha rozpoczętego dzieła, które mimo wojny świetnie się rozwijało. Stary Oberle powtarzał: Moje przedsiębiorstwo stało się niemieckiem, prawem zaboru. Nie podobna mi rzucić narzędzi mego wzbogacenia się i całej przyszłości warsztatów. Nienawidzę Prusaków, ale nie znam innej drogi wyjścia. Byłem dotąd Francuzem, teraz będę Alzaczyciem, mam nadzieję nie na długo. Radzę ci zrobić to samo.⁴

Józef Oberle uległ z niechęcią: niechęcią do zaborców, a i wstrętem do życia ustronnego, gdzieś we wsi Wogezów. Zrazu nawet popełnił niejedną nieostrożność słowa i zachowania się, które dziś nie rad wspominał. Bo tymczasem zabór się ustalił, ustaliła i niemiecka jedność, a młodzieniec dopuszczony do spółki w ojcowskim interesie, uczuł dokoła siebie zacieśniające się sieci administracyi, na pozór nie różniącej się od dawnej, ale przykrzejszej, twardszej i despotyczniejszej.

Wypróbował na własnej skórze, że w każdej okolicy, bez jednego wyjątku, wszystkie władze niemieckie odmówią mu zawsze słuszności, udowodnią, że raczej wina po jego stronie i to od najwyższego urzędnika aż do ostatniego żandarma, przechodząc przez całą skalę biur pocztowych, kolejowych, celnych, gminnych itp. Zła wola, o którą się wszędzie roztrącał w stosunku do władz niemieckich, zaostrzyła się jeszcze i groziła nawet materyalnemu bytowi piły i tartaku w Alsheim, kiedy p. Filip Oberle, zdawszy na syna rządu warsztatów w roku 1874, uległ zakłębom biednego kraju i obrany posłem, zajął wybitne stanowisko wśród przedstawicieli Alzacyi w par-

lamencie niemieckim, protestujących przeciw bezprawiu i zaborowi.

Przebyte doświadczenia, nieobecność ojca, który teraz przeważnie w Berlinie przesiadywał, stopniowo wpłynęły na zmianę w usposobieniu młodego przemysłowca. Stygły powoli dawne oburzenia, coraz rzadziej się powtarzały wśród ludu alzackiego manifestacye anty-niemieckie. Ustały stosunki handlowe z Francją, ubyło gości francuskich, nawet przybywających za interesem. — Bliska, sąsiednia Francya została jakoby murem odgradzona, ani ludzie, ani towary przez mur ten przedrzeć się nie mogły. Dzienniki francuskie, które odbierał, nie pozwalały się ludzić co do zupełnego przejścia do porządku dziennego nad Alzacyą przez nowych władców Francyi.

I oto w dziesięć lat Józef Oberle wyczerpnął do ostatka całą oporność, do której był zdolnym. Przeszedł w szeregi ugodowców. Małżeństwo jego z Moniką Biehler, przygotowane i doprowadzone do skutku przez gorącego patryotę, który w Berlinie walczył z ks. Bismarckiem, nie zmieniło nowego usposobienia, zrazu tajonego, później ujawnionego, stwierdzonego i skrajnego.

Pan Józef Oberle zaczął dawać Niemcom rękojmie, później gotów był oddać zakładników swej lojalności. Przesadzał w uległości, tracił miarę w pogodzeniu się z nowym losem. Urzędnicy warsztatów, byli francuscy żołnierze, duszą oddani staremu Filipowi Oberle, z którym pospółu usiłowali obronić Alzacyę przed nawałą germanizacyi, z ukosa spoglądali na zaszłą w poglądach młodego pana przemianę, i nie taili swego niezadowolonia. Jeden z nich, podrażniony raz do żywego, odezwał się niecierpliwie; — „Czy pan sądzisz, że przyjemnie człowiekowi służyć u rene-

gata?“. Za to słowo, w tej chwili został wydalonym z fabryki. Towarzysze jego na próżno próbowali sprawę załagodzić, wejść w układy, grozili bezrobociem. — „I owszem! odpowiedział Józef Oberle. Tylko mi dogodźcie swoim postanowieniem. Jesteście niesforni i hardzi. Rad was Niemcami zastąpię“. Zrazu nie wierzyli w stanowczość tej pogroźki, którą młodszy Oberle później przeprowadził, gdy się nawinęły nowe nieporozumienia, bądź z poczucia samowładzy, którą kładł wyżej od sprawiedliwości, bądź, że mu było dogodniej hardych Alzatzczyków zastąpić karniejszymi i uleglejszymi Badeńczykami. Tym sposobem już trzecią część swej czeladzi był zmienił, cała niemiecka kolonijka osiadła niebawem w Alsheim, a pozostali przy warsztatach Alzatzcyce ugiąć się musieli przed zwyciężskim argumentem powszedniego chleba. — To wszystko działo się w r. 1882. Niebawem dowiedziano się, iż pan Józef Oberle syna wyprawiał do Monachium, córkę zaś, Lunię, oddał do Baden Baden na pensję, czysto niemiecką. — Ten ostatni krok nad inne oburzył miejscową opinię, jako dowód nieufności do wychowania i wpływów alzackich. Litowano się nad panią Oberle, której wydarto dzieci, odbierając jej nawet prawo kierowania młodością córki. Na wszystkie wyrzuty, Józef Oberle stale odpowiadał: — „Czynię to dla ich dobra; zmarnowałem własne życie, nie chcę ich przyszłości skrzywić. Później, wolno im będzie wybrać dalszą drogę, na mocy porównania. Nie chcę tylko, aby od młodości zapisani byli, skatalogowani urzędowo w poczet niepokodzonych Alzatzczyków!“ Niekiedy dodawał: „Alboż nie rozumiecie, że to ja się poświęcam; wszystkich ofiar, które sam spełniam, oszczędzam na przy-

szłości dzieciom moim. Nie trzeba mniemać, aby mnie to nie bolało!”

Bolało go istotnie, ale co innego, oto, że nie mógł sobie jakoś pozyskać zupełnej ufności władz niemieckich. Zapewne, urzędnicy pruscy głaskali go, przyciągali, pochlebiali mu, ale jednocześnie czujne na niego mieli oko i, zapraszając do siebie, ciągle go podpatrywali. Czuł niepewność, niedowierzenie, nieufność nowych panów, do których się łąsił, a którzy nieraz grubiańsko zdradzali swe tajne uczucia. Czyżby naprawdę się pogodził był z zaborem? Czy dostatecznie uwielbiał geniusz niemiecki, niemiecką kulturę, potęgę handlową, przyszłość i wielkość? Należało wszystko i to tak bardzo podziwiać i wielbić!

Tymczasem Józef Oberle starał się dostarczać coraz pewniejszych rękojmi. Marzył o wprężeniu syna do niemieckiej służby administracyjnej, a systematyczne wygnanie z granic Alzacyi miało być przygotowaniem do dalszego zawodu. Po skończeniu studyów gimnazjalnych i prawniczych, Jan w Berlinie złożył był egzamin referendaryuszowski. Teraz, po dłuższej zagranicznej podróży, wracał w strony rodzinne dla krótkiego wypoczynku przed wstąpieniem do jednorocznej służby wojskowej. Zamiary Józefa Oberle twardo do końca zostały wykonane. Przed długi szereg lat studenckich Jan rzadko powracał do Alsheim. Nawet wakacje spędzał najczęściej na wycieczkach po krajach niemieckich.

W końcu władze zaborcze uwierzyły nareszcie w dobrą wiarę Józefa Oberle. Zresztą jedna z największych przeszkód w krokach ugodowych tego ostatniego zniknęła. Stary szermierz protestu przeciw zaborowi, tknięty chorobą, która go już opuścić nie miała, usunął się w r. 1890 z życia

publicznego. Od tej chwili jęły się sypać gradem na syna uśmiechy, obietnice, łaski, dotąd odrażane.

P. Józef Oberle wnet zmiarkował po rozwoju swoich handlowych stosunków w Niemczech, po ustaniu szykan codziennych, po względności, jaką mu okazywali niżsi, a niegdyś najzuchwalsi urzędnicy, po łatwości uzyskania różnych upoważnień do obejścia litery prawa, słowem, po tysiącnych objawach, że duch wszechobecny rządu pruskiego, wcielony w wielką armię wygalonowanego czynownictwa, przestał mu być wrogiem. Wyraźniejsze miało niebawem nastąpić zbliżenie. Minionej zimy, kiedy ładna, pełna dowcipu i wdzięku Lunia, po powrocie z pensyi badeńskiej tańczyła w niemieckich salonach stolicy Alzacyi, ojciec rad rozmawiał z wyższymi urzędnikami prowincyi. — Jeden z nich, naczelny prezes Strasburga, hrabia von Kassewitz, zapewne idąc za wskazówką, otrzymaną z góry, dał mu do zrozumienia, iż rząd poparłby chętnie poselską kandydaturę p. Józefa Oberle przy najbliższych wyborach do Reichstagu.

Józef Oberle nie posiadał się z radości. Ambicje jego, nie znalazłszy dotąd stosownego wynagrodzenia za tyle ofiar miłości własnej, dawnych przyjaźni i pamiątek, dobrowolnie poświęconych, nareszcie znalazły odpowiednią zapłatę. Temperament czynownika, zduszony przeciwnymi warunkami, budził się wobec ściśle określonego celu i widoków, znajdował poniekąd usprawiedliwienie dotychczasowego postępowania. Otóż dzięki swej pogardzie dla różnych marzeń, dzięki jasnowidzeniu, co się da zrobić, a co się stało niepodobieństwem, mógł teraz przystąpić do zawodu publicznego, wyprzedzając syna, któremu wytknął był te same szlaki. Odtąd więc miał gotową od-

powiedz na własne, przelotne wątpliwości, na niecne obelgi niektórych zaśnieźdzących prostaków, którzy niby go już nie poznawali po drodze, lub jeszcze na dumne spojrzenia, czy półukłony, którymi go niechętnie darzyli spotykani na ulicach Strasburga czy Alsheim dawni znajomi i przyjaciele.

Powitać miał tedy syna w usposobieniu całkiem odmiennem od dawnego. Teraz, gdy czuł się sam dobrze ugruntowany w łasce rządu Alzacyi-Lotaryngii, mniej mu chodziło o narzucenie synowi własnych dla niego planów. I Jan i Lunia już mu walne oddali byli usługi, jako zakładnicy poglądów ojcowskich. Zapewne i nadal Jan mógł być ojcu pomocnym, ale nie tak koniecznym, a wspominając niektóre zawile zwroty w listach syna, pisanych z Berlina, Józef Oberle przypuszczał, iż bodaj nie zechce obrać wskazanej sobie kariery urzędniczej, mniej atoli tem się gryzł dzisiaj i gniewał, aniżeli dawniej.

I właśnie tym się myślom oddawał, wiedziony, jak zwykle, egoizmem, rządzącym wyłącznie jego życiem, oczekując nadejścia syna, którego zdala w ogrodzie zobaczył.

Kantor bowiem, znajdujący się na samym końcu warsztatów, na wszystkie strony był oszklony, pozwalając p. Oberle pańskim okiem nad całą naraz czuwać fabryką. Z jednej strony widział robotników, układających deski na dziedzińcu magazynowym, z drugiej patrzył na biura rachmistrzów, z trzeciej oko jego sięgało w głąb warsztatów, gdzie parowe maszyny z hukiem, szumem i świstem obrabiały stare pnie lasów alzackich. Dokoła widniały przyrządy elektryczne, telefony, maszyna do pisania, wszystkie ułatwienia i dogodności nowoczesnych wynalazków, w któ-

rych się lubował kierownik zakładów rodziny Oberle.

Powitawszy syna, jął się uważnie przypatrywać pięknemu młodzieńcowi, który naprzeciw niego zasiadł. W oczach p. Józefa Oberle przejawiała się ciekawość bynajmniej nie ojcowska, nawet nie światowa, ani psychologiczna. Ten człowiek czynu, a nie duchowych spekulacyj, szukał poprostu drogi, którądy dalej przejść wypadnie. Zapytawszy tedy pokrótce:

— Co tam masz mi do powiedzenia? — dodał szybko:

— Czy rozmawiałeś dziś z matką?

— Nie widziałem jej.

— Ani z siostrą?

— Wprost od siebie przychodzę.

— Temci lepiej. Wolę sam z tobą się rozmówić bez niczyich wpływów. Upoważniłem cię do powrotu i dłuższego między nami pobytu, abysmy razem nad twą przyszłością radzili. Najprzód tedy służba jednoroczna, oczywiście z dosłużeniem się stopnia oficerskiego? — dodał z naciskiem.

— Zapewne — odpowiedział Jan poważnie.

— A co dalej? Obiegłeś kawał świata, znasz naród, wśród którego żyć ci wypadnie. Wiesz, że twoje szanse powodzenia na drodze kariery urzędniczej wzrosły od pewnego czasu, że moje stanowisko w Alzacyi poprawiło się.

— Wiem ojcze.

— Wiesz także, że całem mojem życzeniem było widzieć ciebie na drodze, z której mnie przeciwnie wyparły okoliczności.

Oczy pana Oberle wpiły się przy tych słowach, jak drapieżne szpony, w jasną twarz syna. Przesłał bawić się szkietkiem.

— Ostatnie jednak listy twoje zdradzają pewne wahanie. Czy chcesz być urzędnikiem?

Jan Oberle przybladł z lekka i odpowiedział stanowczo:

— Nie, mój ojcze!

Ojciec rzucił się naprzód, jak gdyby chciał zbadać i zważyć siły moralne syna:

— Na cóż tedy się przydały twoje studia prawnicze?

— Na nic zgoła.

— Z jakiego powodu?

— Z tego tylko — rzekł młodzieniec, usiłując miarkować głos własny — iż nie czuję w sobie, nie posiadam niemieckiego ducha.

Pan Oberle nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Skoczył na krzesło, mimowoli obejrzał się w koło, jakby dla przekonania się, iż nikt owych słów nie usłyszał. Przez szklane drzwi spotkał ciekawe spojrzenia kilku robotników, którzy natychmiast do zajęć swych wrócili. Czuł się gwałtownie podrażnionym, ale rozumiał, iż nie powinien zdradzić swego zagniewania. Zacisnął tedy ręce na poręczach, i dalej jał mierzyć okiem tego młodzieńca, którego oświadczenie równało się postępieniu rodzicielskich dążeń.

— Kto cię przeciw mnie zbuntował? — Czy matka?

— Nikt zgoła — podchwycił żywo Jan. — Nic nie mam przeciwko tobie, ojcze. Skąd ci to przyszło do głowy? Mówię tylko, iż nie czuję w sobie niemieckiego ducha. Skutek to badań porównawczych, nie innego.

Józef Oberle uczył, że przedwcześnie odsłonił grę własną, a chłodną ironią próbując zamaskować, jak zwykle, prawdziwe swe uczucie, mówił dalej:

— Zrywasz tedy z karyerą, którą ci przeznaczyłem? Obrabiłeś może inną?

— Zapewne, jeśli ojciec na to zezwoli.

— Słucham ciekawie.

— Otóż wybrałem zawód przemysłowy. Niech ojciec wyrozumie moje powody. Od dziesięciu lat żyłem zgodnie wśród Niemców, choć mnie to niemal kosztowało. Pytasz o wynik tego eksperymentu? Otóż doszedłem do przekonania, że nie mam dość giętkiego usposobienia, aby się nadać do niemieckiej służby. Wiem, że nie zawsze-bym zrozumiał dany mi rozkaz, — nie zawsze-bym go wykonał. Zaczem powziąłem nieodwołalne postanowienie, tem bardziej, że przemysł drzewny i leśny mnie ęci.

— Sądziś może, iż zapewnia on niezależność?

— Nie zupełną, lecz z pewnością większą, aniżeli inne zawody. Na twe życzenie, ojczy, ukończyłem studia prawnicze, ale następnie podróżowałem, według twoich także wskazówek.

— Powiedz rozkazów, a wyluszcze ci moje powody.

— Skorzystałem z owych wędrowek, aby zbadać przemysł drzewny w Austrii, w Niemczech, ba nawet w Kaukazie. Nie jestem takim nowicyuszem, za jakiego mnie mieć możesz. Pragnę osiaść w Alsheim. Czy na to, ojczy, zezwolisz?

Zagadnięty nie od razu odpowiedział. Próbował zastosować do syna manewr, którego zwykł był używać, ilekroć ważny interes załatwiał. Milczał przez czas dłuższy, a tem milczeniem wywierał nacisk na stronę przeciwną. Ale Jan wytrzymał nieme spojrzenia ojca i nie odwrócił oczu. Józef Oberle doznał stąd przyjemnego wrażenia. Tych, co się gięli pod jego okiem, uważał za natury słabsze. Tu czuł przed sobą męską, męską

BIBLIOTEKA
URZĄDNI: TOW. WZAJEM. W K...
SEKCJA...

niezlomną wolę. Znał takich ludzi dokoła siebie, bał się ich, a jednak szanował. Z właściwą sobie szybkością kombinacji ujrzał w przyszłości rozkwit warsztatów pod kierunkiem dzielnego Jana Oberle, podczas gdy on sam zasiadłby w parlamencie niemieckim i wyrabiał sobie w świecie berlińskim najwyższe stosunki. Umiał on ciągnąć korzyści nawet z zawodów i rozczarowań swoich, tak, jak się wyzyskuje drzewne odpadki. Zamiast się unosić gniewem, dał się rozczulić otwierającej się przed nim perspektywie. Zniknęła nienaturalna ironia, a ręką wskazując na warsztaty, w których stalowe piły krzesaly omszałe Wogezów olbrzymy, odezwał się teraz w tonie serdecznego łajania:

— Niech i tak będzie! Ucieszysz matkę, dziadunia i wuja Ulryka. Zgadzam się na to, ale na to jedno tylko. Przed kilkoma laty nie byłbym ci pozwolił odmówić kariery, którą miałem za najlepszą dla ciebie, a która i nas miała osłonić od tysiącznych niedogodności. Wówczas nie mogłeś ogarnąć położenia, ja zaś wzdrygałem się przekazać ci zajęcie trudne i zachwiane. Odtąd dużo się zmieniło. Interes się rozszerzył. Życie stało się możliwem dla mnie, dla was, dzięki usiłowaniom, a nawet ofiarom niedocenionym przez najbliższych. Dziś przyznaję, że nasze zakłady mają przed sobą przyszłość. Chcesz mnie zastąpić? I owszem, odrazu ci otwieram do tego drogę. Przez te siedm miesięcy, które upłyną do dnia, w którym masz wstąpić do wojska, możesz się praktycznie ćwiczyć w naszym rzemiośle i rozpatrzyć w interesie, pod jednym atoli warunkiem...

— Jakim?

— Że nie będziesz się zajmował polityką.

— Nie mam żadnej do tego skłonności.

— Przepraszam — podjął, zapalając się, Józef Oberle. — Nie wiem, czy się dobrze rozumiemy. Nie sądzę, abyś żywił jakieś ambicje polityczne na własną rękę. Jesteś na to zbyt młodym, bodaj zbyt skromnym. Nie tego ci dziś wzbraniać zamierzam. Czego ci zakazuję, to szowinizmu alzackiego, zakazuję ci powtarzać ustawicznie: Francya! Francya! Zakazuję nosić barwy trójkolorowe pod kamizelką, Zakazuję naśladować studentów strasburskich, którzy, aby się porozumieć, wygwizdują w ucho samejże policyi sześć nut Marsylianki: *Formez vos bataillons!* Nie chcę tych wszystkich drobnych zuchwalstw, które pociągają za sobą wielkie niebezpieczeństwa. Wszystko to jest nam wzbronionem, nam przemysłowcom, pracującym w kraju niemieckim. Sprzeciwiają się one naszym interesom, bo nie Francya u nas kupuje deski. Francya stąd jest dziś bardzo daleko, sądząc po ustaniu przyływu pieniędzy i zamian z tamtej strony granicy. Nie zapomnieć ci o tem: stałeś się przemysłowcem niemieckim, zginiesz, jeśli się od Niemców odwrócisz. Myśl, co chcesz o przeszłości, o teraźniejszości, o historii swego kraju. Nie pytam o twe zdanie. Ale jeśli ci tu ma być zbyt ciasno, radzę ci szukać przyszłości gdzieindziej.

Uśmiech rozchylił męskie usta Jana, podczas gdy czoło nie straciło dotychczasowej powagi.

— Chcesz zapewne wiedzieć ojcze, co myślę o Francyi?

— Oczywiście.

— Otoż kocham Francję.

— Nie znasz jej!

— Znam jej dzieje, znam literaturę, porównywałem, ot i wszystko. Wiele rzeczy odgadnąć

przychodzi, kiedy w grę wchodzi plemienna przynależność. Nie dałeś mi jej poznać inaczej.

— Nie dałem, bom chciał was osłonić przed tym duchem opozycyjnym, który u wstępu życie wyjałowić musi, który byłby z was uczynił mal-kontentów niedoleźnych, nieboraków, jakich wielu w Alzacyi, a którzy ani Francyi, ani Alzacyi nie służą, dostarczając tylko Niemcom powodów do gniewu i ostrości. Jeślim was tak chował, to dlatego, aby wam oszczędzić tych zawodów, co moje życie stargały. Ale miałem i inne powody. Do czegoż to doszło, że przed własnymi dziećmi trzeba mi się tłumaczyć. Nie darmom napił się kultury francuskiej, aby ją, jak przynależy, nie oceniać....

Tu przerwał, chcąc zmierzyć wrażenie, wywarłe na synu, ale Jan nie drgnął, nie zdradził żadnego ze swych uczuć. Party nieubłaganą potrzebą usprawiedliwienia swych kroków, p. Oberle ciągnął dalej:

— Wiesz, że tu język francuski jest źle widzianym. W Bawaryi nabrać mogłeś dostateczniejszego wykształcenia, aniżeli w Strasburgu. Tam mogłem ci dodać lekcye francuskie. Tu, byłoby się to na nas mściło. Oto, cę mną kierowało w wyborze, działałem w dobrej wierze i dla dobra twego.

— Nie mam prawa cię sądzić, mój dobry ojcie. To jedno mogę ci zaręczyć, że choć nie nabrałem uwielbienia bez zastrzeżeń dla niemieckiej cywilizacji, nauczyłem się żyć z Niemcami. Potrafię z nimi wyżyć, nawet w Alzacyi.

Ojciec wzruszył ramionami z powątpiewaniem.

— Dotąd — rzekł Jan — moje poglądy żadnych mi w Niemczech nie zgotowały przeciwników. Sądzę, że można stanąć na czele przed-

siębiorstwa przemysłowego, nie zmieniając zdania.

— Daj Boże — odparł p. Oberle.

— Więc ojciec zezwala? — Więc wolno mi tu zostać?

Przemysłowiec nacisnął na guzik elektryczny. Po chwili we drzwiach ukazała się postać słusznego mężczyzny, o płowych włosach, jasniebieskich oczach i rudawej brodzie.

— Wilhelm — rzekł pan Oberle po niemiecku — od dziś wtajemniczysz mego syna we wszystkie sprawy fabryki, wykażesz mu wszystkie nasze dochody i rozchody, objeżdżać z nim będziesz poręby przez nas zakupione, i to przez sześciomiesięczny przeciąg czasu.

Drzwi się zawarły. Młody, wytworny młodzieniec pochylił się nad ręką ojcowską, w niemem upojeniu.

— Otom znów Alzeczykiem! — Dziękuję ci ojcze!

Ojciec chłodniej odpowiadał na objawy radości syna. W duszy pomyślał: — Rodzone dziecko Moniki, żywy jej portret w każdym uczuciu i słowie! Ale głośno powiedział tylko:

— Szczęście wasze jest moim jedynym celem. Zgadzam się na zmianę widoków dla ciebie. Obyś tylko umiał tak dobrze zrozumieć nasze obecne położenie, jak je twoja siostra potrafiła ocenić.

Jan wyszedł z kantoru, a za nim wnet ojciec pospieszył. Ale gdy ten ostatni zdążył do córki, z którą jedną dzielił i zamieniał najskrytsze myśli, Jan szybkim krokiem wyszedł w stronę lasu. Nie mógł jednak przedłużyć wycieczki, ze względu na niedaleką godzinę śniadania. Doszedł tylko do winnic i chmielarni, które się rozciągały mię-

dzy wioską a lasem. W duszy mu grało szczęście. Gdy stanął przy winnicy, którą znał od kolebki, gdzie igrał dzieckiem, wspiał się na brzeg drogi, skąd szerszy dostrzedz było można krajobraz. Mimo smętnego oświetlenia zimowego, pomimo wichru i szarych obłoków, znalazł urok niezrównany w tej Alzacyi swojej rodzonej, która się przed nim rozciągała niby łąka, pasmami ściernisk i ugorów poprzedzielana. Zieleniały już młode ozime zasiewy, żyzna bujność gleby się wszędzie ujawniała. Wszystko tu rosło, kielkowało, wschodziło. Tu i owdzie zrywały się czarne wrony, żerujące na polach. Jan otworzył ramiona, jak gdyby chciał być całą krainę do swych przycisnąć piersi: — Kocham cię Alzacyo moja, kocham, i wracam do ciebie na zawsze! Popatrzył w stronę Alsheim, na dom rodzicielski sterczący ponad inne, poszukał następnie ukrytego w gęstwinie innego dachu. Długo się w ów szary szczyt wpatrywał. — Witaj mi, dziewczyno Alzacyi! Może mi będzie wolno cię pokochać! — a wtedy dobrze będzie nam tu żyć pospołu!

Dzwonek wzywający na śniadanie, przebudził go z rozmarzenia. Dźwięk to był ostry, acz przyciszony, głoący w przestrzeni, niesiony w dal na skrzydłach wiatru z północy, który nad Alzacyą szumiał.

III.

Zebranie rodzinne.

Jan Oberle szedł zwolna za głosem dzwonka, powołującego go do domu. Wszystko mu w tej chwili było rozradowaniem. Po latach znów się przed nim otwierał ten świat jego rodzony, w którym wolno mu teraz było zamieszkać, pracować i być szczęśliwym. W wyobraźni jego snuły się najpiękniejsze obrazy rodzinnego życia, wpływów społecznych, rozszerzenia warsztatów, ozdoby własnej siedziby. Wszakże ten dom, to dom jego rodzicielski. Wpatrywał się w niego z miłością, z rzewną czcią, stapał po stopniach, wiodących ku drzwiom wchodowym, wspominając, że dziad jego dom ten zbudował, że był właściwym twórcą powodzenia i rozrostu przedsięwzięcia przemysłowego pod firmą Oberle.

Znalazł się niebawem w sali jadalnej, jedynej komnacie, odnowionej wedle wskazówek i upodobań p. Józefa Oberle. Podczas gdy w całym domu wszystko pozostało po dawnemu, stare sprzęty, wypelzłe materye, mahoniowe krzesła, sala urządzona przez młodszego pana, uderzała zupełnem pogwałceniem linii. Miejsce stylu zastępowała istna orgia kolorów. Wykładanie z różnobarwnego drze-

wa ozdabiała ściany, tworząc ramy dla wpuszczonych płócien, na których obiegały festony najjaśniejszych kwiatów, róż, irysów i mieczyków. Wszędzie, gdzie tylko było podobnem, rozłamana została prosta linia. Falowały obramienia okien, zaginały się, niby bluszcze, ramy drzwi, wiedeńskie gięte krzeselka i stoły odpowiadały kształtami swymi ozdobie murów. Całość była bezstylowa, ale nęciła delikatnością światła i dalekiem przypomnieniem roślinnego świata. Rzekłbyś — sala jadalna młodego a szczęśliwego małżeństwa.

Tymczasem grono, zasiadające do rodzinnego stołu, nie zdawało się być dopasowaniem do wesołego stroju i nastroju komnaty. Brakło mu pogody i harmonii; zasiadali na oznaczonych miejscach w porządku, ustanowionym raz na zawsze.

Pierwsze miejsce pod oknem zajęła pani Monika Oberle. Smukła i gibka jeszcze, straciła rychło młodzieńczą krasę, z twarzy jej wychudzonej i przybladłej wychylała się istota, nawykła wciąż słyszeć wieczny wyrzut: „Mylisz się! Nie masz słuszności!“ Łagodne jej spojrzenie zdawało się witać gości uśmiechem nikłym, cofającym się wnet, a ustalającym się tylko wtedy, gdy nic jej wzroku nie odepchnęło, ani nie uraziło. Wtedy dopiero można było z oczu jej poznać i przyrodzoną a jasną bystrość umysłu i wielką dobroć serca, spłoszonego nieco i smutnego, lecz zdolnego jeszcze młodych złudzeń.

Nikt od niej nie miał swobodniejszej młodości, nie przysposabiającej jej bynajmniej do późniejszych prób życiowych. Nazywała się wówczas Moniką Biehler; pochodziła ze starej rodziny Biehlerów z Obernai. Z wyższego piętra rodzicielskiego domu ogarniała wzrokiem szeroką, równinę Alzacyi, którą ukochała całym dziecięcym

sercem, ciesząc się pokojem, szczęściem, wolnością, któremi oddychały te wioski, bielejące wśród różnobarwnych łąków. Nie opuszczała nigdy domu, jak tylko na to, aby dwa miesiące letnie przepędzić w Heidenbruch, siedziby położonej wśród lasu św. Odyli. Za ledwie raz jedyny wyjrzała za zielone pasmo Wogezów, aby odbyć pielgrzymkę do kolebki Dziewicy Orleańskiej. Te trzy dni w Lotaryngii spędzone, minęły dla niej jak jedna chwila zachwycenia i modlitwy, dostarczyły jej najczystszych rozkoszy. Wspominała wiecznie swą wycieczkę do Francji. W ustronem swem życiu zachowała była dziewiczość wrażeń i wspomnień, świeżość zapalów, gorące przywiązanie do stron rodzinnych, do ziemian Alzacji. Więcej też od każdej innej przyszło jej boleć nad zwrotem męża ku niemieckim prądom i stronnictwu. Cierpieć jej przyszło w patryotyzmie swoim zarówno, jak w swej miłości macierzyńskiej. Z tych samych powodów, które ją odłączały moralnie od małżonka, widziała się stopniowo odciętą od własnych dzieci. Na przedwcześnie zwiędłym obliczu znaczyły się zmarszczki wzgardzonej dobroci, obrażonej miłości ojczyzny, rozłąki z dziećmi, słowem, wszystkich smutków, które udaremniły zaskarbione w życiu zapasy tkliwego uczucia.

Nacierpiała się tem więcej, że rychło przejrzała w zamiarach małżonka. - Uosabniała ona w jego oczach sprawę, której się sprzeniewierzał, była mu niewygodnym świadkiem i sędzią, a choć milczała, czuł nad sobą jej nieme wyrzuty, przed nią próbował usprawiedliwić swe postępowanie, na nią raz po raz unosił się gniewem. Atoli nigdy, od lat dwudziestu, nie wydarł był jej żadnego słowa przyzwolenia na germanizację Alza-

cyi. Ta cicha, ta nieśmiała, ustępowała przed siłą, ale się na nią nie godziła. Towarzystwa mężowi, gdziekolwiek żądał, lecz w domach niemieckich tyle okazywała godności, że każdy bez urazy musiał wiedzieć, co o niej myśleć. Nawet po rozłączeniu z dziećmi, nie rozłączyła się z mężem. Zajmowali po dawnemu wspólną małżeńską komnatę. Powtarzały się częste dyskusye, czasem obustronnie gwałtowne, najczęściej nieme z jednej strony. Pani Oberle czuła, że mąż się wzdryga przed jej jasnowidzeniem i sądem. Ufała, że przyjdą dni lepsze, w których słuszność jej przyzna. Teraz, gdy dzieci podrosły, wiedziała, że nastąpi pora ważniejszych decyzji, zaczęła spodziewać się okupić długą swą cierpliwością i ustępstwami przywilej odezwania się wówczas i to w sposób rozstrzygający.

Obok niej zasiadał stale pan Filip Oberle. Od całego szeregu lat, na pięć minut przed każdym posiłkiem, otwierały się drzwi jadalni na ościerz, i wchodził starzec, oparty na ramieniu lokaja. — Ubrany ciemno, z czerwoną wstążeczką Legii honorowej na piersiach, acz próbował się prostować, głowa opadała jakby zmęczona, powieki prawie zamknięte, ukrywały wyraz oczu, twarz nabrzękła i bezkrwista, świadczyła o długiej niemocy. Usadowiwszy go w krześle, służący zakładał mu u szyi serwetę, poczem czekał na nadejście reszty członków rodziny. Białe woskowe ręce o nabrzmiąłych żyłach, spoczywały bezsilnie na poręczu. Niebawem p. Józef Oberle witał ojca uściśnieniem dłoni, Lunia słała mu w powietrzu pocałunek i kilka słów wesółych, aż wreszcie pani Monika z uszanowaniem całowała rękę starca i przy nim zasiadała. Patrzał na nią, nie oglądał się na tamtych. I oto oboje, robili razem znak

krzyża św., jako prawe dzieci tej Alzacyi, która się jeszcze modliła. I pod opieką synowej, która знаła wszystkie jego kaprysy, a wyrozumiała wszelakim niezręcznościami, zaczynał jeść w milczeniu, oparty o krzesło, jakby nieruchomy i martwy. — Bo też w zniszczonem ciele głowa jedna zdawała się żyć jeszcze; przesuwaly się przed nim wywołane cienie przodków i dziadów dzisiejszego pokolenia.

Nie mówił nigdy, ani nie rozmawiał, rozpamiętywał tylko. Raz po raz z zanagera wyciągał tabliczkę, aby nakreślić kilka słów niewyraźnych, które synowej podawał. Bywała to bądź jaka rektyfikacya, bądź data, najczęściej jednak niemy protest przeciw wszystkiemu, co się po drugiej stronie stołu mówiło. Rozpoznać było można, iż go coś wzburzyło lub zajęło, po nagłym zwiślych powiek poruszeniu. Ale bywały to zaledwie przelotne błyski. Życie wnet opadało na dno więzienia, którego kraty spróbowowało przez chwilę wstrząsnąć. Mimo zaś długiego oswojenia się z widokiem tego smutku i takiego zniszczenia, była to zhora ciążąca nad całą rodziną. Zrazu pan Józef Oberle gości swych z uszanowaniem przedstawiał staremu ojcu. Niebawem ten zastrzegł się przed tą ceremonią, napisawszy na tabliczce: — Nie przedstawiaj mi odtąd nikogo, zwłaszcza żadnego Niemca; wystarczy jeśli mi się zdaleka uklonią. Z dawnych zwyczajów, pan Józef Oberle zachował codzienne składanie raportu z przebiegu robót warsztatowych sędziwemu ich założycielowi. Zdawało się starcowi, że jeszcze rządzi i prowadzi interes, gdy słyszał o deskach i belkach, o buczynie i dębinie, o sosnach i świerkach, wśród których przez lat pięćdziesiąt się obracał. Dbał o wieczorną „konferencyę“, je-

dyną w dniu chwilę, kiedy jeszcze uczestniczył w ruchu i życiu ogólnem. Po za tą godziną, był już tylko cieniem, snującym się jak widmo po własnym domu, aby w milczeniu sądzić nowe jego kierunki.

Syn bowiem na najważniejszym gruncie rozszedł się był z ojcem. Siedząc przy stole naprzeciwko milczącego starca, mógł on tylko z żoną i córką rozmawiać, mógł udawać, iż nie widzi oznak niecierpliwości rodzica. Nie unikał zresztą drażliwych kwestyj. Jak wszyscy ludzie, którym wypadło w życiu powziąć jakie stanowcze postanowienie, wśród wielkiej sumienia rozterki, wciąż nawracał do kwestyi niemieckiej, wszystko służyło za pozór do podjęcia wiecznie jednej rozmowy. Odczuwał potrzebę przechwalania się z obranej drogi, niby wódz, który po bitwie tłomaczy, dlaczego tak, a nie inaczej postąpił. Wszystkie subtelnosci bujnego rozumowania ostrzył na zagadnieniu, które w jego oczach raz na zawsze było rozwiązaniem, i nie podlegało już dyskusji, ani ze strony schorzałego starca, ani też ujarzmionej i oniemiałej małżonki.

Jedna Lunia słowem i uśmiechem przytakiwała ojcu.

A czyniła to ze stanowczością młodego wieku, gotowego w czambuł zasądzić żale starszych, pamiątki przeszłości, drogie wspomnienia, niby uwędłe, martwe już zażytki, które zdrowy rozsądek odrzucał. Liczyła lat dwadzieścia, a tak była rozwinięta, że robiła raczej wrażenie młodej kobiety, aniżeli panienki. Z natury swej dumna, gwałtowna, naiwnie pewna siebie, uchodziła może nie bardzo słusznie za dobrą dziewczynę. Smukła, jak matka, resztą rysów przypominała alzacki typ ojca. Wszystkie wrażenia malowały się na

jej twarzy, pełnej wyrazu, zwłaszcza oczy jej i usta wymownie zdradzały myśl jej i odbicie rozmowy. Nie była to zgoła marzycielka. Do żywości umysłu łączyła inne jeszcze wdzięki. Usprawiedliwiały one wielkie jej w świecie powodzenia, a przede wszystkim świeżość cery, bujność złotych włosów, wieńczących jej skronie, jak hełm greckiej bogini.

Słysnęła ze zrzęczości w grze tenisa, pływała, jak najada, odznaczała się mistrzowskim łyżwowaniem. Zamiłowanie sportów i wychowanie fizyczne oddaliło ją od matki, która mało się z domu ruszała. Inne atoli i ważniejsze rzeczy pogłębiły przepaść dzielącą matkę od córki. Niemiecka pensya nadała zupełnie inny kierunek tej ostatniej szerszem, pedantyczniejszym, a zwłaszcza mniej pobożnem wykształceniem od tego, które niegdyś jej matka pobrała u zakonnic w Strasburgu. Ale najwięcej ich rozdzielały teraz stosunki. Lunia na wzór ojca marzyła o powodzeniach, odziedziczyła jego ambycję; od dzieciństwa powierzona nauczycielkom niemieckim, rosnąca później w niemieckim środowisku, wśród wyłącznie też niemieckich towarzyszek, zdala od wpływów macierzystych, nabrała poglądów i nawyków całkiem obcych dawnej Alzacyi. Za powrotem do domu, nie rozumiała już plemiennej odrębności swej rodziny. Dla niej schorzały dziadunio, smutna matka, stary dziwak Ulryk, byli przedstawicielami żaloby i tęsknoty bodaj dziecinnej, za rozwiązłym niepowrotnie dawnym porządkiem rzeczy.— Odrąz stanęła po stronie ojca przeciwko tamtym. Upokarzały ją zac ofane, zwietrzałe poglądy matki, którą kochała serdecznie, odczuwając wszelako rodzaj politowania dla jej wyobrażeń zaśniedziałych. W jej oczach, pani Monika Oberle należała do jakiegoś świata oddawna już pogrzeba-

nego. Wśród dusznej atmosfery domowej, pełnej sprzeczek i sprzeczności, — tęsknota za bratem, któryby podał ucho na jej młode zwierzenia: ale czy i z tej strony nie znajdzie nowego zawodu? Nie wiedziała też, czy się cieszyć, czy też lękać powrotu Jana, czy użyczy jej poparcia, czy też stanie w przeciwnym obozie? — W każdym razie, gdy jej ojciec powtórzył rozmowę z synem, odpowiedziała okrzykiem radości, iż z niemi, iż przy nich zostanie.

Już wszyscy zasiedli byli do stołu, gdy młodzieniec wszedł do sali jadalnej. Powitały go dwa uśmiechy, z których jeden zdawał się mówić: „Jakże dumną jestem z dziecka mojego“, a drugi wyrażał radość, że ktoś młody, ktoś nowy czywi dom, rozweseli rodzinne życie. Lunia ubrała się staranniej na powitanie brata. Ślicznie też wyglądała w jasnej bluzce, naszytej koronkami.

Jan rzucił jej spojrzenie wdzięczne i wesołe, poczem zajął miejsce między matką i siostrą. Lokaj Wiktor, wieśniak alzacki, o okrągłej twarzy, rozświeconej zestraszonymi oczyma dziecka, podawał mu półmisek, gdy p. Józef Oberle, pogłodziwszy siwiejące bokobrody, zawołał:

— Wszystkim wszechobec oznajmiam, że ten oto Jan Oberle, którego widzicie przed sobą, postanowił osiedlić się w Alsheim i obrać rodzinne rzemiosło przemysłowca i handlarza drzewem.

Zapłonęły twarze i oczy siedzących przy stole, nawet lokaj zaczerwienił się po same uszy.

— Czyż to podobnem? — spytała Lunia, nie chcąc się zdradzić że przed matką została powiadomioną o zapadłej rezolucyi. — Opuści więc zawód referendaryusza?

— Oczywiście.

— I po odslużeniu roku wojskowego do nas na zawsze powróci?

— Na zawsze.

— Tem-ci lepiej! — zawołała Lusia, której oczy zwilgotniały szczerem uczuciem. — Nie wiem, o ile to dla ciebie korzystne, mój Jasiu, ale dla nas szczęście.

Radość dodawała jej krasę, opromieniając młodą twarzyczkę.

— Dziękuję ci, Józefie — odezwała się poważnym głosem pani Oberle, szukając na obliczu męża wytłómaczenia pobudek, które go zniewoliły do udzielenia synowi pozwolenia, o które sama nie śmiała go prosić.

— Widzisz, że kiedy żądacie rzeczy rozsądnych, gotów jestem na nie się zgodzić — odparł zagadniony. — Tak zresztą rzadko słyszę wyrazy podziękii, że mi na ten raz są miłymi. Zapadło stanowcze między nami postanowienie. Zaraz jutro Jan objedzie poręby. Wiecie, że nigdy czasu nie tracę.

Ręka starca podała synowej tabliczkę, na której drżącym pismem był nakreślił:

„Ostatnia to radość mego życia.“

A jednak na martwej twarzy nie wyrażało uradowania, nie, krom może wzrok wlepiony upornie w syna, jakby dziękujący mu, że oddał Alzacyi jej dziecię, że dał następcę rodzinnemu przedsiębiorstwu. Zdziwiony, cieszył się na swój niemy sposób. Reszta uczestników obiadu zapomniała o posiłku, aby folgować szczerzej radości. Wiktor zabiegł do kuchni, wołając na wsze strony: „Pan Jan obejmuje kierownictwo warsztatów! Pan Jan już więcej nie odjedzie!“ Wszystkie cztery osoby przy jednym połączonym stole snuły odrębne marzenia i zamiary. Coś zaszło,

coś się zmieniło i zerwało w przebiegu codziennego życia, rozświeconego nagle wielką, niespodziewaną pociechą.

Lunia ochłonęła najpierwsza z wzruszenia :

— Cóż to? Czyśmy oniemieli? Czy dlatego, że Jaś powrócił, po dawnemu przy stole zapanuje milczenie, chyba nie dodające uroku naszym rodzinnym zebraniom.

I poczęła żartować wesoło z głuchej dotychczasowej ciszy ich domu, z rzadkich gości, zabiegających w te progi, ze znaczenia rzadszych do Strasburga wycieczek. Zapanowała na razie miła atmosfera i nastrój swobodny.

— Wszystko się teraz zmieni. Będzie nas pięcioro za stołem. A nawet w ciągu jednorocznej służby chyba wolno ci będzie tu zaglądać.

— Co niedziela.

— Może już w soboty na noc — wtrąciła pani Oberle.

— Ma się rozumieć.

— A dopieroż śliczny wdziejesz mundur! — rzekła Lunia. Granatowy, z żółtymi wyłogami — najpiękniejszy to mundur w naszym całym wojsku....

— W całym wojsku niemieckim — poprawiła pani Oberle, podczas gdy dziadunio ręką zdawał się coś na obrusie kreślić.

— Najładniejszy, lecz i najkosztowniejszy zarazem — wtrącił, śmiejąc się Józef Oberle. Musisz oceniać moją wspaniałość, bo wybór tego właśnie pułku co najmniej mnie narazi na 8000 marek całorocznego wydatku.

— Czyż być może?

— Wczoraj jeszcze radca von Boscher o tem mnie upewnił.

— Bo też jest to pułk wyborowy — wtrąciła Lunia.

— Istotnie, służą w nim ludzie najmajętniejsi. . . .

— Przeważnie szlachta, oraz synowie bogatych nadreńskich przemysłowców.

Ojciec z córką znaczący uśmiech zamienił, w lot schwytyany przez Jana.

— To też niełatwo się dostać w poczet buzarów reńskich! — ozwała się Lunia.

— Dolożyłem wszelkich statań, aby cię tam przyjęto. Poleciłem cię pułkownikowi, oraz innym oficerom.

— Powinienbyś ich tu kiedy przyprowadzić — nieogłędnie zawołała roztrzepana Lunia.

Jan zamilkł. Pani Oberle się zapłoniła, co jej się nieraz zdarzało, gdy podobne słowo padło przy stole. Dziadunio zwrócił na Lunię smutne swe, martwe spojrzenie. Oczy te musiały osobną posiadać wymowę, bo znikł uśmiech z twarzy Luni, i odwróciła się żywo, aby ojcu dolać wina, machnąwszy z lekka ręką, jakby na znak, że zapomniała o obecności dziadka. Reszta towarzystwa jęła gorączkowo zagadywać nieszczęśliwą sprawę. Ale pan Filip Oberle nie przestawał mierzyć wnuczki surowem jak wyrzut sumienia, nieprzejednanem spojrzeniem. Zniknęła dotychczasowa swoboda, a ogólne pomieszanie jeszcze wzrosło, gdy p. Filip Oberle, głuchy na zakłęcia synowej, aby wybaczył wnuczce, zaprzestał jeść i odsunął od siebie potrawy.

W dziesięć minut później, Lunia zarzuciwszy na siebie ciepłą chustkę, wybiegła do ogrodu, gdzie się Jan był udał dla wypalenia papierosa. Oczy jej teraz już się nie śmiały, przeświecała w nich pewna namiętna surowość i upór nieprzearty. Nie zważała na wiatr, rozwiewający jasne na czole jej zwoje włosów.

— Widziałeś, co się tu dzieje! — zawołała.
— Trudno dłużej wytrzymać!

Jan rzucił zapalną, a puściwszy kilka kłębow dymu, odparł uspokajająco:

— Zapewne, że trudno, — ależ ma'eńka moja, trzeba umieć być cierpliwą.

— Tu żadnej maleńkiej już niema, — jestem dorosła i pragnę się na seryo dziś z tobą rozmówić. Nie znamy się już prawie, a poznać i porozumieć się z sobą musimy. Nie lękaj się, ja ci to ułatwię.

Spojrzał z tklivem uwielbieniem na to młode stworzenie, pełne świeżej urody i gwałtownego wzruszenia, które do niego spieszyło, aby mu się zwierzyć i zawierzyć. I oto, jęli się razem przechadzać wzdłuż trawnika.

— Mów szczerze, Luniu, możesz liczyć na...

— Na twoją dyskrecyę? ta mi dziś niepotrzebna. Chcę ci przedłożyć mój sposób widzenia, z którym się bynajmniej nie taję. Powtarzam, że tu życie stało się nieznośnem. Nie można wspomnieć Niemców inaczej, jak z nienawiścią. Na najmniejsze słówko pochwały dla nich, za najprostszem oddaniem im sprawiedliwości, mama wargi zacina, dziadunio publicznie mnie wobec służby upokarza. Alboż to zbrodnia jednorocznemu żołnierzowi powiedzieć: „Przywiedź nam tu swoich oficerów.“ — Cóż na to poradzi, że ci przyjdzie służyć w mieście niemieckiem, w pułku, złożonym z Niemców, którzy mimo tego ich grzechu pierworodnego, są bardzo przyjemni i wykształceni ludzie.

Rwała nerwowo złoty przy zegarku łańcuszek.

— Nie domyślasz się, com już wycierpiała w tym domu, tak różnym od wychowania, jakie

mi odebrać przyszło. Po cóż mnie tedy było w ten sposób wychowywać?

— Pamiętaj, Luniu, że tylko ojciec nasz w tych rzeczach rozstrzygał — rzekł Jan, odejmując od ust cygaro.

— Bo on jeden ma rozum!

— Luniu! jakże możesz tak matce uczybiać?

— Wiedz, że nie umiem ukrywać, ani przesłaniać myśli swoich. Kocham mamę bodaj więcej, aniżeli mniemasz, co mi nie przeszkadza ją sądzić. Posiada ona t zw. chłopski rozum, ma wiele rodzimej wykwińtości, dosyć literackiego poloru, ale natomiast żadnego wyobrażenia o szerszych sprawach. Nic nie widzi poza granicami Alsheim. Ojciec nasz daleko lepiej zrozumiał nasze położenie w Alzacyi, dużo go nauczyły rozległe jego stosunki, oraz ambicye jego i dobrze zrozumiane korzyści handlowe...

Jan spojrzał ze zdziwieniem.

— O jakichże ambicyach wspominasz?

Ale mu Lunia przerwała:

— Znajdujesz, że pozwalam sobie na krytykę starszych, zarzucasz mi brak uszanowania?

— Po trochu.

— Uprzedzam twe zdanie, ułatwiam zadanie. Ty dziś powracasz, ja już od lat dwóch opuściłam pensyę. Niema co mówić: ojciec nasz ma swoje ambicye. Posiada srebrną wszystko, czego potrzeba, aby się wynieść nad drugich: wolę żelazną wobec podwładnych, zręczną giętkość w o-bec innych, dużo więcej sprytu, aniżeli go mają tutejsi niemieccy urzędnicy czy przemysłowcy. Wcale nie ręcę, czy nie wysunie swej kandydatury na posła, teraz zwłaszcza, to pewien jest poparcia namiestnika Alzacyi.

— Ależ to niepodobnem, Luniu!

— Zobaczysz, że tak będzie. Nie wchodziło to w twoje rachuby, kiedyś postanowił wrócić i osiedlić się w Alsheim. Widzę, że cię ta rzecz zmieszala. Będziesz ich widział wiele więcej. Tyle ci wystarczy powtórzyć, że pobyt w domu rodzicielskim nie jest wcale wesołym. Tkwi między nami niepowrotne rozdwojenie.

— Sądzisz, że niepowrotne? — spytał Jan, zwracając ku domowi swoje kroki.

— Ma się rozumieć. Ojciec już się nie odmieni, nie zostanie napowrót Francuzem, bo tym krokiem zniszczyłby wszystkie swoje widoki handlowe i wszystkie też ambicje. Mama z swojej trony się nie ugnie, bo jest kobietą i za nicby się zniemczyć nie dała. A chyba o dziaduniu nie ma co mówić.

Tu stanęła i spojrzała w oczy bratu.

— Skoro więc łagodnością nic nie wskórasz, spróbuj przemocą pokój nam wrócić. Złącz się ze mną, z naszym ojcem, nawet choćby nie we wszystkim zdanie nasze podzielał. Gdy mama się przekona, iż dzieci jej inaczej myślą, stopniowo odbiegnie swych dzieciomych mrzonek, wymoże na dziaduniu, aby poniechał przykrych, sak dzisiejsze starć. Weźmiemy górę i nasze potilki codzienne przestaną być polem ciągłych zajargów. Ojciec mi wspomniał, że i ty nie przepadasz za Niemcami. Ale ich chyba nie nienawidzisz?

— Nie.

— Proszę cię tylko o wyrozumienie i względnosc dla nich, dla nas, co ich widzimy. Spędziłeś dziesięć lat wśród Niemców, nie będziesz uciekał z domu, gdy który z nich progi nasze przestąpi?

— Zapewne. Ale moja Luniu, choćbym nawet inne zajął stanowisko, jak nasza matka, nigdy bym nie potępiał jej postępowania. Rządzą nią tak rzewne pobudki!

— Rzewne? Mnie się one zdają wprost szalone.

Starły się oczy brata i siostry. On nie odnajdywał już wesołej, serdecznej panienci, która go w domu powitała, ona nie pojmowała, że jej brat stawia czoło. Pierwsza ta ich rozmowa uwydatniła gwałtowność rodzica, odziedziczoną przez córkę, niezłomną wolę matki, odradzającą się w synu. Lunia potrząsnęła główką:

— Przypuszczasz widocznie, że w mamie znajdziesz powiernicę serdeczną? Mylisz się, mój drogi. Dobra ona, godna wszelkiej czci, ale czuje się nadto nieszczęśliwą. Naprózno spróbowałam się jej zwierzać. Wszystko, co się jej powie, służy tylko za nowy argument, popierający jej poglądy, utwierdzający jej smutną oporność. Gdybyś np. chciał się żenić z Niemką...

— A to co? Nigdy, przenigdy!

— To tylko przypuszczenie. Otoż mama zarazby pobiegła do ojca, aby mu wyrzucać, że to jego wina, że on do tej sromoty doprowadził! Jeśli zaś wybierzesz sobie Alzatkę na żonę, mama powtarzać będzie: „Stanął po mojej stronie, przeciw tobie, przeciw tobie!“ Nie, Jasiu, jedynie tu z Lunią możesz szczerze, możesz spokojnie rozmawiać!

I podniosła ku niemu twarz promieniejącą młodością i życiem.

— Bądźmy z sobą szczerzy. Widzę, że cię niejednem gorszę i zdumiewam. Ale widzisz, ja do ofiar nie bardzo skora, mam na to za wiele dumy, nadto indywidualności. Cieszyłam się na twój

powrót. Potrzebuję kogoś bliskiego, młodego, z którym mogłabym wszystko dzielić, wszystko mu zwierzyć. Mam swoje wady, ale umiem być szczerą. Czy pozwolisz, abym ci wszystko opowiedziała, moje zamiary, wyobrażenia, marzenia?

— I owszem, siostrzyczko.

— Opowiem ci moje smutki, będę miała do kogo przemówić w tym smutnym domu. Wynagrodzimy sobie lata rozłąki... O czymże myślisz?

— O tym biednym, smutnym domu naszym.

Rzuciła okiem na dach rodzicielski, jakby z urazą do jego smętności. Poczem uścisnęła brata.

— Nie jestem tak złą, ani tak niewdzięczną, jak się wydaję, braciszku. Pójdę teraz do mamy, która potrzebuje się nacieszyć twem przybyciem i o tobie mówić.

Odchodząc, raz jeszcze rzuciła bratu uśmiech wesoły, a gładząc rozwiane włosy, ruchem młodej bogini podbiegła ku drzwiom domu, które się za nią zawarły.

IV.

Stróżki ogniska.

Rozłączywszy się z siostrą, Jan wyszedł z ogrodu na drogę wiodącą w pole, po za Alsheim. Radość powrotu w ojczyste strony już się dla niego zmroczyła. Pobizmiewały w jego pamięci usłyszane słowa, myślał o swoim „smutnym, biednym domu“, całkiem innym, aniżeli sobie zdala wyobrażał, śniąc o radościach powitania, o pierwszym dniu, spędzonym pod rodzicielskim dachem. Pierwszy dzień ten upłynął, niestety, całkiem inaczej, aniżeli go sobie był wymarzył.

Nawet pogoda się popsuła. Przed oczyma Jana Oberle rozciągała się alzacka równina, zaledwie tu i owdzie urozmaicona pasmami drzew nadrożnych, wiodących w górę, aż ku leśnym Wogezów szczytom. Wiatr północny dał silnie, miewając poszarpane chmury pełne deszczu i gradu. Powietrze znacznie się oziębiło.

A jednak Jan Oberle usłyszał ponownie nawoływania swej młodości, gdy zoczył w oddali biejącą wśród drzew osadę. Przyśpieszył kroku, przeszedł obok kościoła, stanowiącego poniekąd środek wsi, o kwadratowej wieży, i smukłej dzwonnicy, i znalazł się wnet u stóp czterech

rozłożystych drzew orzechowych, które ocieniały ostatnie, na krawędzi Alsheim położone zabudowania. Była to posiadłość pana Ksawerego Bastiana, niegdyś przyjaciela pana Józefa Oberle, wpływowego patryoty, zamożnego gospodarza. Z podwórza sąsiedniego odzywało się miarowe mlócenie cepami. Dorodni synowie Ramspachera, dzierżawcy p. Bastiana, żwawo dokonywali tej roboty. — Jeden z nich co dopiero opuścił był wojsko, drugi w listopadzie miał być powołanym w niemieckie szeregi. Młócili po dawnemu na boisku stodoły, ilekroć pogoda utrudniała zajęcia w polu. Nic tu nie naruszyło starej tradycji. Jan Oberle z uśmiechem odnajdywał dawne, znajome urządzenia gospodarskie; minawszy podwórze, znalazł się na drodze, wysadzonej drzewami wiśniowemi. Droga ta wiodła wprost do dworku, zamieszkałego przez Bastianów. Serce młodzieńca, młotem w jego piersiach biło. Prawdopodobnie burmistrz nie wyszedł z domu na tę niepogodę. Zastanie go tedy, zobaczy jego córkę, dowie się, czy nie oddała komu innemu serca i ręki.

Ola Bastian! wszystkie wspomnienia Jana w niej się skupiały. Była ona towarzyszką dziecięcych zabaw Luni i jej brata, dopóki się ewolucya polityczna p. Józefa Oberle nie stwierdziła, nie ujawniła w okolicy. Później dla studenta stała się sennem marzeniem, zjawiskiem, widzianem teraz zdaleka tylko, w kościele lub na zawrocie drogi. Choć teraz zamieniano tylko, ukłon chłodny w obecności poróżnionych rodziców, dziewczka miała zawsze uśmiech życzliwy, serdeczne słowo dla dawnych towarzyszy lat dziecięcych, ilekroć Lunię czy Jana spotkała wśród winnic, czy pól wsi rodzinnej. Cóż za urok posiadać musiała ta polna różyczka, wychowana w klaszto-

rze, mniej świetna od Luni, milcząca i poważna? Urok to był właściwy, czar tej krainy, której była córką. Jan pożegnał ją był, jak pożegnał Alt zacyę, nie mogąc zapomnieć. W ciągu tych larozłączenia nieraz sobie powtarzał: Jeżeli ona tymczasem za mąż wyjdzie, będzie to dowodem, że o mnie nigdy nie myślała i oplakiwać jej nie będę. Tymczasem nie wyszła była za mąż, nie słyszał, aby komukolwiek przyrzeczoną została. I oto za chwilę Jan spodziewał się, że ją zobaczy.

Wolał zboczyć z drogi, ocienionej sławnemi na całą okolicę dereniami; nie chciał, aby go naddrożni robotnicy poznali i opowiadali sobie, że widzieli syna bogatego przemysłowca, odwiedzającego ukradkiem dom pana burmistrza. Puścił się miedzą, wzdłuż żywopłotu. Odgłos cepów szedł za nim coraz cichszy, coraz dalszy. Jan tymczasem wciąż o jednym rozmyślał:

— Jak mnie tu przyjmą? jak powitają? Przybywam zdaleka, można przypuszczać, że o wielu rzeczach nie wiem zgola.

Na końcu drogi gaj drzew wawrzynowych zamylał widok. Kamienny most, przerzucony przez rów głęboki, wiódł do starej, drewnianej bramy, zawartej skoblem od wnętrza. Jan przypomniał sobie, iż wystarcza rękę przez szczelinę przełożyć, aby odemknąć wrota, które się też przed nim otworzyły. Coraz bardziej wzruszony, wkroczył teraz w ogród, otaczający dwór niski, o wysokim, czerwonym dachu i przeróżnych wystawkach i przystawkach. Wszystko świadczyło o zamożności, obfitości i prostocie starej Alzacyi mieszczańskiej. Tu na boku stała pasieka, tam prasa do wytłaczania wina, dalej osobne piwnice itd. Stuletnie jawory otaczały półkolem stare domostwo,

wprawione poniekąd w ramy rozłożystych konarów.

Jan przystanął, aby oczy napoić znajomym obrazem, poszukać okienka, na którym rozkwitały hyacenty, gdy wtem we drzwiach dworu ukazała się krzepka i wyniosła postać mężczyzny, który na widok gościa nie mógł ukryć zdziwienia.

Był to pan Ksawery Bastian. W całym powiecie nie było chyba nikogo silniejszego fizycznie, młodszego usposobieniem od sześćdziesięcioletniego burmistrza Alsheimu. Na rozrosłych barkach nosił głowę potężną, uwieńczoną gęstą, siwą czupryną, a nacechowaną zarazem i uprzejmością i rodzajem dumy niczem nieuleknionej. Zachował był dawny strój mieszczański w Alzacyi, długą kapotę, ogólnie dziś poniechaną. W szarych, mądrych jego oczach malowało się teraz nietajone zdumienie.

— Skąd się tu bierzesz, chłopcze? — zapytał Jana, którego niegdyś na kolanach swych kołysał, odzywając się alzackim dyalektem, częściej przezeń i poufniej używanym. — Co cię stało, aby cię w moje progi wprowadzić?

— Nic zgoła, krom tego, że do Alsheim wróciłem.

I podał rękę staremu. Ten go przywitał serdecznie, ale wnet zgasła przelotna radość spotkania, myślał bowiem: „Oto dziesięć lat upływa od kąd twój ojciec przestał tu przychodzić, odkąd rodziny nasze zajęły wrogie stanowiska.“ I jakoby odpowiadając sobie samemu, rzekł głośno:

— Wstąpże do nas, Janie, kiedy ci wola, na razie niema w tem nic złego...

Jan zdawał się nie rozumieć.

— Jakżeś pan spostrzegł, że tu idę? — zapytał.

— Nie spostrzegłem, tylko usłyszałem zrywającego się przed tobą kosa i myślałem, że to mój służący z Obernai powraca. Chodźże do izby, chłopcze.

I znów pomyślał z żalem i bólem: „Kędy i twój ojciec wchodził, dopóki tego był godzien.“

Otworzył drzwi i znaleźli się pospołu w obszernej komnacie, która służyła zarazem za jadalnię i bawialnię w domu tego zamożnego mieszczanina, syna długiego szeregu przodków, którzy inaczej nie opuszczali swej rodzinie w Alsheim siedziby, jeno, aby ledz na cmentarzu. Wszelako z izby tej zniknęły były charakterystyczne i malownicze sprzęty starych domów w Alzacyi. Nie widać tu było ani szaf rzeźbionych, ani zydeków, ani zegaru w jaskrawo malowanej szafce, ani drobnych szyb w oknach. Stoły, krzesła, szafy, kredens, wszystko było z orzechowego drzewa. W kącie widniała gipsowa Pietà bez artystycznej wartości. Jedyne ostał się tu starożytny piec fajansowy, z którego słusznie chelpił się właściciel, jako ze skarbu domowego. W środku izby siedziała za stołem kobieta pięćdziesięcioletnia, czarno ubrana, o siwych włosach i szlachetnem czole, na którym nie widniały zgola zmarszczki wieku. Oczy ciemne, południowe, spokojne podniosła na Jana, zwróciła na męża, jakby z niemem zapytaniem:

— Po co on tu przyszedł?

Obrąbiała prześcieradło z surowego płótna, opadającego w kaskadach z jej kolan. Na razie nie umiała znaleźć słowa powitania. Jak się to działo, że mąż jej wprowadzał wychowanego w Niemczech syna sprzeniewierzonego Alzatzczyka? W czasie ostatniej wojny trzech z jej braci poległo, waleząc w francuskich szeregach.

— Spotkałem go, jak tu zmierzał i poprosiłem, aby wstąpił — tłumaczył się żonie Bastian.

— Dzień dobry, pani — rzekł Jan, zmrożony chłodem spojrzenia pani Bastian — przywodzą mnie tu dawne, drogie wspomnienia.

— Dzień dobry.

I ciche te słowa zgasły, nie ożywiwszy obszernej izby. Nastąpiła chwila tak ciężkiego milczenia, że Jan pobladł, a stary Bastian znakiem głowy próbował daremnie złagodzić surowe, piękne oczy Alzarki, wlepione z wyrzutem w gościa....

— Nie wspomniałem ci jeszcze Marysiu, że dziś rano spotkałem na winnicy mego przyjaciela Ulryka. Powiedział mi, że cieszyć mam się powrotem jego siostrzeńca... Pono on nasz... Zaręczam ci, że mi dużo dobrego mówił.

Usta alzackiej kobiety rozwarły się w uśmiechu niedowierzania. Poważne oczy spuściła nareszcie na przerwana robotę.

Jan Oberle uczuł się tak biednym, tak nieszczęśliwym, że zwrócił się do pana domu.

— Wiedziałem, że nasze rodziny się poróżniły, nie domyślałem, do jakiego stopnia. Dopierom wrócił. Wybaczcie, żem tu zaszedł.

— Zostań, chłopcze — wyjaśnię ci wszystko. Możesz być pewnym, że nikt z nas żadnej do ciebie nie ma urazy.

A położywszy serdecznie rękę na ramieniu młodzieńca, dodał starzec:

— Nie uciekaj w ten sposób. Nadtoby mi ciężyło, gdybym cię gościnniej nie powitał.

— Puśćcie mnie raczej, aż nadto czuję się natrętnym, widzę, jak niemiłym jestem tutaj gościem.

Ale burmistrz Alsheimu zatrzymał go silną dłońią. Podniesionym głosem teraz rozkazywał:

— Nie dam ci odejść na sucho, nie sprzeniewierzę się dawnemu obyczajowi domu i rodziny naszej. Musisz ze mną wypić kielich powitania, inaczej nie chcę cię znać więcej.

Jan przypomniał sobie ustaloną sławę nalewek gospodarza, spostrzegł, iż obrazilby go dotkliwie, odrzucając jego gość inność, która miała na celu złagodzenie, acz nie wyparcie się surowego powitania matki i pani domu. Ta zdawała się nie widzieć wcale przybysza, skoro ten przybysz był synem Józefa Oberle.

— Ola! — zawołał starzec.

Opadły na czarnej sukni ręce, pilnie dzierżące igłę, osunęło się płótno i przez krótką chwilę trzy dusze ludzkie, miotane całkiem odmiennymi myślami, oczekiwały wejścia tej, która się miała w drzwiach ukazać. Wyszła z mroku izby sąsiedniej i stanęła w pełni światła. Jan tłumiąc wzruszenie, pomyślał odrazu: „Dobrze się stało, żem o niej wiernie pamiętał!”

— Podajno najstarszej wódki, jaką posiadamy, rozkazał ojciec.

Ola najprzód uśmiechem odpowiedziała ojcu, zaczęła na widok Jana Oberle twarz jej rozjaśniła się powitaniem, zdziwieniem, radością, wnet zmroczoną, gdy ujrzała matkę schyloną nad robotą, jakoby nie świadomą obecności gościa. Zamarły na jej ustach słowa powitania, odgadła ból, upokorzenie towarzysza lat dziecięcych, a nie chcąc dać poznać, że to wszystko odczuła, zabrała się do wykonania ojcowskiego rozkazu. I wyjąwszy klucz z szuflady, otworzyła wysoką szafę i wspięta na palcach, nieco w tył przechylona, jęła szukać ukrytej tam flaszki z wyborową starką.

Była to ta sama dziewczyna, której pamięć ścigała Jana w jego wędrówkach po szerokim

świecie. Rozkwitła tylko i rozwinęła się korzystnie. Nie była to regularna piękność, ale jakaś jasna, zdrowa i krzepka uroda. Przypominała żywcem owe posągi Alzacyi, uosobionej w dziewicach z rycerskiego i bujnego plemienia, które nastawiają piersi i czoła mężnie, podczas gdy obok nich płacze smutna, słabsza Lotaryngia. Wysoka i smukła, o świeżej, z lekka zaróżowionej cerze, nie miała na czole upiętrzonych jak dwoje skrzydeł, wstęg, które stanowią narodowy strój Alzatek. Wieńczyły jej głowę jasne obfite zw je włosów, koloru dojrzałego zboża; podobnego odcienia były brwi, z pod których patrzyły oczy spokojne, ale głębokie i pełne uczucia.

W mgnieniu oka postawiła przed ojcem tackę z omszałą flaszką i dwoma kieliszkami. Pan Bastian odkorkował butelkę, z której jakaś woń świeża rozlała się po izbie.

— Pół wieku się jej liczy — rzekł nalewając do kieliszków napój wytrawny, poczem dodał poważnie:

— Na zdrowie twoje! — Na powitanie ciebie w Alsheim!

Tymczasem Jan zapatrzył się w Olę, która stała opodal, jakby chciała zbadać duszę dawnego towarzysza, i podnosząc kieliszek, zawołał:

— Na pomyślność Alzacyi!

Na te słowa, na ten ruch podniesionej w rękę czary, na wymowne spojrzenie Jana, Ola zrozumiała, że dla niego była uosobieniem ziemi kochanej. Nie drgnęła, oparta na ciemnej szafie, dostarczającej ram jej wiosennej krasie. Ale w jej źrenicach żywsze przebłysnęło światło, na podobieństwo falujących w słońcu łąków, gdy je wietrzyk poruszy. I powoli, w niemem podziękowa-

niu, spuściły się jej powieki, przesłaniając oczu wymowę.

I na tem się wszystko ograniczyło.

Pani Bastian nie ruszyła się z miejsca, Ola nie wymówiła i słowa, Jan się skłonił i odszedł.

Stary burmistrz Alsheimu za nim do ogrodu pospieszył.

— Przeprowadzę cię tamtą stroną. Lepiej, że cię nikt nie podpatrzy. Zdawać się będzie, że wracasz z dalszej przechadzki.

— Co się tu stało! co się dzieje! — rzekł porywczo młodzieniec. — Dla tego, że was polityczne poglądy rozłoczyły z moim ojcem, nie godzi wam się mnie u siebie przyjmować, muszę się skradać jak złodziej... i to doznawszy u was tak niemego przyjęcia, które, dalibóg, mnie do głębi zraniło!

— Inny mam jeszcze powód tamtą stroną cię przeprowadzić. — Muszę ci wyjaśnić, muszę wytłomaczyć...

Wstąpili w obręb warzywnego ogrodu, przylegającego do sąsiedniego lasu.

— Nie rozumiesz co się tu dzieje, mój chłopcze — ciągnął dalej stanowczym, acz łagodnym głosem pan Bastian — boś dawno się między nami nie znalazł. Nic się tu nie zmieniło; to, na co patrzysz, zaczęło się przed trzydziestoma laty....

Przed niemi rozwijała się szeroka równina, nad którą podnosiło się sine pasmo Wogezów.

— Niegdyś — mówił dalej pan Bastian, wskazując rękę na widnokrąg — cała nasza Alzacya tworzyła poniekąd jedną rodzinę. Wszyscy się znali, widywali, kochali... Ale co było — już dziś nie jest. Oderwano nas gwałtem od Francyi,

spowiewierano okrutnie, gdyśmy się temu oderwaniu chcieli sprzeciwić.... Nie możemy dziś zwalczyć losu, nie jesteśmy w stanie wyprzeć stąd nowych panów, którzy nie rozumieją zgoła uczuć naszych, ani życia... Przynajmniej domy nasze próbujemy obwarować, nie przyjmując w ich progi najeźdźców, ani tych, co się z nimi połączyli i stanęli po stronie mocniejszego...

Zatrzymał się przez chwilę, jakby nie chcąc całej swej myśli wyjawić, poczem dodał, ujmując dłoń Jana:

— Mój chłopcze, widzę, żeś bardzo rozgniewany na moją żonę, bardzo jej przyjęciem zbolelały... Nie twoja w tem wina, nie ona też winna... Dopóki się wątpliwości nasze nie rozwieją, jesteś wychowawcem niemieckim, a moja kobieta uosabia kraj nasz biedny... Nie trzeba ci mieć do niej żalu. My mężczyźni, nie wszyscy pozostaliśmy wiernymi Alzacyi; i najlepsi z pośród nas zstąpili do kompromisów, uznając mniej lub więcej nowy porządek rzeczy. Inaczej nasze kobiety... Ach! mój Janie, nie mam serca ich ganić, nawet kiedy chodzi o ciebie, którego zawsze lubiłem. To nie jest niegrzeczność i niegościnnosc, to w dalszym ciągu obrona kraju, odporna walka i w jna...

Blysnęły łzy w siwych źrenicach starego.

— Poznacie mnie później — odpowiedział Jan po prostu.

Stanęli na krawędzi lasu, wobec wrót równie starych i chwiejnych, jak z drugiej strony. Pan Bastian furtkę otworzył i długo patrzył za odchodzącym, mimo coraz silniejszego wicheru, który dał t-raz gwałtowniej. Jan był wzburzony aż do głębi duszy. Rozumiał, że między nim, a

każdą rodziną Alzacyi stanie teraz postać jego ojca. Bolało go powracać do tego domu, gdzie się urodził. Jedyną osłodą tego gorzkiego dnia pozostał obraz Oli, opartej o starą szafę, której oczy spuszczały się z wolna pod jego spojrzeniem.

V.

Towarzysze drogi.

Dość ostra zima nie pozwoliła Janowi iść ściśle za wskazówkami ojca w zawodowym swym kształceniu i praktyce. Ogromne śniegi utrudniały przystęp do wyżyn Wogezów. Zaledwie też udało się młodzieńcowi skutecznie kilka wycieczek do bliższych poręb, w towarzy twie Wilhelma. Odroczone do późniejszej wiosny dalsze wyprawy. Dużo się jednak nauczył: na oko umiał ocenić wartość drzewa, obliczyć rozmiary, rozpoznać podług kory stopień czerstwości i zdrowia pojedynczego świerku czy buku. Ojciec wtajemniczał go w proceder fabryczny, mechanizm handlowy kupna i sprzedaży, wedle półwiekowej tradycji firmy Oberle. Zapoznał go również z kilku urzędnikami administracji leśnej w Strasburgu, którzy mieli mu wytłomaczyć nowe ustawodawstwo leśne, mało mu dotąd znane. Jeden z nich go uprzejmie zaprosił do swego bióra, celem dostarczenia mu bliższych informacji: „Więcej się pan nauczysz w rozmowie potocznej, aniżeli z książek. Albowiem prawo jest prawem, a zastosowanie bywa nieraz czemś innem“.

Jan przyrzekł skorzystać z ofiarowanej sobie uprzejmie sposobności. Ale tygodnie upłynęły, za-

nim mógł się do Strasburga wybrać. Wtem marzec, dotąd zimny i słotny, nagle zamiękł i stopił zanóznione śniegi. W przeciągu dni kilku, odsłoniła się zieleń szczytów, zaszumiwały górskie potoki. Odtąd łatwiejszym się stanie dostęp do Wogezów, wznowie przyjdzie zapamiętane z lat d iecięcych wycieczki. W domu nie powtórzyły się tymczasem przykre starcia, co powrót jego naznaczyły. Acz wzajemnie śledzono się, podchwytnując słowa l b czyny, które w danej chwili mogły zaostrzyć dyskusję, na razie zapanował jakoby rozejm, zawieszenie broni, różnymi względy spowodowane, ale w gruncie nic się nie zmieniło, a to ucieszenie, to rozweselenie smutnego domu było tylko powierzchownem. Mimo, że odczuwał ową powierzchowność, Jan czuł się szczęśliwym, po tylu latach samotnych, na obczyźnie spędzonych.

Inne mu zresztą skąd inąd dolegały przykrości. Prawie codziennie wypadało mu przechodzić drogą wiodącą przez Alsheim. Tu na rozdrożu stała karczma pod Bocianem, tam dalej stała sbludne domki sprowadzonych przez pana Józera Oberle robotników niemieckich. Otóż którąkolwiek stroną wsi zabiedz mu przyszło, zawsze Jan mógł wyczytać na czole witających go przechodniów inne, a dla niego stale dokuczliwe zdanie. Niemieccy koloniści, mniej twardzi, ale bardziej karni od alzackich robotników, spędzeni w osobną dzielnicę wsi obcej, gdzie ich nic z resztą mieszkańców nie łączyło, ani wspólność wiary, ani jedność plemienna, ani wspomnienia, ani pokrewieństwo, ani wdzięczność dla chlebobdawcy, chowali tylko uczucia obojętności, bodaj raczej niechęci, źle zatajonej ukłonem mężczyzn lub pół uśmiechem kobiet. A tymczasem rodowici Alzaczycy jeszcze

bywali szerszi. Wystarczało, aby się Jan w warsztatach pojawił najczęściej w towarzystwie ojca, aby potępienie dosięgające tego ostatniego, i syna nie oszczędzało. Czuł nad sobą coś z tej ostrożnej pogardy, którą maluczy chowają dla potężnego sąsiada. Co chwila jakiś robotnik, kobieta, dziecko nawet, starsi zwłaszcza, wymijali go, udając, że go nie widzą, nie poznają, znać i spojrzeć nie chcą. Jedyne życzliwi byli albo urzdnikami fabryki, albo krewnymi tych ostatnich. Krwawiła się ta rana, ilekroć Jan wychodził poza granice rodzicielskiego ogrodu.

Co niedziela, w czysto wybielonym kościółku wiejskim, oczekiwał nadejścia Oli Bastian. Wypadało jej przejść tuż obok Jana, aby zająć miejsce w ławce od lat dawnych przyznanej jej rodzinie, koło wielkiego ołtarza. Szła obok rodziców, a wszyscy troje nie zdawali się widzieć Jana, matki jego i siostry. Wychodząc z kościoła po mszy, uśmiechała się wprawdzie, ale ten uśmiech był dla całych szeregów przychylnych twarzy ludzi, spieszących zewsząd, aby się pokłonić córce starego Bastiana, Alzackiej dziewczynie, która była kochaniem całej osady ubogiej, a chociaż jej datki nie bywały obfitszymi od jałmużn pani Oberle, milej bywały przyjęte, bo wiadano, że w jej domu niema sprzeniewierzenia się ni zdrady.

Cóż ona o Janie myślała? Oczy jej, niegdyś tak wymowne, dziś nie patrzyły nań zgola. Usta, do rozmowy skłonne, zamilkły teraz i żadnem nie darzyły go słowem.

Tak upłynął pierwszy miesiąc pobytu Jana w Alsheim. Aż oto wiosna nastala. P. Józef Oberle odczekał kilka dni, a widząc, że na brzozech pękają już listki, odezwał się do syna:

— Już się dość w interesie rozejrzałeś, aby teraz na własną rękę obiedz nasze w Wogezach poręby. Zakupiłem w bieżącym roku znaczniejsze kawalki lasów, sięgających aż do Schlucht'y. Otwiera ci się sposobność dłuższej w góry wycieczki. Niczego nie wymagam, krom uważnego poręb zbadania, oraz ścisłych notatek, które mi za powrotem przedłożysz.

— Kiedyż mam się wybrać?

— Jutro, jeżeli zechcesz. Zima się skończyła.

P. Oberle mówił z stanowczością wieśniaka dobrze z zmianą pory obeznanego. Oddał synowi szczegółowy spis i opis poręb zakontraktowanych bądź od niemieckiego państwa, bądź też od gmin czy właścicieli. Mogło ich być do dwunastu, w różnych częściach Wogezów rozrzuconych.

Nazajutrz Jan Oberle, zabrawszy w walizkę trochę bielizny i parę obuwia do zmiany, nie uprzedziwszy w domu nikogo, wybiegł w góry do leśniczówki wuja.

Dworek o zielonych okiennicach, leśne polany, gór przełęcz, wszystko ginęło w mgłę unoszącej się ku szczytom. Wszystko dymilo, parowało wilgocią. Krople wody lśniły się na mechach i drzewach, kapały z świerków na ziemię, okrytą ze schłymi liśćmi, splywały ku strumykom, których szmer zewsząd się odzywał.

Jan przybliżył się do płota, okalającego leśniczówkę, zapukał w okna dla mgły zawarte:

— Wuju Ulryku!

Ukazała się głowa kobieca z uśmiechem powitania na ustach:

— Elźbieto, uprzedź wuja, że tu jestem!

Tymczasem w innem oknie ukazała się postać samego pana domu.

— Ojciec mnie wysłał w góry, gdzie mam wszystkie jego poręby zająć. Dziś rozpoczynam tę wędrowkę i radbym wuja miał za towarzysza.

— Tłuc się po górach o tej porze! to mi dopiero przyjemność! — odparł pan Ulryk Biebler, wpatrując się w młodzieńca, który pod okno jego przystąpił.

— Nie odmawiajcie mi, wuju! — powtórzył Jan. Pokażcie mi Alzację!

— Blisko cztery mile wczoraj przebiegłem.

— Dziś ich zaledwie trzy ujdziemy!

— Tak dbasz, abym się z tobą wybrał?

— Tyle lat mnie tu nie było! Należy całe moje wychowanie odrobić.

— Trudno ci odmówić, mój chłopcze; zresztą nadtoś rad, żeś o mnie pomyślał. Mam nawet za co ci podziękować i za chwilę ci to wyłuszczę.

Zamknął okno, a wśród nocnej ciszy Jan usłyszał, jak wołał na starego służącego, który wespół z panem rządził leśniczówką:

— Piotrze! Piotrze! gdzieżeś mi się podział stary? Słuchaj. Wybieram się w las na kilkanaście dni. Pójdiesz za mną. Zabierz moją walizkę, weź moje buty i ciupagę i wyprzedź nas w schronisku, podczas gdy my obiegać będziemy poręby. Nie zapomnij płaszcza gumowego, podręcznej apteczki i t. d.

Wstępując w progi leśniczówki, młodzieniec ujrzał pogodną twarz wuja Ulryka, który wyglądał uradowany i krzątał się około przygotowań do drogi. Nagle otworzył drzwi bawialni, pośpiesznie coś odczepiając ze ściany.

— Cóż tam jeszcze, wuju, zabieracie?

— Moją lunetę.

— Ależ to stary grat!

— Cóż chcesz? Dbam o nią. Widziała ona pruskie tyły pod Jeną!

I oto za małą chwilę, wyszedł naprzód wnj Ulryk, za nim stary Piotr, obarczony dwoma walizkami, nareszcie Jan, który przez chwilę się zatrzymał, aby postanowić, w jaką stronę się udać. Dyskusja trwała krótko. Piotr zwrócił się na lewo, aby tam w najbliższej wiosce oczekiwać na nocleg swego pana. podczas gdy tenże z synowcem puścił się ścieżką w stronę północno-zachodnią.

— Temci lepiej, że daleko — mówił pan Ulryk gdy stanęli w gęstwinie. — Temci lepiej. Cóż może być rozkoszniejszego, jak iść przez las we dwójkę, rozumiejąc się i współczując razem we wszystkim!

Przymknął oczy, wchłaniając pełnemi piersiami mgłę leśną.

— Czy wiesz chłopcze — rzekł do synowca, jakby mu się zwierając z osobistego szczęścia — że od dni trzech mamy wiosnę!

Powtarzał z uniesieniem zapowiedź, którą przemysłowiec obojętnie był wyraził. Witał z zapałem objawy nastania nowej pory, wskazywał łaską świecące się pączki liści, pękające kory, wychylające się z mchów roślinki. Na otwartych polanach dał jeszcze zimowy powiew, atoli w zakrytych gąszczach lub głębszych jarach, już się uczuć dawały owe pierwsze ciepłe tchnienia wiosny, które idą aż do serca człowieka, aż do wnętrza rodzajnej ziemi.

Cały ten dzień obaj wędrowcy przepędzili w leśnym zagłębiu. Rozumieli się tak doskonale, że mogli naprzemian i mówić o wszystkim, i przygodne zachowywać milczenie. Pan Ulryk znał

na wylot całe Wogezy, oprowadzał po nich synowca, cieszył się jego zachwytaami, cieszył i ha-
wił jego bujną świeżością wrażeń i zapalów. Bu-
dziły się w duszy młodzieńca dziedziczne in-
stynkta myśliwego i leśnika. Ale zarazem wsła-
wały w jego sercu rokosze, groźby, gniewy, obu-
rzenia, które starszy towarzysz słabo miarkował,
przytakując im w duszy.

Skarga ujarzmionej Alzacyi, ta skarga, której
obcy człowiek nie dosłyszy, a obcy najeźdźca sły-
szyć nie chce, podnosiła się ku niemu z tych le-
śnych stoków, odzywała się przez usta leśnej ludno-
ści, od kupców drzewa począwszy, aż do węglar-
zy, kłusowników, zbieraczek poziomek i grzybów.
Przedstawiony przez Ulryka Biehlera, Jan nie
wzbudzał żadnej nieufności, rozmawiał z prostaczkami swobodnie i odnajdywał wśród nich sa-
mą duszę swego plemienia. Wielu z pomiędzy
młodzieży nie znało już Francyi, nie umiało na-
wet powiedzieć, ażali ją kochają jeszcze. A je-
dnak ci nawet mieli Francję w żyłach, we krwi
i kościach swoich. Nie mogli się z Niemcem zro-
zumieć. Raz po raz zwrot jaki, słowo, spojrzenie,
zdradzało pogardę, żywioną przez lud alzacki dla
swego ujarzmiiciela. Jarzmo to wszystkim ciążyło,
wszędzie też drgała głucha niechęć do brutalnego
władcy. Inni młodzieńcy, wykarmieni tradycją
domową i opowiadaniem starszych, acz nie ko-
łysali się wyraźnymi nadziejami, chowali dawną
wierność, narzekając na dokuczliwość, ścigające
zawzięcie tych wszystkich, których posądzano o
żal i tęsknotę za przeszłością. Chlubiono się ze
sztuczek, wyplatanych strażnikom i celnikom nie-
mieckim, administracyi niemieckiej, popisywano
strojem narodowym, opowiadano sobie wycieczki
tajemne na granicę francuską, śpiewy narodowe

przy drzwiach zamkniętych, rewizye, pościgi, dezercye, jednym słowem, wszystkie szczegóły, na przemian tragiczne i komiczne, daremne i rozpaczliwe, starcia i pojedynki między potęgą wielkiego mocarstwa a duchem małego kraiku. Mieszkańcy tego ostatniego, ilekroć ich co zabolalo, nawykli myślą przenosić się za pasmo Wogezów. A obok młodych, bywali i starzy, zawsze gotowi się rozgadać z panem Ulrykiem. Ilekroć zoczył zdaleka kogoś z tej starszyny, zdala już w nim przeczuwał, rozpoznawał przyjaciela. A jeśli przy powitaniu zauważył, iż ten lub ów wygląda jak żołnierz francuski, odrazu oczy wilgotniały, lica się okrywały to bladością, to rumieńcem, a ręka podnosiła się do wojskowego ukłonu.

Mówiono tylko o Francyi. Jan Oberle, ilekroć stanął na wyższej górskiej przełęczy, o jedno tylko pytał: Jak daleko granica? Wciąż kazał sobie opowiadać dzieje Alzacyi za czasów „łagodnego rządu“, za dobrych czasów, jak je nazywano. Wuj Ulryk nie dawał się prosić, pozwalał na wskrós francuskiemu sercu wynurzać się do woli i schodząc po ścieżkach Wogezów, odżywiał dzieje zrosłej z Francją Alzacyi; nieraz lzy mu przerywały opowiadanie, niejednokrotnie też w samotni lasów jakaś pieśń patryotyczna obila się o sklepienia gałęzi świerkowych, jakaś kolenda alzacka spłynęła w dolinę.

Jan tak zapamiętane nurzał się w przeszłości, tak gorąco przejmował się urazą i bólem obecnej chwili, że wuj, który zrazu tem się cieszył, nagle doznał pewnego stąd zaniepokojenia. Pewnego wieczora, gdy im przyszło spotkać biedną nauczycielkę, pozbawioną chleba dlatego, że dzieci po francusku uczyła, a za starą była, aby się po-

starac o patent gdzieindziej, gdy Jan gniewem się unosił, starszy towarzysz odezwał się do niego :

— Pohamuj się, chłopcze, pamiętaj, że ci wśród Niemców żyć przyjdzie.

Od tej chwili wuj Ulryk unikał rozmów o aneksyi, próbował drażliwe omijać przedmioty. Ale niestety, w Alzacyi wszystko: krajobraz, mogiła przydrożna, sztyl handlowy, strój kobiet, widok obcych żołnierzy, obwarowanie pagórka, drogowskaz o niemieckich barwach, dziennik po drodze kupiony, wszystko ścigało myśl do jednego mianownika, do tej Alzacyi podbitej, lecz nie zasymilowanej. Darma pan Ulryk starał się teraz zbywać siostrzana krótkimi odpowiedziami, nie mógł już powstrzymać wlotu jego myśli w jedną wciąż stronę. A gdy wspinali się po stromych wyżynach gór ojczystych, nie bez radości, ale i nie bez zaniepokojenia stwierdzał, iż wzrok Jana wciąż ku zachodowi się zwracał, jakby tam szukając ukochanej twarzy.

Przez dwa tygodnie obiegali tak Wogezy, a przez ten cały czas pan Ulryk dwukrotnie, lecz tylko na krótko do Heidenbruch zaglądał. Rozłączyli się dopiero w niedzielę palmową, gdzieś w dolinie oblanej ostatnimi blaskami zachodu. Pan Ulryk żegnał siostrzana, który stał mu się w dniu niewiele najbliższym przyjacielem. Piotr już rano był się puścił do domu. Teraz pan Ulryk gwizdnał na Wiernego, a podniósłszy kołnierz od kurtki myśliwskiej, gdyż wieczór był chłodny, zabierał się do odejścia, gdy Jan podbiegł ku niemu :

— Odprowadzę wuja aż do ostatniej chaty osady — rzekł, jakby mu przykrem było rozstanie.

— I na cóż to, chłopcze? Lepiej się odrazu pożegnać — mówił starszy, jakby nierad wzruszenia i żalu swego zdradzić.

Ale Jan nie ustąpił. I oto, idąc obok wuja, o-
zwał się młodym, ciepłym głosem:

— Żal mi się z wami rozstawać, wuju, dla je-
dnej mianowicie przyczyny. Odgadujecie bo w lot-
każdą rzecz, nie potrzeba niczego tłómaczyć. Ilez
kroć jesteście innego zdania, wystarczy spojrzeć
na wyraz zaciśnionych warg, zanim się nawet
odezwiecie. A zresztą umiecie być wyrozumiałym,
choć stanowczym, odpowiadacie łatwo, jakby prze-
niknąwszy do dna myśli cudze, a przedewszyst-
kiem szanujecie słabszych... Nie przywykłem ja
ci do tego po drugiej stronie Renu.. Odgadłem
nawet wasze o mnie zaniepokojenie...

— Cóż tam znowu?

— Alboż nie spostrzegłem, że od kilku dni uni-
kacie tej właśnie rozmowy, która mnie nad inne
rozpłomienia?

Tu Jan spojrział prosto w oczy wuja i wyczy-
tał w nich troskę.

— Z umysłu to uczyniłem — rzekł zwolna p.
Ulryk. — Kiedyś mnie pytał, opowiadałem ci,
czem byliśmy niegdyś, czem dziś jesteśmy. Ale
wnet spostrzegłem, że ci o tem mówić nie trzeba,
boby cię smutek zjadł. Smutek dobry dla takich,
jak ja. Ale tyś młody, powinienes ruszyć z ko-
pyta, iak koń, co się jeszcze nie ścigał, żadnym
nieobarczony ciężarem.

Ostatnie chaty zostały poza nimi, droga wiodła
w górę, kamiennem łózyskiem potoku.

— Dziś już zapóźno! wuju — rzekł Jan, ści-
skając dłoń starego. — Zawieleś mi powiedział!
czuję to samo, co wy, a jutro, dalibóg, skoro
mam wspiąć się na Schluchtę, nie wytrzymam,

zobaczyć *Jq* muszę, pokłonić się, choćby złała, naszej Francyi!

Zaśmiał się wesoło. P. Ulryk potrząsnął głową, jak gdyby go chciał łajać, ale nie zdobył się na żadne słowo i zniknął w mroku.

VI.

Granica.

Nazajutrz Jan puścił się sam w góry dla zwiedzenia ostatniej poręby domu Oberle, położonej w lesie Stosswibr, opodal od szczytów Sebluchty. Droga była długa, a uciążliwa z powodu niedawnej sloty. Nadłożył drogi, okrążając skałę, po której raczej wspinać się należało. Już dobrze słońce schodziło z południa, gdy stanął u poręby, gdzie wypadło mu dłużej się zatrzymać dla rozmowy z nadzorcą Niemcem, który prowadził roboty i odstawy drzewa pod okiem administracji leśnej. Udając się w dalszą ku wyżynom drogę, młodzieniec spotykał schodzących ku dolinom robotników po skończonym dniu pracy. Nie pytał nikogo o drogę, aby nie zdradzić rozpierających mu duszę wrażeń. Niebawem wstąpił w las, co dopiero opuszczony przez pilarzy. Tu i ówdzie spuszczone drzewa zamykały drogę, tam znowu bielily się odarte już z kory świerki. Zapóźniony stary robotnik wiązał w chustę czerwoną zebrane przez się grzyby i zabierał się do odejścia za innymi, gdy Jan zabiegł mu drogę:

— Powiedźcie, którą najprędzej dojdę na przełęcz Sebluchty?

— Trza zstąpić aż po Siklawę, a potem znów iść w górę. Chyba, że pójdziecie wprost tędy, z jakie dwieście metrów wyżej, a potem francuską stroną dosięgniecie łącno szczytów. Dobranoc!

— Dobranoc! — odparł Jau.

Zamienione słowa przebrzmiały szybko w ogromnym uciszeniu wieczornem.

Jedno tylko padło na serce Jana i zaryło się w niem głęboko. „Francuską stroną!“ Pilno mu było dojrzeć tę tajemniczą, zaczarowaną krainę, która zapanowała nad jego życiem i snami, która rozerwała jedność rodziny, za którą tylu Alzacyków poległo, a innych tylu oczekiwało, wyglądało i kochało ową niemą miłością, która serca smutkiem mroczy. Alboż tak bliską ta ojczyzna, od której został okrutnie oderwanym! Ojczyzna, za którą wuj Ulryk, matka jego, dziad, p. Bastian i tyle tysięcy innych, przy wieczornym modlą się pacierzu!

W mgnieniu oka przebiegł wskazaną przestrzeń, a stanąwszy na wyżynie, jał po przeciwnym zstępować stoku. Drzewa przesłaniały go zupełnie. Biegł szybko, aby prędzej dopaść jakieś polany, kędyby las rzadszy pozwolił mu dojrzeć Francję. Milo mu było przedzierać się przez gęstą ścianę świerków. Słońce z tej strony góry już poziome rzucało promienie, powietrze było cieplejsze, ale świerki nie rzedniały.

— Stój! — krzyknął nagle człowiek, ukryty za drzewami.

Jan Oberle zrazu przyspieszył jeszcze krok, ale rozmyśliwszy się, zwrócił się ku strażnikowi. Był to żandarm francuski, młody i krępy, o pływającym zarostie, istny typ górala z Wogezów.

— Cóż wam tak spieszo, do kroćset? Za przemytnika was wziąłem.

— Chciałem tylko zobaczyć kawał ziemi francuskiej.

— Skąd ta ciekawość? alboż jesteście z tamtej strony?

— Tak jest.

— Ale chyba nie Prusak?

— Nie. — Jestem Alzateczykiem.

Strażnik się rozpogodził.

— Tak-ci, i lepiej.

Ale Jan Oberle jakoby zapomniał, o co mu chodziło, tak się zapatrzył w mundur, w oblicze francuskiego strażnika.

Po chwili ten zagadnął go wesoło:

— Jeśli wam chodzi o krajobraz, chodźcie za mną, a pokażę wam widok, którym rząd snąc uzupełnia moją lichą płacę.

Zaśmiali się razem, spojrzawszy sobie prosto w oczy, a wnet nie tajemna dusze ich połączyła.

— Nie mamy czasu do stracenia, za chwilę słońce zgaśnie.

Przedarli się pod sklepieniem świerków, okrążyli kilka nagich skał, na których widniały dwa słupy graniczne, oznaczające gdzie kończy się niemieckie państwo, kędy Francya się zaczyna, i stanęli na polanie, gdzie usadowiła się budka strażnika, z zaledwie obciosanych desek zlepią. Stamtąd oko obejmowało przestrzeń nieskończoną, zniżającą się stopniowo aż do granic widnokregu. W tej chwili słońce zachodnie oblewało złotawem światłem pola, lasy i łąki, rozsiane wioski, dalekie jeziora, kładąc odbłysek dojrzałych zbóż nawet na ugory i wrzosa. Jan stał w milczeniu, upajał się tym widokiem, czuł rosnące w pierśsiach wzruszenie, odczuwał i jakieś duchowe rozradowanie.

— Jakaż ona a piękna! — rzekł nareszcie.

Żandarm rad chelpił się swoją strażnicą.

— Droga trochę uciążliwa, ale w lecie nie szkoda trudu. Pełno tu spacerem przychodzi ludzi z Francyi, no, i z tamtej strony.

Wskazał ręką ku granicy.

Ale Jan, jak nieprzytomny odpowiadał żandarmowi, własnej tylko słuchał myśli. Zachwycał się przedewszystkiem przejrzystością światła i powietrza, wrażeniem nieskończoności, rodzajności i dobrobytu, płynącym ku niemu z tejże ziemi obiecanej, o której tyle się naczytał, nasłuchał. Wszystko co o niej wiedział, marzył, śnił, krocie wspomnień w duszy pogrzebanych, wstawały teraz jakoby ziarna kielkujące w słońcu.

Żandarm usiadł na ławeczce i lulkę zapalił.

Gdy Jan ku niemu się zwrócił, ukradkiem wilgotne ocierając oczy, strażnik odgadł przyczynę tych łez zatajonych. Bo jeśli podziw dla malowniczości był mu obojętnym, odrazu dorozumiał się tęskoty i żalu, i nagle spoważniał. Braterstwo serc zrównało z sobą tych dwóch ludzi. Nie śmiał zagadnąć przybysza, i tylko razem z nim patrzył w dal, prosto przed siebie.

— Z jakich stron jesteście? — spytał Jan strażnika.

— Z gór tutejszych — odparł żandarm.

— Czy służyliście w wojsku?

Strażnik rozpiął kaptotę, aby na piersiach odsłonić błyszczący medal.

— Odslużyłem lat sześć, wyszedłem z wojska w stopniu sierżanta, otrzymawszy w Tonkinie niniejszy znaczek. Po czasie, — mówi się o tem, jako o dobrych czasach.

Mówił to na podobieństwo podróżnych, co nad wszystko sobie cenią wspomnienia, acz im się nie przykrzyło zgoła w czasie wędrówki.

— U was tam pono ciężej? — zapytał.

— Niezawodnie.

— Nieraz mi mówiono, że Niemcy to kraj potężny, ale tam oficer z żołnierzem nie zbratani, jak u nas we Francyi.

Słońce gasło, złote światło płowiało, fiolkowe przybierając odcienie. Purpurowe blaski stopniowo poblady. O jakżeby Jan Oberle chciał był powstrzymać idące pomroki, i w pełnem świetle oglądać dłużej zamglone teraz równiny, przesłonięte gór stoki! Zapytał jeszcze:

— Widujecie tu niekiedy deztererów?

— Tych, co przed służbą wojskową się wynoszą, oczywiście rozpoznać trudno. Łatwiej dojrzeć tych, którzy zaciągnięci do pułków alzackich czy lotaryngskich, w mundurach się przez granicę przekradają. Takich widziałem już niemało, biednych chłopców, przed nadmierną chroniących się karą. I od nas czasem się wymykają, ale chyba nie tak znów często...

I obejmując usypiające lasy serdecznem spojrzeniem, dodał:

— Bo kto raz po tej stronie zamieszkał, może się czasem uzalić, ale już nie potrafi żyć gdzieindziej. Pan podobno nie znasz tego kraju, a jednak przysiągłbym, że do niego należysz.

Jan się zaczerwienił, coś mu ścisnęło gardło, nie mógł żadnego wymówić słowa.

— Niech mi pan wybaczy — rzekł strażnik jakby w obawie, że nieznanomego obraził — nie wiadomo nigdy, z kim się człowiek spotka. Możeby lepiej tych rzeczy nie tykać. A teraz trzeba mi zejść na dalsze czaty.

Oddał ukłon wojskowy. Ale Jan dłoń jego uściskał.

— Nie omyliłeś się, przyjacielu — rzekł do strażnika, a następnie podał mu cygaro.

— Wypalże na moje zdrowie.

A porwany jakoby dziecięcą radością, wytrząsnął cygarnicę w ręce żandarma.

— Bierz wszystkie! Nie odmawiaj mi tej przyjemności.

Zdawało mu się, że coś składa Francyi w darsze...

Strażnik zawahał się przez chwilę, ale przez chwilę tylko.

— Dziękuję panu, do widzenia! Palić będę twoje cygara w niedzielę!

Zniknął w gęstwinie. Jan przysłuchiwał się odgłosom oddalających się kroków. Ale nad inne dźwięki grały mu w duszy słowa tego nieznanego: „Przysiągłbym, że jesteś jednym z naszych“.

— O, tak, jestem tutejszy, widzę to, czuję i to mi nie jedną życia zawilość wyjaśnia, tłumaczy!

Mrok zapadał i gęstniał. Jan dalej patrzył na ziemię, ginącą teraz w cieniach nocy. Wspominał tych z rodziny swojej, którzy niegdyś walczyli na tych polach, ażeby ocalić jedność Alzacyi z krainą u stóp jego rozścieloną. — „Ojczyzno, którą mam za swoją! Kraju dobrotliwy, jedyny, o którym nikt wspomnieć nie umie bez serdecznego wzruszenia, po cóż ja tu dziś przyszedłem? Czemu tak jestem wstrząśnięty, jak gdybyś żywa przedemną stanęła?“

Stał jeszcze przez chwilę, aż na wysokiem niebie pierwsza błysnęła gwiazda, gwiazda samotna i smutna, a jednak królująca, niby myśl przednia?

Czas było powracać. Jan zaczął powoli zstępować w dolinę. Ale nie mógł oczu oderwać od gwiazdy. I powtarzał, patrząc na nią, na Wogezy rozdzielone granicą wśród wielkiego nocy uciszenia:

— Jestem tutejszy! Jestem rad, że cię ujrzałem! że zmierzyłem, jak bardzo mi jesteś drogą!

Niebawem stanął na pasie granicznym i wspinał się drogą wiodącą od Schluchty, powoli zeszedł w niemiecką ziemię.

Nazajutrz, we wtorek wielkiego tygodnia, stanął w Alsheim i ojcu przedłożył sprawozdanie ze swej wycieczki. Wszyscy w domu ucieszyli się jego powrotem w sposób dla niego miły. Wieczorem po zwykłej „konferencji“ z dziaduniem i ojcem o zwiedzonych przez siebie porębach, Lunia zawołała na brata, aby z nim przy kominku pogawędzić w bawialni. Pani Oberle czytała przy oknie.

— No, i cóż tam najpiękniejszego widziałeś? — spytała.

— Zawsze ciebie.

— Nie żartujże; pytam o podróż twoją.

— Widziałem Francję!

— Gdzie? Kiedy?

— Z wyżyn Schluchty. Nie umiem ci wyrazić, jakiego tam doznałem wstrząśnienia; było to niby objawienie, co mnie do głębi poruszyło. Nie zdajesz mi się tego rozumieć?

Lunia odrzekła obojętnie:

— Ależ i owszem. Rada jestem, żeś się ucieszył. Wycieczka to musi być śliczna o tej porze. Wonie wiosny, wiosenne lasów technienia! Ależ to wszystko konwencyonalne uniesienia.

Jan odrazu zamilkł. Ona teraz się przechyliła, udzielając mu własnych zwierzeń, dziwnie melodyjnym głosem.

— A my tymczasem mieliśmy tu gości, i to gości, których obecność o małego do nowych nie doprowadziła domowych zaburzeń. Wystaw sobie, że kilku oficerów niemieckich przybyło w zesłą

środe, prosząc o pozwolenie zwiedzenia tartaków. Na szczęście byli w stroju cywilnym. Mieszkańcy Alsheim widzieli w nich dwóch nieznanym panów. Tymczasem byli to ludzie wytworni bardzo; starszy, jakiejś wyższej rangi oficer, młodszy, dziwnie elegancki i gładki. Gdybyś był widział, jak się skłonił ojcu naszemu! Znajdowałam się właśnie w ogrodzie. I mnie się także pokłonił, a potem zwiedzali warsztaty, oprowadzani przez ojca. Na nieszczęście ten głupi Wiktor wszystko zawsze przed dziaduniem wygadać musi! Oberwałam burę nielada.

Według dziadzi należało mi unikać nawet tak dalekiego spotkania... Ci panowie nie wstąpili do domu, do „mego domu“, jak powtarza dziadunio, więc się rozchmurzył prędko. A jednak ta sprawa nie pozostała bez następstw.

Lunia zaśmiała się lekceważąco.

— Otóż pani Bastian nie pochwaliła mego postępowania.

— Alboż towarzyszyłaś ojcu, podczas gdy owych panów oprowadzał po warsztatach?

— Ma się rozumieć.

— I byłaś z nimi do końca?

— Ojciec mnie przy sobie zatrzymał. W każdym razie nie widzę, czemu się pani burmistrzowa na mnie krzywi? Scięła mnie w niedzielę lodowatym spojrzeniem u drzwi kościoła. Co jej do tego? czy może dbasz o Bastianów?

— Zapewne, jak o wszystkich uczciwych ludzi.

— Że uczciwi, to prawda, ale zacofani! Zre-sztą tyle sobie z ich sądów robię, co ze słów mu-mii egipskiej, na chwilę do życia zbudzonej. Od-powiedziałabym jej: Mościa pani, nie rozumiesz się na tych rzeczach, układź się dalej w trumnie

i śpij, jak spałaś. Zabawna jednak rzecz, że ty, brat mój rodzony, inaczej myślisz odemnie.

Jan pieścił w dłoni drobną jej rączkę.

— Sameż nawet mumie mogą sądzić o niektórych sprawach społecznych, a jednak wiecznych, bo nieulegających czasu odmianie.

— Cóż to? pan w poważną uderza nutę? No, Jasiu, powiedz szczerze, w czymże zblądziłam? czy chodząc po ogrodzie? czy nie odwracając na czas oczu? czy ulegając woli ojca, który mię zawołał, a nawet zatrzymał? Cóż złego w tem widzisz?

— Nic zgoła. I ja nieraz tańczyłem z niemieckimi panienkami. Trudno się nie odklonić, gdy cię kto wita.

— Więc dobrze postąpiłam?

— W gruncie może tak. Ależ dokoła ciebie są tak sprawiedliwe, tak godne uszanowania żałoby! Należy wyrozumieć, że je wszystko boli, wszystko rozrania.

— Z tem się nigdy liczyć nie myślę! Na nikogo się nie będę oglądała, gdy wiem, że nic złego nie robię.

— W tem tkwi różnica pomiędzy nami, moja Luniu. Nie tyle nas rozłączają poglądy, co uczucia, uczucia w tobie starte wychowaniem, któreś odebrała.

Uściskał siostrę, i rozmowa ich zesłała na objętne tory.

VII.

Wielka Sobota.

Pogoda tymczasem się ustaliła. Jan odnalazł zupełną już wiosnę na równinach Alzacyi. A jednak nie cieszył się tym widokiem tyle, ile się był naprzód spodziewał. Odniosł z swej krótkiej wycieczki głębsze, aniżeli sobie sam przyznawał, zamącenie ducha. Stwierdził bowiem raz więcej skrajność niepojednaną dwóch szczepów, a raczej duchów dwojga, wytrwałość pamiątek u maluczkich, trudności życia i wyżycia wśród zmienionych warunków, dla tych, co pozostali wiernymi dawnym pojęciom i poglądom, nawet gdy takowe ukrywali ostrożnie. Łatwiej mu przyszło zrozumieć, jak nie łatwym będzie jego własne zadanie wśród rodziny, w warsztatach ojcowskich, w Alsheim, w Alzacyi.

Pochwały, których ojciec nazajutrz nie szczędził jego raportowi o porębach domu Oberle, na chwilę tylko go oderwały od smutnych myśli. Daremnie silił się na swobodę, bliżsi odgadywali, iż nie czuje się szczęśliwym, z wyjątkiem tych, co prawdy widzieć nie chcieli.

— Mój Janie — rzekła raz matka, witając go przed śniadaniem — czy mi się zdaje, czy nie, że

wyglądasz doskonale. Nie wiem, co ci tak służy, czy orzeźwiający powietrze w Alsheim, czy też macierzyńskie kochanie?

— Ja przeciwnie uważam, że sposepniałeś znacznie — wtrąciła Lunia.

— Interesa, ozwał się p. Józef Oberle, troska o interesa. Oddał mi raport doskonały, jasny, praktyczny, pozwalający mi skutecznie znaczne oszczędności dostawów. Należą mu się powinszowania. Czy słyszycie, ojczy?

Starzec kiwnął głową. Ale jednocześnie podał synowej tabliczkę, na której był napisał:

— Alboż już posłyszał on jęk naszej ziemi?

Pani Monika szybko zatarła te słowa. Tamci ruch ten podchwycili, odgadli. I oto nad całym stołem zawisła chmura, jakoby przykrej rozmowy i wyjaśnień.

I znów Jan odczuł ten ból wewnętrzny, z którym się już rozstać nie mógł. Przez resztę dnia pracował w biurach warsztatów, ale myśl jego była daleko. Wystawiał sobie, że Lunia kiedyś wyjdzie z domu, a w nim nic się nie zmieni. I dziadunio umrze, lecz powody rozstroju nie ustąpią. Wszystkie marzenia, zdala wykołysane, o zgodzie i harmonii rodzinnej, teraz się niepowrotnie rozwiewały.

Lunia chyba miała słuszność, gdy lekceważyła sobie jego zamysły, jako przesłańca pokoju. Otóż teraz widział, iż złe nie tkwiło w samej tylko jego rodzinie, znajdowało się w całej Alzacyi. Choćby nikogo z krewnych nie miał w Alsheim, Jan Oberle wiedział, że wśród przyjaciół, robotników, klientów, wiecznie mu przyjdzie natknąć się na tę samą kwestyę, na jednaki rozstrój. I widział i wiedział z góry, że już żadna wola, ani jego własna, ani inna podobna, nie odejmie od

jego plemienia owego narzuconego okolicznościami rozstroju.

W smutku jego, pamięć Oli, tęsknota za jej miłością, silniej się narzucały Janowi. Któż inna, jeśli nie Ola, zdołałaby pozyskać napowrót straconych lub nieufnych przyjaciół? Która potrafiłaby lepiej podnieść na nowo imię rodziny Oberle w szacunku starej Alzacyi? Upatrywał dziś w niej nie samą tylko piękną dziewczynę, do której się rwało jego serce młode, lecz nadto widział w niej jedynej pokój powagę, siłę przyszłości swojej, przyszłości trudnej. Trzeba mu było takiej właśnie dzielnej i wiernej towarzyszki.

Ale jak jej to wyznać? Gdzie się z nią spotkać, aby nie zwrócić baczości karnej i zazdrośnej rodziny? Oczywiście nie w Alsheim. Jan przez resztę wieczora łamał sobie głowę, jak tę rzecz ułożyć.

Nazajutrz, przy wielkim czwartku, po wszystkich kościołach katolickiego świata lud wierny spieszy Grób Pański ubierać w kwiaty, makaty i światło. Pogoda była przejrzysta. Po rozmowie z matką i siostrą w pokoju dziadunia, pod wrażeniem ciepłem pierwszej bodaj od przyjazdu prawdziwie rodzinnej pogadanki, Jan puścił się ścieżką, która go przed kilkoma tygodniami doprowadziła do osady Bastianów. Ale tym razem w pobliżu folwarku skręcił w bok, kędy gaj leszczyny przesłaniał drogę, i czekał. Spodziewał się bowiem, że Ola tędy przejdzie, aby się udać do kościoła.

Dawniejsze spotkania w tym samym dniu i na tem samem miejscu powodowały jego wyborem. Teraz, przechadzając się wzdłuż i wszerz drogi, w przydłuższem oczekiwaniu, jakby po raz pierw-

szy odkrył całą piękność rozwijającego się przed nim krajobrazu:

— Jakby umyślnie dla niej zgotowane ramy! — pomyślał w duchu.

Sad, otaczający dworek Bastianów, naraz zakwitnął cały, ubielił się śniegiem wiosny. Zwięzwały się grona kwiecia na gruszkach, gwiazdy różowe na migdałkach, podczas gdy na wiśniowych drzewach gałęzie, kwiatem nabite, przybierały kształty kądzieli. Z drzewa na drzewo przelatująca pszczoła kapela napełniała powietrze brzęczeniem i słodką wonią miodu, którą wiatr unosił w dal, poprzez pola zaskoczony wiosną i zaledwie zieleniące się przeróżnym odcieniem żyta, pszenicy, koniczów.

Czas upływał szybko, cicho. Z białych drzew sypały się na ziemię opadające jednodniowe kwiaty.

Wtem stuknęła furtka, ukazała się w oddali postać kobieca. Ona to, ona. Idzie środkiem ścieżki, pod sklepieniem białych, kwitnących drzew, które nad nią tworzą, niby dziewiczy, ślubny wieńec. Na jej obliczu maluje się jakoby wdzięczność młodości dla tego powitania wiosny. Idzie ku kościolowi, a kwiat wiśniowy opada na jej futrzaną czapkę, na ciemną, granatową sukienkę, muska świeże jej lice. Idzie sama, poważna i dzielna, w pogodzie tego dnia wiosny, który ją cieszy, lecz nie rozstraja, nie rozmiękcza. Czuje w sobie moc życia, siłę na życia próby. Oczy jej, patrzące w górę ku rozkwitłym drzewom, nie znają rozmarzenia, prześwieca w nich hart i żywotność pewna siebie.

Szła naprzód, nie domyślając się obecności Jana. W oddali wieś grała, szczenie psów, gwar ludzi zlewały się w jeden szmer zgluszone, jakoby bijącej o wybrzeża fali.

Gdy się zbliżyła, Jan, który dotąd stał w cieniu gęstej leszczyny, przystąpił do żywopłotu, co biegł wzdłuż ścieżki i od niej go oddzielał. Idąca w pośrodku kwiatów Ola, zwróciła się ku niemu z oczyma pełnemi jeszcze tej wiosny, która w jej duszę spłynęła.

— Ty-żes to Janie — rzekła bez zdziwienia, przybliżając się do żywopłotu, nad którym się przechylał.

— Nie mogę po dawnemu, swobodnie was odwiedzać — rzekł Jan. — Tu więc na ciebie czekam... Mam cię prosić o wielką łaskę...

— O łaskę? jak poważnie mi to mówisz.

Siliła się na uśmiech. Napróżno. Oboje pobledli.

— Postanowiłem sobie — ciągnął dalej Jan stanowczo, postanowiłem pojutrze udać się pielgrzymką na górę św. Odyli. Stamtąd czekać będę na odgłos dzwonów, zwiastujących Wielkanocne Święto... Gdybyś i ty znaleźć się tam mogła....

— Czyś uczynił ślub?

— Jakoby ślub, Olo. Muszę cię widzieć, muszę się z tobą sam na sam rozmówić...

Ola cofnęła się nieco, cała pomięszana, poczem spojrzała w oczy Jana, jakby pytając, czy dobrze zrozumiała, czy się nie przesłyszała. I on z swojej strony wlepił w nią wzrok, męki pełen. Stali tak naprzeciw siebie nieruchomi i zalęknieni, tak bliscy siebie. a tak oddaleni. Oboje czuli bowiem dobrze, iż się w tej chwili ich życie rozgrywa. Nie była to dzieci para, lecz mężczyzna i niewiasta z pokolenia silnego a namiętnego zarazem. Cała moc ich jestestwa wybuchała w tej chwili, zrywając pęta konwencyjonalizmu w tych prostych słowach: „Trzeba mi się z tobą rozmó-

wić". Ola poczuła wiew duszy, oddającej się na zawsze i bezpowrotnie.

I padały dalej w około nich białe kwiaty drzew wiśniowych, a wiosenne słońce z każdego kwiatka wyglądało.

— Pojutrze? u św. Odyli? na pierwsze Alleluja?

Powtarzała te słowa, jakby chcąc zyskać na czasie, jakby dla zbadania aż do dna źrenic młodzieńca, podobnych do zielonych, leśnych zagłębi.

Wielki spokój płynął z doliny, wielkie uciśnienie. Wiatr nawet ustał na chwilę. Ola podniosła głowę:

— Przyjdę — rzekła z prostotą.

Przymknęła oczy, jak gdyby chciała w nich zachować jakieś lube zjawisko, albo może i przesłonić silne wzruszenie. Nie próbował jej zatrzymać, nie powiedzieli sobie nic więcej. Bo też wszystko zostało wypowiedzianem w tych krótkich słowach...

W głębi ich dusz, owe wyrazy wywoływały nieskończone echo. Odtąd żadna z nich już nie miała samotności zaznać, zaskarbiając pamięć owej chwili jedynej, jak ziemia, która się zasklepia nad rzuconem w nią ziarnem, aby nowem życiem buchnąć.

Ola się oddaliła. Patrzył za nią Jan, podziwiał czerstwą i krzepką jej urodę. Szła prosta, śmiała, wysmukła. Jan w myśli stroił jej czoło w narodowy strój alzacki, w owe skrzydła z czarnych wstążek, które kobiety za Strasburgiem noszą. Teraz już nie patrzyła ona w górę, ręce jej opadły, sukienka na murawę zwisała, miecąc za sobą białe kwiecie, raz jeszcze poruszone pod jej stopami, zanim uwieźdło na zawsze...

.

Na drugi dzień Jan oświadczył ojcu:

— W Wielką Sobotę nie braknie pielgrzymów, aby na górze Św. Odyli czekać pierwszych dzwonów, zwiastujących wesole Alleluja. Nigdy tam jeszcze nie byłem i radhym się jutro wybrał

P. Józef Oberle zgodził się chętnie na życzenie syna.

Nazajutrz Jan wcześniej swoje okno uchylił. Gęsta mgła zaciemniała poranek. Bliższe nawet pola i drzewa niknęły w szarych oparach.

— Jakto? na taki czas się wybierasz? — zapytała Lunia podczas śniadania.

— Zapewne.

— Nic zgoła nie zobaczysz.

— Natomiast usłyszę dzwony.

— Alboż to co ciekawego?

— I bardzo.

— To zabierz mnie z sobą.

W gruncie rzeczy ani się jej nie marzyło wychodzić z domu. Ubrana w wytworny szlafroczek, powoli popijała czekoladę, próbując tylko brata przy sobie zatrzymać.

— Alboż to pielgrzymka?

— Coś naksztalt tego.

Pochylona nad filiżanką, nie zoczyła uśmiechu, którym się opromieniła nagle twarz młodzieńca. Dodała nie bez cienia goryczy:

— Bo widzisz, ja tam bardzo nabożną nie jestem, licho dopełniam moich powinności religijnych, nie skłonnam do ściślejszych praktyk... Ty, co masz więcej wiary, wiesz, o co prosićbyś powinien? Rzecz to wartająca osobnej pielgrzymki.

W głosie jej brzmiało teraz, jakoby namiętne zakłęcie, w oczach przeświecała i silna wola i siostrzana tkliwość:

— Powinienbyś sobie wymodlić żonę, jakiej ci trzeba, aby tu wytrzymać.. Bo jak mnie nie stanie, jak wyjdę za mąż, życie gotowe tu być straszne.. Na ciebie jednego spadnie cały ciężar domowej rozterki i tych chłopskich nieufności. Nie będziesz miał komu się uzalić. Uproś sobie żonę dość wesołą, dość dzielną, dość silnej duszy, aby ci była towarzyszką życia, które obrałeś. Rada to życzliwego serca.

— Bardzo życzliwego.

Uściskali się serdecznie.

— Idź z Bogiem, mój pielgrzymie! A uproś, coć trzeba!

— Do widzenia!

Jan zeszedł do ogrodu, okrążył chmielarnie i winnice, i niebawem znalazł się w lesie.

I tam mgła się wcisnęła pomiędzy gęstwinę. Jan nie trzymał się głównej drogi, szedł na przelaj zwawym krokiem, przystawając raz po raz, aby wytchnąć przez chwilę, obejrzeć się wkoło, ażali nie dostrzeże gdzie Oli, nie dosłyszcy jej głosu. Ale nie! Dolatywał tylko uszu jego szmer leśnych potoków, dalekie szczekanie psów, to znów lękliwe głosy ubogich, może skradających się nieśmiało, aby zbierać sobie smolnych gałązek na święta, choć tylko w czwartki wolno było drzewo zbierać. Dla nich ta gęsta mgła była opatrnościowem zrządzeniem. Jan upajał się trudem swej samotnej wędrówki. Towarzyszyła mu myśl o Oli, jakaś rozkosz serce rozpieiała, że ją zobaczy w tym świętecznym dniu, na tem miejscu najświętszem w Alzacyi. Dokoła budziły się paprocie leśne, wychylały listki poziomek, brusznic, żórawin, całej flory gór i lasów, napęlniającej powietrze wonią wiosennego życia. Mgła

więzła te zapachy, jakby przeszkadzając ich rozwianiu.

Jan minął Heidenbruch, spojrzął na przymknięte zielone okiennice leśniczówki i pomyślał, jakby się to wuj Ulryk cieszył, wiedząc, gdzie idzie, z kim się ma niebawem spotkać. Czujny pies zaszczał, zerwał się ptak leśny, zresztą nic jeszcze nie maćilo głuszy.

Jan, który od dzieciństwa tej wycieczki nie był powtórzył, używał na tej ciszy, na dzikości boru. Szedł górą, w części lasu należącej dotąd do biskupstwa strasburskiego i długo okrążał stary mur pogański, okalający tu przestrzeń dziesięciokilometrową.

W południe stanął u celu i wszedł na dziedzińiec klasztoru, wieńczącego sam szczyt góry. Zastał już sporo pielgrzymów, rozpierzchłych w pojedyncze kółka, zoczył dużo wyprężonych wózków, dużo koni, przywiązanych do starych lip, ocieniających stare mury. Dawne wspomnienia ogarnęły go na wstępie. Zwrócił się na prawo ku kaplicom, mijając pierwszą, aby spieszyć ku tej, gdzie spoczywa św. Odyła, patronka Alzacyi, gdzie na ołtarzu grobowca widnieje słodka jej postać z wosku urobiona, w szacie opatki klasztornej, a więc w sukni zakonnej, w płaszczu gronostajami podbitym, z złotym w ręku pastorałem. Przykląkł na stopniach i całym sercem się modlił o pokój dla skłóconego i smutnego domu rodzicielskiego, o nadzieście Oli Bastian na naznaczoną godzinę spotkania. A że miał prawą i szczerą duszę, do tej modlitwy dodał jedną jeszcze prośbę: „Niechby nam nasza droga wskazaną została! Niechbyśmy po niej razem kroczyć mogli! Niechby zniknęły wszystkie dzielące nas przeszkody!“ Na tem samym miejscu, przez długie wieki cała Alzacya przyklękała.

Wyszedł niebawem, aby przejść do refektarza, kędy zakonnice służyły pątnikom. Oli jeszcze nie było. Po śniadaniu, przedłużonem przyplywem coraz to nowych pielgrzymów, Jan wybiegł spieszenie, zeszedł po za skałę i źródło św. Odyli i usiadł nad drogą w gęstwinie. Gęsta mgła przesłaniała dotąd stoki góry, dolinę, drzewa, biejącą ścieżkę, która niby wstążka wśród lasu się pięła.

Wybiła druga. Za godzinę pierwsze dzwony na Alleluja uderzą. Coraz to więcej napływało pątników, spieszących w górę. Urywki rozmów mąciły raz po raz leśne ucieszenie. Jan usłyszał teraz urywek Marsylianki, wygwizdywanej przez grom studentów, którzy zniknęli wnet w przymgleniu. Później rozpoznał wieśniaków z Wissemburga po ich odrębnym stroju, wysokiej czapce futrzanej u mężczyzn, upiętżonem czepcu kobiet. I z innych okolic przybywali pielgrzymi różnorodni i różnie ubrani. Z kolei ukazał się stary ksiądz, który szedł zwolna, raz po raz ocierając pot z czoła. — Na jego widok, zapóźnionych dzieci dwoje, które spieszyły za oddalającą się matką, zawołało jednogłośnie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki — odparł ksiądz.

Nie znali się, ale zamieniali po dawnemu słowa chrześcijańskiego powitania. Jan słyszał powtarzające się w oddali wciąż te same wyrazy, które tylokrotnie od wieków się obily o leśne zagłębienia i drogi Alzacyi.

Zadumany, rozmarzony, czekał jeszcze przez małą chwilę. Aż tu przez mgłę jał płynąć ku niemu szept cichy i słodki, niby pieśń ptaszyny: Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, błogosławionaś Ty między niewiastami. Zaczem inny głos odpowia-

dał równie cichym szeptem: Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami... Jakieś tajemne wzruszenie czy przecucie ogarnęło Jana, zanim nawet dostrzegł idące kobiety.

Było ich dwie, obie wysokiego wzrostu. Starsza, uboga dziewczyna z Alsheim, mieszkała pod kościołem i na dni świąteczne przystrajała ołtarze. Wyglądała znużona, ale uśmiech rozjaśniał jej ogorzałe oblicze. Młodsza szła przy niej z głową nieco w górę wzniesioną, smukła i gibka; twarz jej czerstwa i zdrowa, oprawiona w ciemnwłosy, rysowała się na tle siwego w głębi zamglenia: Jan się nie poruszył z miejsca, nie wyrzekł słowa. Poznała go jednak i zobaczyła odrazu, a nie przerywając różańcowych pacierzy, spojrzeniem zdawała się mówić wyraźnie do niego: — Przyszłam, jak obiecałam, tam w górze się spotkamy! Nie zwolniły kroku, i wnet zniknęły obie w cieniu świerków. Jan odczekał parę minut i puścił się za niemi. Niebawem je zoczył z daleka. Postępowały teraz szybko, jakby rade, iż stanęły u celu. Mgła się nie rozwiała, ale czas był cieplejszy. Słońce niewidzialne, dobrze już schodzić musiało na równiny Francyi, za Wogezami położone.

Pątnicy, którzy odprawili już swoje modlitwy przy grobie patronki Alzacyi, zwykli tu inne święte miejsca obiegać, źródła św. Odyli i św. Jana, aż ku skale Männelstein, skąd tak cudowny rozwija się widok na góry okoliczne, zwaliska starvch zamków, wieżyce, wystające zpośród świerków. Stwierdziwszy, iż obie pątniczki zmierzają wprost do kaplicy, Jan cofnął się za próg klasztornego dziedzińca i czekał przy bramie, tworzącej rodzaj kruchty.

W dziesięć minut później Ola wyszła sama z kaplicy, a domyślając się, że Jan na nią czeka, i nie chcąc z nim rozmawiać wśród ciżby pielgrzymów, kroki swe zwróciła w stronę lasu. — Ubrana była podobnie jak w Wielki Czwartek, w granatową sukienkę, tylko zamiast czapeczki, miała dziś na głowie wiosenny kapelusz, który jej czoło ocieniał. Szła prędko, z główką pochyloną, jak ci, którzy dokoła nie patrzą, mając jeszcze w duszy pełno modlitw lub marzeń. Na widok Jana rzekła, nie zatrzymując się przy nim:

— Moja towarzyszka spoczywa. Otóż i jestem.

— Chodźmy — odparł Jan. — Jakże dobrą jesteś, żeś mi zawierzyła, żeś przyszła.

Puścili się aleją, wysadzaną drzewami skręconymi zimową wichurą, o zwyrodniałej żywotności i chudych kształtach. Jan w tej chwili odczuwał przedewszystkiem ogromną wdzięczność dla Oli i dawał jej wyraz we wzruszonych słowach. Ola zaś, nie mniej pomieszana, wsłuchiwała się sercem w to właśnie, czego wypowiedzieć nie był w stanie.

Na rozdrożu zboczyli w las, idąc ścieżką, wiodącą dokoła klasztoru. Teraz znaleźli się sami i Jan uczył jak oczy barwy zboża, oczy głębokie i poważne podnoszą się ku niemu. Cicho było w lesie, zaledwie raz po raz słychać było krople dżdżu, kapiące z obwisłej na świerkach mgły. Stali blisko siebie.

— Prosiłem, abys tu przyszła — rzekł Jan — na to, żebyś o mojem życiu rozstrzygnęła. Byłaś niegdyś przyjaciółką moich lat dziecięcych. Chciałbym, abys mi była przyjaciółką na zawsze.

Ola teraz patrzyła w dal, głos jej drżał zlekka:

— Czyś się zastanowił?...

— Myślałem o wszystkim!

— Nawet o tem, co nas rozłączyć może?

— Co przez to rozumiesz? Czego się lękasz? Czy boisz się wejść w dom pełen rozterki?

— Nie.

— Ty wniesiesz w nasze progi pokój pożądany. Czegóż się tedy obawiasz? czy oporu twego ojca lub mego, którzy się stali sobie wrogami?

— Moźnaby tę trudność przełamać — odrzekła Ola.

— Więc może chodzi o matkę twoją, która mnie nienawidzi, która okazała mi kiedyś tyle pogardy, tyle surowości?

Ola zaprzeczyła głową.

— Trudniej będzie ją przekonać, aniżeli ojca, trudniej, aniżeli mnie samą. Gdy jednak zobaczy, że wychowanie niemieckie nie zostawiło śladu na twej alzackiej duszy, i ona ustąpi.

Po chwili milczenia Ola ciągnęła dalej:

— Mogę się mylić, ale mi się wydaje, że owe trudności dzisiejsze mogłyby być usunięte przez ciebie lub przemnie, przez obojga razem. Lękam się tylko, żeby coś nowego, coś nieznanego nie zaostrzyło jeszcze już i tak naprężonego położenia i stosunków....

— Rozumiem, boisz się nowych ambicyj mego ojca.

— Po trochu!

— Dużo nam już stąd wycierpieć przyszło. Ale on ojcem moim, chodzi mu o to, aby mnie przy sobie zatrzymać, wciąż mi to sam powtarza. Kiedy się dowie, że ciebie sobie wybrałem, choćby miał jakie złowrogie dla naszego związku zamiary, gotów ich wykonanie odroczyć. — Nie lękajmy się, zwyciężymy oboje.

— Zwyciężymy! — odpowiedziała echem.

— Nie wątpię o tem, Olo. Osłodziś życie moje, które będzie trudnem, a bez ciebie byłoby nie-

znośnem. Wróciłem z myślą o tobie... Gdybym cię zapewnił, że dużo zbiegłem świata, a nigdzie nie spotkałem kobiety, któraby dla mnie miała ten urok jedyny, ożywczy, niby leśnego potoku! Ile razy pomyślałem o przyszłości, twoja postać przedemną stawała! Kocham cię, Olo!

Chwycił jej rękę, ona tymczasem podniosła oczy w górę, w pełni spływającego przez rzadsze drzewa światła:

— Bóg mi świadkiem, że i ja ciebie kocham, Janie.

Dłoń jej zadrżała w uścisku ręki Janowej, dreszcz szczęścia przejął obojga.

— Tak jest, luba, wszystko przezwycięzimy! Zwalczymy przeszkody, które ta jedna kwestya straszna między nami wytwarza...

— Niema bo innej w tym świata zakątku.

— Wszystko przez nią zatrute.

Ola zwróciła ku ukochanemu twarz promieniącą miłością i męstwem.

— Nie zatrute, ale uszlachetnione, rozszerzone, podniesione! To nie wiejska rozterka ni kłótnia. Zastawiamy się za ojczyznę, lub przeciw niej. Potrzeba nam zdobywać się na codzienną odwagę, codzien nowych wytwarzać sobie wrogów, zrywać z dawnymi przyjaciółmi, którzyby nam może wiernymi pozostali, ale się sprzeniewierzyli Alzacyi... Dla nas już żadna powszednia czynność obojętną być nie może, każda się zamienia w protest lub w afirmację! Wierzaj mi, Janie, że w tem tkwi jakaś wielkość.

— Wierzę, Olo moja najdroższa.

Przystanąli, aby się nacieszyć echem tego ostatniego słowa. Dusze ich zbiegły się w źrenicach, wychylały się, drżące, z ich oczu. I cicho, bardzo cicho, choć nie mieli innych świadków, krom nie-

mych drzew, jeśli mówić o przyszłości, jak o rozpoczętym już przez nich podboju.

— Za sobą mieć będę siostrę — odezwał się Jan. — Przy sposobności ze wszystkimi jej się zwierzę i liczyć mogę na jej przyjaźń.

— Ja zaś liczę na ojca — odparła Ola -- widzę w nim dużo dla ciebie życzliwości... Byłeś go żadną drobnostką, nieopatrznie sobie nie zraził... Lepiej nie próbuj się teraz ze mną widywać, nie przyspieszaj godziny...

— Godziny szczęścia, kiedy będziesz moją!

Po raz pierwszy uśmiechnęli się do siebie.

— Kocham cię tak bardzo i szanuję, że nawet nie proszę o ten pocałunek, któryby nasze śluby zatwierdził... Nie mam prawa o to cię prosić, skoro zależy od rodziców... a zresztą rad jestem okazać ci, jak bardzo mi jesteś świętą... Powtórz mi, Olo, że z sobą część twej duszy zabiorę!

— Zabierzesz — cicho wyszeptaly dziewicze wargi. I wnet dodały:

— Czy słyszysz tam w oddali? To pierwsze dzwony wielkanocne.

Pochylili naprzód głowy, łowiąc dalekie odgłosy.

Nie, to tylko wiatr zaszumił w gałęziach.

— Chodźmy — rzekła Ola — za chwilę odezwą się dzwony, a gdyby mnie tam w górze nie widziano, stara Róża gotowaby jaką plotkę zrobić.

Szli obok siebie aż do skały; tam się rozłączyli, aby różnymi ścieżkami wstąpić na dziedzińiec klasztorny.

— Odnajdziemy się na tarasie — rzekła Ola.

Wieczór błękitniał w załamaniu jarów. Była to godzina niedaleka już nocy, kiedy myśl o dniu jutrzejszym wstaje w rozmarzonych duszach.

W kilka minut Jan Oberle przebiegł dziedzińiec klasztorny, zagłębił się w krążgankach, otwo-

rzył drzewiczki, wychodzące na ogród, gdzie pielgrzymi, gdy pogoda sprzyja, zbierają się, aby patrzeć na rozścieloną n dołu Alzację. Niski mur okala tu olbrzymi odłam występującej w kształcie ostrogi skały, która góruje nad wieńczącymi stoki świerkami. Z tego zakątka oko obejmuje na prawo pasmo dalszych wyżyn, wprost zaś i na lewo alzacką równinę. W tej chwili rozdarła się była przez pół mgła, pod działaniem zachodzącego słońca, które musnęło szczyty Wogezów. Ponad nimi jeszcze widniał siwy obłok, poniżej zlekka zaróżowione resztki przymglenia nadawały krajobrazowi dziwną jakąś, świetlaną lekkość.

W miejscu, tworzącym rodzaj belwederu, nawiedzanego naprzemian przez pątników i ciekawych, znalazła się już gromadka, złożona z różnorodnych żywiółw.

A więc w pierwszym rzędzie siwy kapłan, którego dzieci witały przed kilku godzinami chrześcijańskim pozdrowieniem, dalej starzec w stroju kmieci alzackich z okolic północnych, dalej jeszcze młoda para wieśniaków z Wissemburga; na niskim murku opasowym zasiedli dwaj studenci, dwaj chyba bracia, tak podobni do siebie typem plemiennym, kolorem zarostu i rysami. Wszyscy to byli sami Alzaccyzy. Zamieniali banalne uwagi, jak przystało nieznanym, spotykającym się po raz pierwszy z sobą. Na widok Jana Oberle, wszyscy się obejrżeli i wspólność szczepowa stwierdziła się jednakiem zaniepokojeniem.

— Byłbyż to Niemiec? — szepnął ktoś z boku.

Stary Alzacczyk spojrział bystro i zawyrokował:

— On z naszych, wąż ma francuski.

— Widziałam, jak rozmawiał z panną Bastian z Alsheim — wtrąciła jedna z wieśniaczek.

Nie uspokoiłi się jeszcze zupełnie, gdy Jan Oberle skłonił się księdzu i zapytał po alzacku:

— Alboż dzwony nasze dziś bałamuca?

Uśmiech na wszystkich rozlał się twarzach, bo teraz na pewno uczuli się między sobą. Niebawem nadeszła i Ola. Oparła się na murze z przeciwnej strony. Ona i Jan znaleźli się tedy na skraju gromadki pielgrzymiej, która ich rozdzielała. Oboje jednak cierpieli jakąś wewnętrzną mękę, że się tak bardzo kochają, że sobie to wyznali, a że na nikogo krom siebie liczyć nie mogą...

Dzwony się nie spóźniły ani o minutę. Tylko rosnąca znów mgła, jakoby spętała ich dźwięki. Przedarły się nareszcie przez siwe przymglenia, które, uderzając o mury klasztorne, zdawały się wybuchać pieśnią zmartwychwstania: „Alleluja! Alleluja! Pan z grobu powstał, ludzi On zbawił, świat wyswobodził! Alleluja!“ Śpiewały chórem dzwony Alzacyi. Płynęły z dołu, płynęły i z dala! Zlewały się głosy ubogich wiejskich przybytków i wspaniałych katedralnych świątyń. Głosy te nie rwały się, lecz naprzemian, to grzmiały przeciągle, to śpiewały rzewnie. Pieśń to była cudowna, potężna, narodowa, której wykonawcy nie widzieli się nawzajem, a dostrajali się do jednego chóru, hymn wszystkich alzackich kościołów, hymn wiecznej wiosny, wiecznego wesela, unoszący się z doliny poprzez mgliste przesłony, aby wybuchnąć tryumfem na szczycie świętej góry. Wielkość odebranego stąd wrażenia wszystkich uciszyła. Samo powietrze zdawało się modlić. Dusze unosiły się ku zmartwychwstałemu Chrystusowi. Niejeden w tej chwili myślał o Alzacyi....

— Odślania się niebo — rzekł ktoś z obecnych.

— Tam, patrzcie, już się rozblękitnia — ozwał się senny głos kobiecy, ledwo dosłyszany, stłu-

miony spżżową pieśnią, która dalej wiała z doliny.

Wszystkie oczy naraz się podniosły. Rozerwane mgły i obłoki pędziły po niebie z niedościgłą szybkością. Coraz to nowe otwierały się przepaście błękitu, jakby pod naciskiem ostatnich promieni zachodu. Nagle rozerwała się zasłona, skłębiły opary, ostatnie szmaty przymgleń na drzewach zawisły i w dole ukazała się sina, złotawa równina Alzacyi.

— Co za widok! — kilka na raz odezwało się głosów.

Wszyscy się przechylili naprzód po przez mur, dochodzący im do kolan, aby objąć wzrokiem nieprzejrzaną równinę. Wszystkie te dusze alzackie jednakiemu uległy wzruszeniu. Wszak ci to kilkaset wiosek ojczystych u ich stóp się rozścięłało pośród pól ubarwionych zbożem rozmaitem. Ren zamykał szeroki widnokrag srebrnem pasmem, nad którym ostatki przymgleń się zapóźniały.

W pobliżu las mienił się całą skalą zielonych odcieni. Wszystko to oświecone było nie już słońcem, lecz ostatnimi blaskami nieba na zachodzie. Harmonia tonów dostrajała się z dzwonów harmonią. Stary Alzaczycy, który stał obok księdza, rzekł, wskazując ręką:

— Rozpoznaję dzwony strasburskiego tumu.

W oddali błyskała w ametystowem świetle smukła wieżyca katedry. Teraz każdy chciał rozoznać dzwony własnej parafii.

— Poznaję kurant z Marmontiers! Jak to śpiewa cienko...

— Słyszycie dzwony z Obernai!

— Słyszycie dzwon z Heilingenstein!

— Od nas za daleko, aby tu doszedł odgłos z Hagenau — mówił wieśniak z okolic Wissemburga, a jednak... czyby mi się śniło?

Stary Alzacyjnyk powtórzył z powagą:

— Słyszę tu strasburgski.

I wnet dodał:

— Wy tam wszyscy, patrzcież, co się dzieje!

Jakoż ujrzeli, że obłok, który najwyżej uleciał, znalazł się teraz w strefie jeszcze promieniami słonecznymi oblanej. Zabłysł on teraz całą skalą purpury, wieńcząc jakoby snopem różowych, złotych, krwawych kwiatów najwyższe szczyty Wogezów. Odblask zaś tej iluminacyi niebios padł ognistym szlakiem na ziemię, uwydatniając w oddali smukłą tumu wieżycę i skupione u jej stóp miasto.

— Podobne zjawisko raz już stąd oglądałem, w nocy z dnia 23 sierpnia 1870 r. — rzekł stary Alzacyjnyk.

Wszyscy znali tę datę, nieraz przywodzoną, najmłodszy nawet. I wszystkie też oczy ze zdwojoną rzewnością zwróciły się ku prującej niebiosa wieżycy, skąd płynęły jeszcze ostatnie promienie i ostatnie dźwięki.

— Zaszedłem tu z kobietami z wsi okolicznych, bo działa grzmiały nieustannie. Słuchaliśmy stąd huku armat, jak dziś dzwonów słuchamy. Kartacze pękały w górze jak fajerwerki. Kobiety płakały. Owej to nocy zapaliła się biblioteka i muzeum i nowy kościół i dziesięć domów spłonęło. Dym armatni wytworzył podobny temu obłok żółto-czerwony. Wszakże padło na Strasburg 193 tysięcy bomb pruskich!

Jeden z studentów zacisnął pięści.

— Hańba! — mruknął drugi.

Wieśniak w milczeniu zdjął czapkę. Dzwony teraz rzedniały, cichły, coraz mniej liczne. Rzekł-byś jedno po drugim światło dogasało. Mrok gęstniał.

Jan Oberle spostrzegł, że kobiety cicho płaczą, że wszyscy stoją jakby oniemieli.

— Księżę proboszczu — rzekł, zwracając się do księdza — gdyby tak, dopóki dzwony zwiastują zmartwychwstanie, razem się za Alzację pomodlić?

— Dobrze mówisz, chłopcze — rzekł wieśniak — znać, żeś ty z naszych!

I oto twarz pospolita, zmęczona, starego księdza, nagle jakby się przemieniła. Coś zadrgało, załamało się w jego głosie, jakiś ból wielki, dawny a świeży, znalazł wyraz w modlitwie, którą odmówił, podczas gdy wszyscy dokola patrzyli dalej na niknące w mroku i w oddali miasto:

— Panie! dajesz nam oto z góry Twojej świętej objąć spojrzeniem drogą ziemię naszą, miasta nasze, i wioski, i pola! Wszelako nie całą tu przed sobą widzimy ojczyznę! Tam dalej, za górami, nasza też rozciąga się ziemia! Dopuszcieś, o Panie, aby nas rozdzielono. Rwie się w nas serce na myśl tego drogiego za górami narodu, któryś Ty, o Panie, osobną ukochał miłością. Najstarszy to z pośród ludów chrześcijańskich, spadkobierca najwdzięczniejszych Bożych przymiotów. Więcej on w Twojem niebie liczy aniołów i świętych, bo na ziemi ma też więcej ołtarzy, więcej mogił kochanych, których bronić mu trzeba, więcej prochów szanownych po jego polach i ugorach, i wodach, i łąkach nieprzejrzanym i rodzajnym. O Panie! wycierpieliśmy już niemało na ciele i duszy, na dobytku i wszelkiej własności naszej, cierpimy nieskończenie i w naszych wspomnieniach. Lecz daj nam w nich wytrwanie, dozwól, aby i Francya nie zapomniała! aby się stała godną hetmanic innym narodom.

— Wróc Francyi utraconą siostrę...

— Amen!

— Jak powracają dzwony zmartwychwstania!

— Amen! Amen! — powtórzyły dwa męskie głosy.

Inni z cicha płakali. Już tylko głos jednego dzwonu płynął jeszcze z oddali, po przez chłód wieczoru. Zgasły blaski purpurowego obłoku, został zaledwie fiołkowy rąbek na południowych szczytach Wogezów. W zagłębiach nocnego przestworza błyskały pierwsze gwiazdy, budzące się na tle lazuru, jak przyłasczki i pierwiosnki, które w tej samej chwili z pośród mchów leśnych się rozchylały.

Niebawem, na klasztornym tarasie, już tylko pozostało ludzi troje. Tamci się rozeszli. skoro tylko tajemnica ich alzackiej duszy się odsłoniła. Stary ksiądz, na widok przybliżonych teraz do siebie Jana i Oli, zapytał życzliwie:

— Narzeczeni?

— Dałby to Bóg! — odrzekł Jan.

— Niechże wam się szczęści i darzy! — Obyście wy młodzi, doczekali lepszej doby, i widzieli znów Alzację Francyi zwróconą!

Oddalił się. Zostali sami.

— Do widzenia, do widzenia Janie! — szepnęła pospiesznie Ola.

Podala mu rękę i poszła, nie odwracając twarzy ku niemu.

On pozostał ostatni, oparty o mur tarasu. Nocne ptactwo, puszczyki i sowy, z ponurym krzykiem przelatywały od drzewa do drzewa. Przez cały kwadrans słyhać było jeszcze ich ponure nawoływania. Aż nareszcie wszystko ucichło, i ustalił się pokój, zlany z wonią uśpionego lasu.

VIII.

U Karolisa.

U wstępu do jednej z dawniejszych ulic Strasburga znajduje się dom niski i stary, o dwupiętrowym, jak chińska pagoda, dachu. W miejsce dawnego belkowania, dziś widnieje z przodu sztyld olbrzymi, na którym wyczytać można: J. Karolis. *Weinstube*. Nie jesto jednak zwyczajna winiarnia. Historyczne to miejsce. Tu w r. 1576 przybyli z Zurychu najbieglejsi strzelcy, aby uczestniczyć we współzawodnictwie strzeleckim, — na które miasto wezwało kraje sąsiednie. Przywieźli ze sobą kocioł pełen jaglanej kaszy, a ledwo opuścili łódź, która ich przywiozła, zwrócili uwagę Strasburczyków na to, że jagła jeszcze nie była wystygła. — „Łatwo sobie nawzajem pomoc nieść możemy wodną drogą na Illu i Renie! miasta nasze z sobą sąsiadują.“ — Obietnica, dana w 1576 roku, została dotrzymaną w roku 1870 — jak o tem świadczy napis w pobliżu, na fontannie zurychskiej wryty. W chwili, gdy obleżony Strsburg znajdował się w najcięższych opalach, interwencya mieszkańców Zurychu otrzymała od generała von Werder pozwolenie wyprowadzenia z miasta starców, kobiet i dzieci. Inny rozgłos

nadał starej winiarni od r. 1860 nowy jej nabywca, Jan Karolis, który tu otworzył wyszynk win południowych. Jego nadzwyczajne podobieństwo do Gambetty, którego naśladował ruchy, głos i nawet ubiór, powszechną nań zwracało uwagę. Interesa jego zakwitły, a ostatecznie rozwinęły się jeszcze pomyślniej, kiedy po wojnie i aneksyi, oficerowie niemieccy nawykli schodzić się w jego winiarni, zwabieni wonnością win francuskich.

Pod koniec kwietnia Jan Oberle, po drodze do jednego z urzędników administracyi leśnej, którego oddawna obiecał był odwiedzić, przechodził tą właśnie ulicą, gdy go zaczepiła starsza kobieta, czarno ubrana, widocznie Alzatka.

— Niech mi pan wybaczy, ale tu ktoś go do siebie zaprasza — rzekła nieśmiało.

— Któż taki?

— Jeden z panów oficerów.

I wskazała na salę restauracyjną.

Jan po chwili wahania poszedł za nią, a nie znając strasburskich nawyknień, z pewnem zdziwieniem zastał tam sześciu oficerów pruskich, którzy za stołem spijali wyborowe i sławne wina Karolisowe. Na pierwsze spojrzenie przez gęsty dym tytoniowy rozeznał szczupłe rozmiary sali, w guście niemieckim malowanej i udekorowanej. Jan Oberle szukał, kto taki mógł go wołać, gdy nagle wstał z miejsca młody i smukły oficer, którego rzadka i męska uroda rozświeciła zadytmioną salę. Towarzysze jego pozostali za stołem. Wszyscy byli pokryci kurzawą i potem, wyglądali znużeni. Najmłodszy z wycieczki za miasto przyniósł był zatkniętą przy szlifach gałązkę polnej różyczki.

Alzatezyk rozpoznał porucznika Wilhelma von Farnow, o kilka lat od siebie starszego Prusaka,

którego poznał był w Monachium, gdy sam zaczynał tam studia prawnicze, Farnow zaś służył wówczas w pułku ułanów bawarskich. Nie spotkali się byli od tego czasu. — Słyszał tylko, że skutkiem sprzeczki pomiędzy oficerami pruskimi a bawarskimi, nastąpiły pewne translokacje uczestników sporu, i że dawny jego znajomy podobnież zmienić musiał pułku. Zresztą tu omyłka nie była podobną. Był to zawsze ten sam Farnow o jasnej, nieco płaskiej twarzy, hardym, trochę zadartym nosie, nie zrównanych oczach o stalowym odbłysku, w których przeświecała butna i bitna młodość, wyraz samochwały i samowładzy zarazem. Zdawał się być stworzonym na kirasyera, olbrzymimi i gibkimi zarazem kształty. Ten też wzrost, giętkość ruchów, jędrność silnej budowy, zdobyły młodemu oficerowi przyznanie urody, której właściwie pod względem rysów nie posiadał zgoła. Mówiono naprzemian „piękny Farnow,” albo znów „Farnow o trupiej głowie.” Z hełmem na głowie, rzucającym cień na jego oczy, z zaniedbanym rudym wąsem i najeżonymi brwiami mógł groźnie wyglądać. W czasach zaś pokoju robił wrażenie człowieka gwałtownego z natury, lecz pohamowanego karnością wojskową i dobrem wychowaniem, a świeża, czerstwa młodość łagodziła przyrodzoną, stłumioną dzikość. Wszelako nawet w wielkiej jego uprzejmości tkwiła jakaś sztuczność wymuszona.

Farnow rozmawiał ze swym zwierzchnikiem, starym żołnierzem, o szpakowatym wąsie, gdy Jan Oberle ukazał się we drzwiach. Coś mu tłómaczył, a starszy oficer potakiwał jeszcze w sposób uroczysty, gdy Farnow przedstawił mu nowoprzybyłego:

— Pan pułkownik pozwoli, abym mu przedstawił dawnego kolegę mojego, Jana Oberle, syna wielkiego przemysłowca z Alsheim.

— I owszem... Znam ojca... bardzo rozumnego, bardzo ruchliwego Alzatzczyka.

Nastąpiło drugie przedstawienie kapitanowi, człowiekowi młodszemu znacznie, o wykwintniejszym, lecz równie dumnym obejściu. I on podobnież nie szczędził słów uznania dla Józefa Oberle:

— Jakżeż? Znam... pamiętam... człowiek świątly... o rzadko rozumnych poglądach...

Kapitan był członkiem Towarzystwa akcyonaryusza, którzy świeżo przelicytowali dzierżawę polowania gminy Alsheim, dotychczas własność niepodzielną p. Józefa Oberle.

Jan czuł się nieco upokorzonym nadmiarem uprzejmości ze strony panów oficerów. Zdawało mu się, iż przesadzają w głaskaniu i jakoby ugłaskaniu Alzatzczyka, cywilisty, mieszczanina, oni wyżsi od niego urodzeniem i rangę. — Postępowanie mego ojca czyż ma tak wielką doniosłość, że aż na mnie stąd tyle splywa grzesności? Ani majątkiem, ani położeniem, ani świętnością rozmowy, na takie wyróżnienie chyba nie zasługuję.

Na znak kapitana, zwalnający młodych towarzyszków od dalszej, nieco ciężkiej rozmowy, Farnow odciągnął Jana ku jednemu z osobnych, a dalszych stolików sali restauracyjnej.

— Czystym wypadkiem mnie tu spotykasz — rzekł Farnow z odcieniem dumnej ironii, właściwym pruskiemu oficerowi. — Pułk mój tu nie ucześnie, zostawiając raczej lokal ten oficerom od piechoty. Co do mnie, wierny jestem winiarni germańskiej. Ale wracam z rekonesansu i zagrza-

liśmy się srodze, jak widzisz.... Wybaczysz, mój kochany Oberle, że cię tak bez ceremonii zawołać kazałem.

— I owszem, było to po koleżeńsku i po przyjacielsku. Niepodobna ci było samemu oddalić się od swych zwierzchników.

— A tak już pragnąłem odnowić z tobą dawne nasze, monachijskie stosunki. Ledwo cię zobaczyłem przez okno, wysłałem bufetową, aby cię uprzedzić, że na ciebie czekam...

— Dziękuję ci za dobrą pamięć, Farnowie.

Obaj młodzieńcy nawzajem przypatrywali się sobie, jakby chcieli wypełnić domysłowo te ostatnie lata rozłączenia: — Co on robił? co o mnie myśli? na jakie zaufanie zasługuje? — Pytania te cisnęły z kolei jednemu i drugiemu.

— Ponoś tu co dopiero zawitał? — zapytał Farnow.

— Z końcem lutego.

— Mówiono mi, że chcesz odbyć służbę jednoroczną w pułku huzarów nadreńskich.

— W istocie.

— W ciągu przeszłej zimy miałem zaszczyt przedstawić się twemu ojcu.

Rozmowy przycichły w winiarni i Jan mógł zauważyć, że oficerowie zdala zdawali się śledzić twarz przyszedłego jednoroczniaka.

— Radbym cię dłużej widzieć — rzekł Farnow zciszoną głosem. — Sądzę, że odtąd będziemy się częściej spotykali.

— Znasz Alsheim?

— Kilkakrotnie manewrowaliśmy w pobliżu.

Widocznie porucznik macał grunt, nie wiedząc, jak daleko posunąć się może. Powszednie zajścia przekonały go nie od dziś, co to jest znajdować się w prowincyi zabranej... Nie chciał się sparzyć

raz więcej... Czy wypadło zapowiedzieć odwiedziny?

Nie był tego pewnym, a ta niepewność sama obrażała jego dumę, dodawała mu zaczepności. Jan ze swojej strony czuł się zmieszany i nie swój. Ta najprostsza rzecz, powitania u siebie dawnego znajomego, teraz zdała mu się być dziwnie zawiłą. Osobiście możeby się nie zawahał. Ale wiedział, że ani matka, ani dziadunio nie odstąpią od zasady z góry postawionej i dotąd ściśle przestrzeganej, ażeby nigdy żadnego Niemca nie przyjąć, do domu, nie otworzyć przed nim drzwi swoich, inaczej jak dla interesów, w sposób urzędowy, banalny i pospieszny... Przykro mu było okazywać się w Strasburgu innym, jak w Monachium, i u wstępu na ziemię alzacką, obrażać młodego oficera, który przyjazną ku niemu dłoń wyciągał. Starał się złagodzić serdecznością odpowiedź swoją:

— Jak najchętniej cię odwiedzę, Farnowie.

Niemiec zrozumiał, umilkł, zmarszczył czoło. Nie pierwszy raz natknął się na drzwi zamknięte przed sobą. A jednak u Jana Oberle nie widział systematycznej, jawnej niechęci. — Jeżeli uczuł gniewne w sercu wzburzenie, nie zdradził się z niem, zataił gniew, dłoń tylko jego, krzepka i silna, jakby urobiona ze stali, ścisnęła mocniej rękojeść szpady.

— Ucieszysz mnie wielce — wyrzekł nareszcie — i rozkazał przynieść butelkę wina burgundzkiego, aby sobie i Janowi nalać kieliszki.

— Na powitanie cię w Alsheim!

I wychyliwszy kielich duszkiem, odstawił go przed siebie.

— Rad jestem szczerze naszemu spotkaniu. Znasz moje sposobienie, pędzę życie dość samo-

tne. Po za wojskowym rzemiosłem, które nad wszystko stawiam, wiesz, że tylko lubię polowanie. Znajduję, że człowiek jest stworzony na to, aby okazywać swą przewagę nad zwierzętami, kiedy nie ma sposobności nad bliźnim swoim nią zaciężyć... Nie masz większej rokoszy, nad łowy! Podobno twój ojciec stracił prawo polowania w Alsheim?

Zciszył głos, aby inni oficerowie przy tamtych stołach nie usłyszeli treści rozmowy.

— Słyszałem, że przestał polować — rzekł Jan.

— Możebyś kiedy ze mną się wybrał? — Trzymam bardzo ładne polowanie pod Hagenau, na pół leśne, na pół polne. Nie brak tam saru, przechodzących z kniei Świętej, mam coś bażantów i zajęcy, znajdzie się i ciąg słomek w niektórych porach.

Rozmowa toczyła się na temat polowania. Powoli przyjaciele wysączali butelkę najlepszego wina Karolisowego. Farnow odrzucił zwiędłą u szlifów gałązkę.

— Jeżeli się na to zgodzisz, Oberle, odprowadzę cię teraz. W którą idziesz stronę?

— W stronę uniwersytetu.

— I mnie tamędy iść wypada.

Powstali razem z miejsca. Jednakiego wzrostu, bodaj pokrewnego typu, różnili się tylko od siebie wyrazem twarzy i oczu. Jan uprzejmością łagodził słów swoich powagę, Farnow przesadzał pewną brutalnością hardość swego wzięcia. Młody porucznik, przechodząc obok swych zwierchników, kilkakrotnie i uniżenie się im skłonił. Zniknęło przelotne koleżeństwo, mechanicznie starsi śledzili, czy wszystko znajduje się w porządku w mundurze podwładnego i jego zachowaniu się.

Egzamin wypaść musiał zadowolniająco, sądząc po łaskawem skinieniu głowy.

— Byli grzeczni, nieprawdaż? — zapytał Farnow, skoro tylko na ulicy się znaleźli.

— Zapewne.

— Jak to mówisz obojętnie? Nie poznałeś się na uprzejmości! gdybyś ich widział w służbie...

— Przeciwnie, może się okazali zbyt uprzejmi — odparł Jan. — Spostrzegam coraz więcej, jak dalece mój ojciec korzyć i upokorzyć się musiał, aby tak być ocenianym w górze!.. Rozumiesz, że mnie to uraża i boli...

Farnow spojrział na niego bystro:

— *Franzosenkopf!* Cóż to za dziwne, dziwaczne plemię, które nie chce się zgodzić z losem, na podbój dokonany przystać nie chcą i gotowi się obrażać, gdy Niemiec im grzeczność wyświadczy...

— Bo te grzeczności nigdy za darmo nie idą — odparł Jan.

Słowa te bynajmniej Farnowa nie uraziły. — Owszem, zdały mu się być hołdem, oddanym brutalnemu utylitarnemu temperamentowi swego narodu. Nie chciał zresztą zapuszczać się w dyskusję, dla ich wzajemnej przyjaźni niebezpieczne. Skłonił się przechodzącej mimo pani, dłuższem za nią goniąc spojrzeniem.

— Jestto żona kapitana von Holtzberg. Jaka ładna, nieprawdaż?

Poczem wskazując na stare miasto, wychylające się w ten pogodny ranek z przymgleń wiosennych, dodał, jakby łącząc w swej myśli dwa wrażenia:

— Przepadam za dawnym, feudalnym Strassburgiem!

Ponad rzeką, zmaconą odpływem fabryk i ścieków miejskich, podnosiły się dachy wysokie, średniowieczne zabudowania, naprzemian żółte, czerwone lub zblakłe, jak dywan perski, rozłożony dokoła cudownej katedry, stanowiącej oś i środek zbiegłego ku niej miasta. Bocian z rozpiętymi skrzydłami, niby ptak herbowny, pruł błękit nieba, wierny Strasburgowi, odnajdujący zawsze te same gniazda na tych samych kominach. Jan i Farnow utkwili wzrok w lotnym ptaku, który okrążył wieżycę katedry, królowej i gloryi alzackiej stolicy, spuścił się niżej i zniknął.

— Tych to powietrznych mieszkańców — rzekł Farnow — ni dym fabryki, ni świst kolei żelaznych, ni nowsze budowy i nowy rzeczy porządek z siedzib nie wystraszył, nic ich nie dziwi, nic nie odstręcza.

— Ptak to niemiecki — odparł, śmiejąc się Jan. — Przecież zawsze nosił on barwy wasze: biało-czarne.

— Masz słusność — rzekł wesoło Farnow.

Ale natychmiast uśmiech znikł z jego twarzy.

Wprost przed nim pijany żołnierz prowadził konie, a raczej włókł się za nimi. Szarpał naprzemian za trędzle, potykał się i chwiał na nogach.

— Cóż tam znowu? — mruknął Farnow. — Pijany żołnierz, i to od rana!

— Przebrał miarkę i jakoś mu nie wesoło — zauważył Jan Oberle.

Farnow groźnem okiem mierzył tymczasem zbliżającego się ku niemu żołnierza. Ten na widok zwierzchnika winien był wojskowym krokiem postępować i po wojskowemu też salutować. Tymczasem, mijając porucznika, nie tylko go zgoła nie spostrzegł, ale jeszcze, szarpiąc się z końmi,

głośne powtarzał przekleństwa. Tego było już nadto. Oficer odczuł, jakoby szańbienie niemieckich znaków. Zaszedł wprost drogę winowajcy, miotany niepohamowanym gniewem. Konie cofnęły się przestraszone:

— Halt! — zakomenderował.

Żołnierz nieprzytomnie podniósł oczy, ale usłuchał rozkazu.

— Nazwisko?

I teraz usłuchał.

— W koszarach dostaniesz za swoje, teraz oto masz zadatek!

I z całej siły nerwowej pięści wyciął żołnierzowi policzek. Krew trysnęła obficie, w pijanych żrenicach błysnął szal zemsty i odwetu, ale wnet zagasł pod jakimś mętłem a strasznym przypomnieniem, czem władza, czem przewaga oficerska.

— A teraz marsz! — zakomenderował Farnow.

Stał tak wyprostowany, o całą głowę wyższy od pijanego żołnierza, z oczami pełnymi piorunów, z wyrazem gniewnym i mściwym, takim, jakiego dopatrzeć się w nim musieli ci, którzy go trupią głową przewali.

Zrobiło się na ulicy zbiegowisko. Żołnierz ruszył dalej, próbując utrzymać się na nogach. Że zaś dały się słyszeć szemrania wśród świadków zajścia, Farnow spiorunował ich spojrzeniem i w mgnieniu oka wszyscy się rozprószyli. Wtedy oficer zwrócił się do swego towarzysza.

— Posunąłeś się zbyt daleko, jak sądzę — ozwał się Jan Oberle. — Przecież nie wolno bić żołnierza. Gotowa się zrobić awantura.

— Nie można inaczej z tem bydłem postępować — odpowiedział Farnow, jeszcze dyszący gniewem. — Zresztą możesz być pewnym, że już

biednym szkapom oddał z procentem otrzymany policzek. Jak się tylko prześpi, o wszystkim zapomni.

Szli dalej w milczeniu pod różnem wrażeniem niemiłego zajścia. Farnow nakładał świeżą parę rękawiczek w zastępstwie tej, która się otarła o twarz pijanego żołnierza.

Po chwili rzekł do Jana z głębokiem przekonaniem:

— Byliśmy bardzo młodzi, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali. Przyjdzie nam teraz nie jedno zamienić zwierzenia, aby poznać nasze wzajemne poglądy na niejedną też sprawę. Dziwię się tylko, iż po tak długim w Niemczech pobycie, nie spostrzegłeś dotąd, żeśmy przeznaczeni i powołani do podboju i ujarznienia świata, że zdobywcy nie bywają nigdy ani cichymi, ani łagodnymi, ani może nawet zupełnie sprawiedliwymi.

Postąpił kilka kroków naprzód i dodał:

— A jednak przykro mi, jeśliś cię czem zraził, acz nie żałuję mego postępku. W podobnem uniesieniu tkwi na dnie poczucie karności, hierarchiczny porządek wojskowy. To niech mnie wytłómaczy. Do widzenia!

Ścisnął Jana za rękę. Przez chwilę znikł dumny wyraz z stalowych jego źrenic.

— Oto i mieszkanie twojego leśnego biurokraty.

I rozstali się z sobą, jakby nie wiedząc jeszcze, czy się będą nienawidzić nawzajem, czy też kochać.

IX.

Zwierzenia.

Jan powracał koleją do Obernai, gdzie zostawił był swój rower, by na nim do Alsheim dojechać. Po drodze nadybał drugiego bociana, stojącego nieruchomo na jednej nodze.

Opowiedział to na wstępie siostrze, którą zastał w ogrodzie. Siedziała pod drzewem w jasnej, białą koronką oszytej sukience. Na widok Jana zerwała się z miejsca, aby go powitać.

— Strasznie mi ciebie brak! Po co tak ciągle wyjeżdżasz? Co robisz na wielkich drogach?

— Różne odkrycia, siostrzyczko. I tak zoczyłem aż dwa bociany, które się stawiły na termin, jak palestranty, bo dziś 23 kwietnia.

Lunia się zlekka skrzywiła, obojętna snać na tę wiadomość.

— Co dalej?

— Spędziłem aż trzy godziny w biurach administracyi leśnej, gdzie mi powiedziano...

— Powtórzysz to ojcu. Mnie już obrzydło każde drzewo, stojące, czy ścięte, tyle się o niem nasłuchać muszę. Lepiej mi co opowiedz o Strassburgu, opisz jakiś strój nowy, jakieś spotkanie...

— Prawda — zaśmiał się młodzieniec — tym razem spotkałem kogoś...

— Naprzykład?

— Dawnego znajomego z Mouachium, porucznika od huzarów.

— Pana von Farnow?

— W istocie, Wilhelma von Farnow, porucznika w 9 pułku huzarów nadreńskich. Ale skądżeś odgadła? co tobie jest?

Znajdowali się w szpalerze, który osłaniał ich cieniem. Lunia przystanęła, spokojna, lecz wyzywająca.

— Co mi jest? Oto, Wilhelm von Farnow powiedział mi, że mnie kocha.

— On?

— A ja mu jestem wzajemną!

Jan odskoczył.

— Przecież to rzecz całkiem niepodobna.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że to Prusak, że pruski oficer!

Nastąpiła chwila milczenia. Oboje pobledli. Jan dodał:

— Przecież wiedzieć musisz, że Farnow jest nadto protestantem.

Podniosła ku niemu hardo czoło:

— Może myślisz, że się nad tem wszystkim nie zastanowiłam? Przeciwnie. Wiem, co na to mówić będą, znam niewyrozumiałość naszego społeczeństwa, znam surowość alzacką. Krzyceć będą, potępiać mnie, ubolewać nademną. Spróbują mnie przekonać, odciągnąć... Na próżno, wszystkie argumenta o jedno się roztrącają... o to, że ja go kocham. Co się stało, odstać się już nie może. O to mi tylko chodzi, abym z góry wiedziała, czy będziesz ze mną, czy też przeciwko mnie? Bo postanowienie moje jest niezłomne.

— O Boże mój, Boże! — jęknął Jan, ukrywając twarz w obu dłoniach.

— Nie mniemałam, aby cię to do tego stopnia zasmucić miało. Nie rozumiem ciebie. Alboż podzielasz tę głupią ich nienawiść i zawzięcie? Mówże! Przecież i ja jestem wzruszoną bardzo, a jednak na słowa się silę. Bledszy jesteś odemnie i bardziej zmieszany, chociaż to o mnie, nie o ciebie chodzi.

Odjęła mu ręce od twarzy. Jan na nią patrzył, jakby osłupiałemi oczyma. Nareszcie wyjął:

— Ty się mylisz, Luniu, bo sprawa ta dotyczy w równej mierze nas obojga.

— A to jakim sposobem?

— Bo i ja ci winienem zwierzenie Kocham Olę Bastian!

Imię to ją przeraziło, ale z drugiej strony zmiękła, otrzymując od brata zwierzenie miłości. Opadła jej drażliwa oporność. Zawisła na szyi brata. Zwoje rdzawych jej włosów spłynęły po jego ramieniu. Szepnęła z cicha:

— Mój ty biedaku... los zaiste nas przesładuje... Z jednej strony Ola Bastian, z drugiej tamten... Dwie miłości, wyłączające się nawzajem. Ach! mój najdroższy, to cały dramat naszej rodziny, który się w nas i przez nas utrwała.

Zdawało jej się, iż słyszy zbliżające się kroki. Chwyliła brata za rękę:

— Tu rozmawiać niepodobna. Musimy przecież więcej sobie do powiedzenia od tych imion dwojga... Gdyby nas ojciec lub matka podsłuchali! Gdyby mama się domyśliła, jakie w tej chwili zamieniamy zwierzenia!

Chciała zrazu do domu powrócić, do własnej izdebki panińskiej. Ale się wnet rozmyśliła.

— Idźmy raczej w pole, tam nikt nam nie przerwie, nic nie przeszkodzi.

I wyszli z ogrodu i wstąpili na ścieżkę, wijącą się jak szara wstęga, po przez różnobarwne pola. Ale już teraz, po pierwszej chwili zdziwienia, przerażenia, obawy następstw dla jednego lub drugiego, oboje zaprzętnęli się własnym raczej losem.

— Może i niepotrzebnie się lękamy — ozwała się Lunia. — Alboż nasze dwa zamiary koniecz- nie zetrzeć się muszą z sobą?

— Niezawodnie. Matka Oli nie pozwoli nigdy na to, aby jej córka została bratową pruskiego oficera.

— Nie możesz wiedzieć, czy i ten oficer nie byłby wolał wstąpić w rodzinę o mniej zaśnie- działych poglądach — wtrąciła lekko urażona Lunia. — I twoje zamiary gotowe mojej przy- szłości zaszkodzić.

— Znam Farnowa: nic go wstrzymać nie po- trafi.

— Wiem o tem — odparła Lunia, a twarz jej okryła się dumnym rumieńcem.

— Jest on jednym z tych, co się pomylić nie mogą.

— Zapewne.

— Objął cię w zakresie swych ambicyj.

— Pochlebiam sobie, iż tak jest w istocie.

— Możesz tedy być spokojną. Nie cofnie się, nie zawaha. — Wszystkie skrupuły przyjdą ze strony Bastianów, którzy się znają, jak nikt, na honorze...

Lunia puściła nagle ramię brata.

— Gdyby on cię usłyszał, wyzwałby cię na po- jedynek.

— Czegoby to dowodziło?

— Że odczuł urazę, jak i ja ją czuję. Przecież pan von Farnow jest honorowym człowiekiem.

— Po swojemu, nie po naszymu.

— On rycerski! On szlachetny!

— Powiedz raczej feudalny, bo taką jest ich szlachetność. Na późniejszą czasu im niestało. Ale cóż z tego?.. Nadto sam cierpię, aby z tobą się spierać. Tyle wiem, że rodzice Oli mnie odepchną, że pan von Farnow nie zrozumie, dlaczego, a choćby i zrozumiał, nie ustąpi. A twierdząc tak, nie szkaluję go bynajmniej, lecz tylko przenikam.

Szli przez pola, owiani ciepłym oddechem zarzanej wiosną ziemi, nie ciesząc się zielenią rosnących, wschodzących dokoła zbóż. Lunia nie mogła zaprzeczyć, iż brat miał słuszość, dość sama знаła Farnowa, znała i Bastianów. W każdej innej okoliczności byłaby dzieliła smutek brata, ale dziś osobiste widoki górowały nad siostrzanem uczuciem. Zrazu wyznanie Jana targnęło ją było za serce. Ale niezdolna ulitować się nad nim, samolubnym tylko hołdowała myślom.

— Gdybyśmy dłużej z sobą byli, znałbyś lepiej moje wyobrażenia, nie dziwiłbyś się tak bardzo... Postanowiłam sobie oddawna nie wyjść inaczej za mąż, jak tylko za bardzo bogatego człowieka. Nie chcę znóć troski o jutro, chcę być pewną przyszłości i nią rządzić.

— Pierwszy warunek osiągnięty — odparł Jan z goryczą. — Wiem, że Farnow posiada znaczne dobra na Śląsku. Co nie przeszkadza, że jest porucznikiem huzarów!

— I cóż z tego?

— A więc jest oficerem w wojsku, przeciw któremu bił się twój ojciec, twój wuj, wszyscy

krewni, którym wiek pozwolił porwać się do o-ręża.

— Wiem o tem. — Wszakże i jabym w zasa-dzie wolała wyjść za Alzaczyka... Ale mi się żaden odpowiedni nie trafił. Wszystko, co było u nas lepszego, zamożniejszego, wyszło do Fran-cyi, opuściło po wojnie Alzację. I to się nazywa-ło patryotyzmem... Zaiście, można do woli przy-krawać wyrazy... Cóż nam zostało? Możnaby zliczyć na palcach młodszych ludzi lepiej wycho-wanych i zamożniejszych, którzyby mogli się byli ubiegać o rękę Luni Oberle...

Mówiła z coraz z większem ożywieniem:

— A ci właśnie ani spytała się o mnie, ni-gdyby się o mnie nie starali! Tego bodaj nie rozumiałaś jeszcze. Odsunęli się od nas, z chwila, gdy nasz ojciec do Niemców się zbliżył. Cała nasza rodzina odtąd znalazła się jakoby w inter-dykcie. Przez to samo, żaden z nich by się ze mną nie żenił. Ciasnota ich poglądów nad moim losem zawisła. Nazywają mnie wprawdzie „pię-kną Lunią“, ale na tem koniec, nikt z nich nie odważyłby się wprowadzić mnie w swój świat zamknięty i zakłęty. Taka się tedy wyrobiła stąd sytuacja, że na żadnego Alzaczyka liczyć nie mogę. — Nie moja w tem wina... Wiedziałam, co robię, kiedy przyjąłam hołdy p. von Farnow?

— Przyjęłaś?

— W tem znaczeniu, iż się uważam za jego narzeczoną. Od przeszłej jesieni, a więcej jesz-cze przed czterema miesiącami, dał mi poznać swoje uczucia i zamiary.

— Alboż to on tędy przejeżdżał późnym wie-czorem, w dniu mego powrotu?

— Tak jest.

— On, co wraz z innym oficerem tak pilnie zwiędzał warsztaty?

— Zapewne. Ale przede wszystkim dużo go widywałam w Strassburgu, na obiadach i balach. Mama ze względu na swoje zdrowie, z wstrętu do wszystkiego, co niemieckie, rzadko mi towarzyszy. Farnowa wciąż i wszędzie spotykałam, nie brakło mu sposobności, aby się ze mną rozmówić. Tu zaś poprosił ojca o upoważnienie i pozwolenie starania się o moją rękę. I oto dziś właśnie odpowiedziałam, że na moje upoważnienie liczyć może.

— Więc ojciec zezwala?

— Ma się rozumieć.

— A tamci?

— Dotąd o niczem nie wiedzą. Czekają mnie straszne przejścia! Mama! dziadunio! wuj Ulryk! Liczyłam na ciebie, abyś mnie poparł, a potem zlągodził te wszystkie rany... Wypada przecież, aby się Farnow mamie przedstawił, o czem w Alsheim mowy być nie może. Myślałam o Strassburgu... Ale skoro i w tobie znalazłam przeciwnika, na co mi o tem wszystkim mówić...

Stanęli znów, a Jan powiódł oczyma po równinie, przeciętej zieleniejącymi łąkami. — Ale wnet zwrócił wzrok swój na siostrę, która zdawała się oczekiwać jego wyroku:

— Nie możesz zmierzyć, ile cierpię! Zgasiłaś we mnie wszelką radość życia!

— Mój ty biedaku, nie domyślałam się twej miłości.

— A ja nie mam odwagi walczyć z twoją...

Lunia zarzuciła ramiona na szyję brata:

— Jakiś ty dobry, jaki szlachetny!

Odsunął ją od siebie i rzekł ze smutkiem

— Nie tyle, co sądzisz, Luniu! A do tego pamiętaj, że nie pochwalam twego zamiaru, że drzę o szczęście twoje...

— Ale sprzeciwiać mi się nie będziesz? Bronić mnie zechcesz wobec mamy?

— Zapewne, skoro już się związałaś słowem, skoro zdobyłaś zezwolenie ojcowskie; opór zaś matki naszej gotówby tylko srozsze spowodzić nieszczęścia...

— Nie, mylisz się, Janie, ojciec bowiem mi powiedział...

— Zgaduję, iż wszelki opór chciałby złamać, że prędzej rozłączyłby się z naszą matką, aniżeli by jej ustąpił... Nie wejdę z nim w żadne zażargi, to ci przyrzekam. Zastrzegam sobie tylko całkowitą swobodę wobec Farnowa.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała.

— Otóż chcę, aby wiedział, jakie w tem jest moje zdanie — odparł stanowczo Jan. — Znajdę na to sposobność. Jeśli mimo to trwać będzie w zamiarze starania się o twą rękę, przynajmniej odrazu zmierzy całą różnicę uczuć naszych i poglądów.

— I owszem! — zaśmiała się Lunia, pewna, że nic nie zdoła zmienić postanowień Farnowa.

Zwróciła się w stronę Alsheim. Bez mała okrzyk tryumfu byłby się z jej młodych piersi wyrwał. W milczeniu przez chwilę dyszała, jakby próbując zataić szczęście, które rozpie-rało jej serce, a tak dotkliwie braterską raniło duszę; nareszcie potrząsnęła główką:

— Biedny ten nasz dom! zaczyna mi być dro-gim, teraz, gdy mi wypadnie z niego wyjść na zawsze! Nie wątpię, że gdy mnie życie garnizonowe wywiedzie gdzieś daleko, śnić mi się będą obrazy Alsheimu.

I wskazała na rozsiadłą wśród sadów wioskę, tworzącą niby wyspę wśród morza zbóż i koni- czyn zielonych. Roje ptasząt, ozłoconych światłem, zrywało się nad czerwonymi dachami Alsheimu. Taka słodka cisza biła z tego wszystkiego, jak gdyby i życie było czemś bardzo słodkiem.

Lunia poddała się temu czarowi, dla którego dopiero miłość uprzystępniła jej duszę. Aż oto widok domu Bastianów tworzącego wraz z sadem i zabudowaniami gospodarskimi kres wioski, widniejący zdala sinem drzew pasmem, myśl jej zwrócił ku cierpieniom brata. Nagłe ją ogarnęło rozrzewnienie: nie żeby się poczuwała do gotowości poświęcenia się dla jego szczęścia, tyle jednak, że doznała przelotnego a gwałtownego bólu z powodu konfliktu ich obojga miłości! Pragnęła teraz złagodzić ból brata, ukotłysać go słodkimi słowami i pieszczotami.

— Mój Jasiu, Jasienku, wszakże ci się wywdzięczę, pomagając z kolei i tobie. Kto wie, czy wspólnymi siłami nie poradzimy zadaniu...

— Nie, na to nasze siły nie starczą...

— Ola cię kocha? Ty ją miłujesz? W takim razie jesteście mocni, wszechmocni...

Jan machnął ręką.

— Nie próbuj, Luniu; wracajmy...

— Powiedz mi przynajmniej, jak to było... godnam cię słyszeć, zrozumieć... możesz mi bezpiecznie całą swą duszę otworzyć...

Upokorzona się czuła własnem szczęściem, koryzła się teraz wobec smutku brata. Mówiła z zachwytem o poważnej urodzie Oli. Jan potrzebował podzielić się z kimkolwiek nadzieją, którą żył, a która w nim odrazu zamrzeć nie była w stanie. Opowiedział pielgrzymkę na Świętą Górę, i spotkanie uprzednie z Olą, w cieniu kwitnących dereni.

Aż oto dopomagając sobie nawzajem, razem w dziecinne cofnęli się lata, kiedy jeszcze różnica poglądów nie rozdzieliła sąsiadów, a dzieci mogły się spodziewać, iż rodziny ich dalej zgodnie żyć obok siebie w Alsheim potrafią. Przypominając owe czasy, Lunia nie zdawała sobie sprawy, że jeszcze podrażnia rany serca Jana samem porównaniem tego, co było, z chwilą obecną. Owszem, wzbierały się stąd fale goryczy w duszy młodzieńca przeciw rodzonemu ojcu, przeciw siostrze, przeciw owemu sztucznemu współczuciu, przesłaniającemu u Luni zupełną niezdolność do ofiary. Niebawem zamilkł całkowicie. Gdy wracając powoli, stanęli u bram ogrodu rodzicielskiego, Jan otworzył wrota, aby przepuścić naprzód siostrę i z gryzącą odezwał się ironią:

— Nuże, baronowo von Farnow, wstęp w progi nieprzejednanego posła, protestującego przeciw zaborowi Alzacyi, Filipa Oberle.

Lunia chciała coś odpowiedzieć, gdy nagle ukazał się w pobliżu ojciec, który głosem człowieka, zadowolnionego życiem i nie mającego żadnych zapóźnionych żalów, witał ich zdala:

— Nareszcie jesteście z powrotem, dzieci moje! zdala was śledziłem, jak razem przechadzaliście się w polu, niby para zakochanych.

Spojrzał im w oczy, twarz Luni była rozpromienioną.

— Zamienialiście zwierzenia? bodaj jakie wielkie zwierzenia?

Lunia zakłopotana bólem, rozlanym na obliczu brata, rzekła pospiesznie:

— W istocie, rozmówiłam się z Janem. Zrozumiał wszystko i przeszkadzać nie będzie.

— Spodziewałem się tego po nim. Nie zapomnę ci tego, synu.

Wziął Lunię za rękę, drugą podał Janowi, i jak szczęśliwy ojciec, kroczył z niemi ku domowi. Z okien kobieta czarno ubrana przyglądała się temu obrazkowi rodzinnej zgody, nie doznając jednak stąd niezamąconej pociechy. Owszem, pytała się w duszy, ażali zawartem zostało między dziećmi a rodzicem ostateczne przeciwko matce przymierze.

— Wiesz, Janie — mówił p. Józef Oberle — jak bardzo staram się unikać starć, gotować rozwikłanie trudności, przyspasabiać ostateczne ich załagodzenie. — Otrzymałem zaproszenie na obiad do Brausigów.

— Tak prędko?

— Będzie wieczór dość liczny, wybrane towarzystwo. Dobra to sposobność, aby Farnowa matce twojej przedstawić. Chcąc zaś nie wpływać zgoła na jej wrażenia, nie onieśmielać jej spojrzeniem, odmówilem dla siebie, przyjąłem dla was i dla matki... Weź w rękę przyszłość Luni. Całem marzeniem mojem jest szczęście naszej dziewczynki. Tylko nic o tem przed moim ojcem, którego ta cała sprawa zaledwie pośrednio obchodzi.

Szli dalej ku domowi, Pani Oberle opuściła robotę. Próbowwała uspokoić obawy własnej duszy. Na próżno!

Jan tymczasem rozmyślał:

— Trzeba mi tedy uczestniczyć w tem spotkaniu, zaciągnąć matkę, nie domyślając się niczego! Jakaż będzie rola, którą odegrać muszę, aby większym zapobiedz nieszczęściom!... Matka mi przebaczy kiedyś, gdy o wszystkim, wszystkim się dowie.

.

Wieczorem, na dobranoc, pani Oberle spytała syna :

— Ojciec twój się upiera, abym przyjęła zaproszenie Brausigów. — Czy tam będziesz?

— Będę, mamó.

— A więc i ja w takim razie pójdę.

X.

Obiad u tajnego radcy Brausiga.

O siódmej godzinie wieczorem, goście pana radcy Brausiga zebrali się w błękitnym salonie, o złożonych meblach i welwetowych frankach, które podróżowały za panem domu z miasta do miasta, w ciągu jego urzędniczych peregrynacyj. Pan radca Brausig pochodził z prowincyi saskiej; był to człowiek dobrze wychowany, jeszcze lepiej ułożony, o giętkiej uprzejmości i rozmowie. Zdawał się zawsze skłaniać ku zdaniu tego, który z nim obcował i mówił. Ale dlatego nie składał broni, owszem, opancerzony silnie niezłomnymi przekonaniem i poglądami. Wysoki wzrostem, o rudym zarósście, długiej brodzie i włosach zarówno siwiejących. Szkieł nie używał, mimo osłabienia wzroku, który jakoby zamarł był w jego jasnych, martwych źrenicach. Nie zmęczył ich był nadmiernem czytaniem. Natomiast dużo mówił, uchodził za mistrza w dostrajaniu do siebie najskrajniejszych zdań i opinij. W biurze, w urzędowaniu, w stosunku z podwładnymi przejawiał się właściwy charakter p. Brausiga. Duch jego był nawskróś cesarski. Nigdy nie przyznawał słuszności osobnikom. Dobro publiczne, inte-

res państwowy, oto zaklęte słowa, zamykające każdą dyskusję, dające odprawę każdej reklamacji. W świecie urzędniczym chodziły pogłoski o prawdopodobnem i bliskiem podniesieniu p. Brausiga do stanu szlacheckiego. On sam ową wieść chętnie potwierdzał. Żona jego, pięćdziesięcioletnia już kobieta, z dawnej urody zachowała ślady, oraz pewną okazałość. Z kolei przyjmowała u siebie urzędników ośmiu miast niemieckich, zanim w Strasburgu osiąść jej przyszło. Cała jej uwaga skupiała się podczas obiadu w dozorowaniu służby i zaprzątaniu się mnóstwem drobnych niepowodzeń stołowych, które usiłowała przesłonić, odpowiadając na pół przytomnie u-przejmym po obu stronach sąsiadom.

Zebranie przedstawiało dziwne pomieszanie ludzi różnego pochodzenia i powołania. Tyle bo napływowych żywiołów dziś znaleźć można w Strasburgu, stokroć więcej, aniżeli w innem mieście cesarstwa! Liczba gości wynosiła czternaście osób; sala jadalna nie mogła pomieścić wyżej szesnastu, po 70 centymetrów na osobę, jak to wymierzył sam pan tajny radca.

Miał on dziś u siebie, dokoła siebie przy stole, nad którym górowało jego wyblakłe i posępne oblicze, grono klientów, ludzi sobie poleconych, oraz przyjaciół z różnych stron niemieckiego państwa: tak np. dwóch pruskich privat-docentów przy uniwersytecie strasburskim, dalej dwóch młodych artystów-malarzy alzackich, zajętych wewnątrz odmalowaniem murów restaurowanego od roku kościoła; byli to goście drugorzędni, do których godziło się przyłączyć Jana i Lunię Oberle, oraz ich matkę, którą w świecie urzędniczym powszechnie miano za kobietę o ciasnej głowie i poglądach. Wśród znakomitszych zaproszo-

nych przodował profesor Knäpple, Luksemburczyk, umysł spostrzegawczy, o szerokiej kulturze, a drobiazgowej erudycji, autor wyborowej pracy o „Socyalizmie u Platona“, małżonek ładnej, jasnowłosej, pulchnej i świeżej kobiety, która wydawała się jeszcze świeższą i jeszcze kraśniejszą obok assyryjskiej, ciemnej brody męża swego i pana. Dalej profesor estetyki, baron von Fincken, Badeńczyk, o wygolonej twarzy, dla uwydatnienia licznych blizn, któremi pooraly jego oblicze studenckie mensury za dni uniwersyteckich. Była to głowa energiczna, o gibkiej i nerwowej ciała budowie, o namiętnej usposobieniu i umyśle gwałtownie antyfrancuskim, acz pośród wszystkich gości, z wyjątkiem tylko jednego Jana Oberle, nikt nie nosił więcej zewnętrznego podobieństwa do typu francuskiego, co baron von Fincken. Baronowej dotąd nie było. Ale natomiast królowała piękna pani Rosenblatt, kobieta najbardziej uwielbiana, najwięcej wzbudzająca i hołdów i zazdrości w całym niemieckim świecie strasburskim, z powodu wielkiej urody i dowcipu. Pochodziła ona z Prus nadreńskich, podobnie jak i mąż jej, wielki handlarz żelazem, Karl Rosenblatt, wielokrociowy milioner, człek krwisty, a jednak milczący i pozornie spokojny, choć w interesach słynął z chłodnej a skrajnej zuchwałości.

Zebranie nosiło zwykle cechy przyjęć u radcy Brausiga. Brakowało mu najzupełniej jednolitości. Wysoki urzędnik nazywał to dążeniem do zlania z sobą przeróżnych miejscowych żywiołów, mówił chętnie o neutralności swego domu, o otwartej i dla każdego przystępnej trybunie, gdzie każdemu wolno swe zdanie wygłosić. Owe wyrażenia, spotkane w prasie peryodycznej, rad sobie przy-

swoi i powtarzał. Atoli większość Alzatzyków nie zawierzała temu eklektyzmowi, nie miała żadnego zaufania do tej mniemanej wolności słowa. Wielu się domyślało, że Brausig poprostu jakąś rolę odgrywa i że echa toczących się przy jego stole rozmów dochodziły wiernie do wyższych sfer rządowych.

Pani Oberle z dziećmi swemi przybyła ostatnia z pośród zaproszonych. Niemieccy goście powitali Lunię, jak dobrą znajomą, skłonili się grzecznie jej matce, o której wiedziano dobrze, iż tylko z musu wchodzi w świat urzędowy. Wilhelm von Farnow, przedstawiony przez gospodynię domu, która sama jedna była wtajemniczona w zamiary młodego oficera, złożył matce i córce ukłon ceremonialny, zaczem cofnął się w grono mężczyzn rozmawiających opodal. W tej chwili lokaj zwiastował, że zupa na stole.

Zrobił się ruch ogólny i goście parami przeszli do sali jadalnej, podobnie jak w domu państwa Oberle z osobną starannością urządzonej. Tylko, że tu inny styl przemagał, styl gotycki dziwacznie elektrycznością rozjaśniony. Ostrołukowe okna, o drobnych szybkach, szafy rzeźbione, kasetony sufitu, wszystko skąpane teraz było w białym świetle, przy którym się można było doczytać baseł, wypisanych na ścianach, gdzie na pierwszym miejscu błyszczał napis gotyckimi literami wypalony: „Mit Gott für Kaiser, König und Vaterland“.

— Znałem już to prawdziwe arcydzieło — odezwał się baron von Fincken, rozglądając się po komnacie.

Jan Oberle, który wchodził jeden z ostatnich, podając rękę ładnej pani Knäpple, wpatrywał się

raczej w białe ramiona pięknej pani Rosenblatt. Towarzyszka jego szeptała:

— Nieprzyzwicie wycięta suknia, nieprawdaż?

— Podziwiam rysunek stanika. Pani Rosenblatt musi się niezawodnie w Paryżu ubierać.

— Zgadłeś pan — odrzekła małomiejska piękność. — Kto ma tak dużo pieniędzy, miewa i różne fantazyje, choćby kosztem patriotyizmu.

Trzech lokajów i dwie dziewczyny w rurkowych czepcach usługiwało do stołu.

Początek obiadu był mało ożywiony. Stopniowo towarzystwo żwawiej rozmawiać poczęło, podniósł się gwar zdań urywkowych, w miarę, jak kieliszki krążyły. Rosenblatt często gęsto kazał sobie dolewać reńskiego wina. Obaj docenci wciąż powracali do Welsheimskiego, jakby do zawilego tekstu, nic nie tracąc z swojej powagi. Niebawem podniosły się głosy, tłumiąc kroki służby. Kwestye ogólniejsze wystąpiły, pod wpływem rozgrzania umysłów winem, światłem, i rozmową. Profesor Knäpple, który miał głos ochryply, lecz doniosły sposób wymawiania, zagłuszył innych rozmowy, odpowiadając sąsiadce swojej, pani Brausig:

— Nie, nie rozumiem nigdy, dlaczego ma stać po stronie mocniejszego, ten, co sam jest mocnym. Co do mnie, zawsze byłem liberałem.

— Myślicie o Transvaalu — zaśmiał się rubasznie siedzący naprzeciwko radca, kontent, że myśl gościa odgadnął.

— Oczywiście, panie tajny radco. — Nie jest to objawem wyższej polityki, zezwalać na zdeptanie maluczkich.

— Znajdujecie, iż jest w tem coś nadzwyczajnego?

— Przeciwnie, bardzo zwyczajnego. Tylko, podobno niema się z czem chwalić.

— Alboż inne narody inaczej postępowały? —
zawyrokował sucho baron von Fincken.

I zadarł jeszcze nosa, rzuciwszy jak rękawicę ten argument snadź zwycięski, bo nań nikt nie odpowiedział, i znów podniosła się fala urywanych rozmów, zlewających się z sobą w gwar nieustający.

Miękki i muzykalny głos pani Rosenblatt nagle zapanował nad stołową wrzawą. Mówiła ona do ładnej pani Knäpple, siedzącej dość od niej daleko:

— Zaręczam pani, iż o tem pomyślano.

— Wszystko jest możliwem. A jednak nie przypuszczałam, aby rada miejska niemieckiego miasta mogła się nawet zastanawiać nad podobną sprawą!

— Nie jest ci ona tak pozbawioną znaczenia! Nieprawdaż, panie profesorze, ty, co estetykę wykładasz?

Siedzący po prawicy pięknej pani Rosenblatt baron von Fincken, zajrzał jej prosto w oczy, które jednak pozostały spokojne, niby senne jezioro.

— O co paniom chodzi?

— Mówiłam co dopiero do pani Knäpple, że postawiono na radzie miejskiej wniosek, aby posłać do Paryża gobeliny, będące własnością miasta, ponieważ potrzebują naprawy.

— Rzeczywiście, ale przeciwne zdanie zwyciężyło.

— Bo czemuż nie było posłać ich odrazu do Berlina? — zadała się różowa twarzyczka pani Knäpple. — Alboż to w Berlinie nie umieją haftować?

Radca Brausig przeczuł, iż czas mu do rozmowy pojednawczą przyłożyć rękę.

— Gdy chodzi o zrobienie gobelinów, podzielam zdanie pani Rosenblatt, iż tylko Paryż konieczny. Co do napraw jednak, znajduję, iż można ją bezpiecznie w Niemczech uskutecznić.

— Wysłać nasze gobeliny do Paryża! — ofuknęła go pani Knäpple. — A któż nam ręczy, czy one stamtąd wrócą?

— Oho! — zaszemrał na szarym końcu jeden z młodych malarzy. — Ohoho!

— Cóż to oho! znaczy? — zawołała młoda pani, jakby szpilką ukłuta. — Pan jesteś Alzatczykiem. Ale co do nas, mamy słuszne prawa do nieufności...

Tym razem przeszła miarę. Nikt nie podniósł jej zdania, choć było ono zdaniem większości, ale ta większość nie radaby swych przekonań wysuwać z okazji pierwszej lepszej makaty do cierowania. I znów rozmowa upadła, zastąpiona pochwałami dla co dopiero podanego pasztetu z przepiórek. Pani Knäpple wróciła do tematów sobie właściwych, rzadko bowiem uczestniczyła w dyskusyi, kiedy mężczyźni ją zagajali. Zwróciła się do drugiego sąsiada, Farnowa, co jej pozwoliło nie widzieć wciąż przed sobą urody pięknej pani Rosenblatt, eleganckiej jej sukni, wyciętego stanika i fjołkowych oczu, zaczęła spróbowała młodego oficera wtajemniczyć w arkania robienia pasztetów, a lepiej jeszcze *bowli*, na którą posiadała przepis niezrównany. Wszelako już po dwa razy widmo zwyciężonego narodu zjawiało się wśród gości, i to przypomnienie wrzało bezwiednie w umysłach, podczas gdy w czarach szumiało wino szampańskie niemieckiej marki.

Pani Brausig zaledwie kilka słów obojętnych zamieniła była dotąd ze swym sąsiadem Rosenblattem, który jadł z całej mocy, i z siedzącym

po drugiej stronie profesorem Knäpple, który wolał rozmawiać z panią Rosenblatt i z Finckenem, lub zamieniać kilka słów z Janem Oberle, który znajdował się naprzeciwko. Pani domu nieświadomie nową wywołała dyskusję. I odrazu rozmowa skoczyła na wyżyny, dotąd niedosięgłe. — Radczyni, piorunując spojrzeniem niezgrabnego lokaja, który o stołek pani Rosenblatt zaczepił, wspomniała o zamierzonym małżeństwie pomiędzy Alzatką a Hanowerczykiem, oficerem artylerii pieszej. Handlarz żelazem odpowiedział głosem podniesionym, nie domyślając się wcale, iż ma przy sobie matkę panienki, znajdującej się w podobnym wypadku:

— Dzieci ich będą dobrymi Niemcami. Podobne związki bywają rzadkie, bodaj arcyzadkie, nad czem ubolewać się godzi, ponieważ byłby to środek jedyny, aby przyspieszyć zgermanizowanie tego uporuego kraju.

Baron von Fincken, wychyliwszy duszkiem kieliszek szampana, zawyrokował stanowczo:

— Wszystkie środki są dobre, skoro cel jest doskonały.

— Ma się rozumieć — przytakiwał p. Rosenblatt.

Jan Oberle z pośród trzech Alzatczyków tu obecnych, najbardziej był powołanym do dania odprawy temu zdaniu, lecz skądinąd własna rozterka rodzinna nad innymi go krępowała. Spostrzegł, że baron von Fincken, wypowiadając poprzednie słowa, rzucił na niego ukośne spojrzenia, że Rosenblatt uporczywie się w niego wpatrywał, że profesor Knäpple porozumiewał się z sąsiadem na migi, że pani Rosenblatt zdawała się pytać z uśmiechem: Zobaczmyż, czy ten młodzik potrafi się bronić? Czy poczuł ostrogę? Przekonamy się.

Młodzieniec, dobierając sobie przeciwnika, zwrócił się ku baronowi von Fincken.

— Przeciwnie, sędzę, że germanizacya tego kraju jest rzeczą niedobłą i niezręczną.

Jednocześnie twarz Jana Oberle dziwnego nabrała hartu, w zielonych jego źrenicach zamigotały przebłyski, podobne tym, którym falują lasy, gdy wichur przeciwny zawieje i liście odwraca.

W profesorze estetyki zbudził się mąż żelaza i krwi.

— Czemu niedobłą? Może i podbój, którego germanizacya jest bezpośredniem następstwem, także się panu nie podoba? Mów pan!

Wśród uciszenia całego stołu Jan Oberle odpowiedział:

— Tak jest.

— Jak pan śmie tak się odzywać!

— Pozwólcie, pozwólcie — przerwał pan tajny radca Brausig, wyciągając rękę, jakby dla zażegnania burzy. — Jesteśmy tu wszyscy dobrymi Niemcami, kochany baronie, nie masz prawa podejrzewać patryotyzmu naszego młodego przyjaciela, który się odzywa raczej w historycznym sensie...

Pani Oberle i Lusia spoglądały na Jana z niemem zakłębieniem, aby milczał.

Ale baron von Fincken na nic nie zważał, nic nie słyszał, porwany namiętnem uniesieniem, które się na jego obliczu rozlało. Podniósł się z miejsca, przegiął nad stołem, wyciągnął szyję, jak żóraw:

— Ładnie dziś Francya wygląda! niema co mówić! Co za jedność! co za potęga! jaka moralność!

— Jaka zwłaszcza moralność! — przywtórzyła pani Knäpple.

Powstała nieopisana wrzawa głosów podnieconych, pomieszanych, szyderczych i gniewu pełnych:

— Histriony świata! Patrzcież na ich powieści, na ich teatr! Skończony to naród! Upadek niepowrotny! Cóż poradzą, co oni znaczą naprzeciw 55 milionom Teutonów?

Jan przeczekał nawalność słów. Patrzył naprzemian to na Finckena, który się miotał, to na Farnowa, który milczał chmurny i groźny. Nareszcie uciszyło się nieco.

— Myślę, że Francya wielce jest dziś szkalaną. Nie przeczę, że może ma zły rząd, że ją toczy niezgoda, ale skoro tak na nią wpadacie niemilosiernie, wyznaję głośno, iż ją mam jeszcze za wielki, za bardzo wielki naród. Wszakże wy sami nie jesteście innego zdania!

Podniosły się chórem zaprzeczenia gwałtowne.

— Najlepszem potwierdzeniem naszego zdania jest ta wasza zaciekłość. Zwyciężonej jeszcze nie poprzestajecie zazdrościć.

— Może nie czytujesz, młodzieńcze, statystyk handlowych? — spytał ostro pan Rosenblatt.

— Marynarka francuska szóste zajmuje miejsce — zasyczał jeden z privat-docentów.

— Proszę porównać stan i liczbę obu armij! — dodał drugi.

Profesor Knäpple poprawił na nosie okulary i orzekł rozstrzygającym głosem:

— To, co mówisz, mój kochany Oberle, stosuje się do przeszłości. Nawet i dziś pozwalam sobie dodać, że Francya byłaby wielkiem państwem, gdybyśmy ją rządili i wyzyskali jej zasoby, jak przynależy.

— Dajmy pokój dyskusyi, która do niczego nie doprowadzi — rzekł wyzywająco von Fincken.

— Z kolei i ja poproszę, rzekł Jan, abyście panowie unikali argumentów, które nic nie dowodzą i nie wyczerpują kwestyi. Wszak niepodobna jest światlejszemu człowiekowi wyrokować o jakimś kraju tylko na podstawie cyfr jego dochodów, marynarki, czy wojska.

— Na jakiej tedy podstawie o nim sądzić?

— Na podstawie duszy narodu. Francya taką duszę posiada, którą znam z dziejów, a czuję we własnych piersiach jakimś instynktem synowskim. I wierzę też niezłomie, iż jest sporo wyższych cnót i przymiotów, jak wspaniałomyślność, bezinteresowność, umiłowanie sprawiedliwości, wykwintność smaku, delikatność uczuć, oraz pewien wykwit heroizmu, których obfitszy zasób tkwi w tym właśnie narodzie, w jego przeszłości i w terażniejszości jego. Chociażby nawet Francya tak upadła, jak panowie mówicie, posiada ona w sobie skarby, będące chlubą świata, któreby jej trzeba odjąć, zanimby się ją da śmierć skazało, skarby, wobec których wszystko inne jest czemś bardzo marnem! Na to niejednego mógłbym dostarczyć dowodu. Zaczem wasza germanizacya przynosi uszczerbek i umniejszenie tym cnotom francuskim i przymiotom, złożonym w duszy alzackiej. I dlatego powtarzam, iż jest to dzieło złe...

— Cóż znowu? — przerwał Fincken. — Alzacya należała do Niemiec i wróciła do Niemiec, my stwierdzamy to ponowne zajęcie dawnych dzierżaw. Któżby inaczej postąpił?

— Francya! — odrzekł Jan Oberle — i dlatego ją kochamy! Zagarnęła ziemię, nigdy nie zadając gwałtu duszom! I dlatego prawem miłości do niej należymy!

Baron ruszył ramionami:

— To się do niej pan wynoś!

Jan o mało co nie krzyknął:

— I owszem!

Służba, roznosząca wety, przystanąła, aby nic z jego odpowiedzi nie uronić:

— I dlatego potępiam wasze dzieło germanizacyjne, bo w niem upatruję uciemnienie sumienia. Ale co więcej, upatruję i niezgrabność wielką, z punktu widzenia niemieckiego.

— Ślicznie! — zapisała pani Knäpple.

— W waszym bo interesie leżałoby, aby w nas zachować co najwięcej oryginalności i niezależności ducha. Byłby to korzystny w Niemczech przykład.

— Dziękuję — ozwał się jeden z gości.

— I to coraz korzystniejszy — ciągnął dalej młodzieniec. — Sam wychowany w Niemczech, mówię z własnego doświadczenia. Otoż, co mnie u was najwięcej zdziwiło, najbardziej przeraziło, to bezosobistość Niemców, ich stopniowe zapomnianie wolności, ich starcie na proch wobec władzy i przewagi....

— Ostrożnie, młodzieńcze! — przerwał żywo radca Brausig.

— Chcę mówić wobec przewagi Prus, panie radco, tych Prus, które pochłaniają sumienia, które nie pozwalają żyć nikomu, krom trzem kategoriom ludzi, od kolebki kształconych przez państwo, a więc żołnierzom, czynownikom lub opłacającym podatki.

Na szarym końcu jeden z privat-docentów podniósł się na pół:

— I cesarstwo rzymskie tak postępowało, a było rzymskiem cesarstwem.

Głos cięty, głos dźwięczny przywodził:

— Brawo!

Spojrzano dokoła, szukając, kto przemówił. Był to Wilhelm von Farnow, który od początku dyskusji teraz po raz pierwszy się odezwał. Gwałtowność sporu rozgniewała go jakby dotknięciem osobistej sprawy. Ale i inni podobnego doznawali podniecenia. P. Rosenblatt zaciskał pięści. Professor przecierał okulary i mruczał pod nosem z wściekłością. Małżonka jego nerwowo się śmiała.

W tej to chwili piękna pani Rosenblatt, białą rączką pieszcząc kosztowny naszyjnik z pereł uryańskich, miękko na Alzatzczyka spojrzała.

— Pan Oberle ma przynajmniej odwagę swych przekonań. Nie można być szczerzej przeciwko nam.

Jan był zbyt rozgoryczonym, aby odpowiedzieć żartem. Z kolei spoglądał na Finckena, na Rosenblatta, na Knäpple'go, na jednego z docentów, który się jeszcze śmiał szyderczo, nareszcie skłonił się ku pięknej pani:

— Jedne tylko kobiety mogą dać narodowi niemieckiemu stopień wykwinności, dotąd dlań niedościgły, tem bardziej, iż nie brak wśród was niewiast całkiem niepospolitych...

— Ładny dla nas komplement — zahuczały męskie głosy.

Pani Knäpple zła, że uprzejme słowa młodzieńca zwróciły się do pani Rosenblatt, zawołała niecierpliwie:

— Jakimże systematem chcesz pan zrzucić jarmzo niemieckie?

— Żadnem, pani.

— O cóż więc chodzi? Czego pan żąda?

— Niczego. Cierpię tylko i boleję.

Jeden z malarzy alzackich, malarz o żółtym zaróście, przypominający uczniów Giotta, wmiechał się teraz do rozmowy.

— Nie zgadzam się z p. Oberle, który nie żąda niczego. On dopiero powraca do kraju po dłuższej nieobecności. Gdy tu dłużej pobędzie, do innych dojdzie postulatów. My Alzaccyzy, należący do młodszego pokolenia, w zetknięciu z stu tysiącami Niemców, sprawdziliśmy różnicę kultury francuskiej z tamtą. Otóż wolimy naszą dawną, a chyba to nam jest dozwolone. W zamian za lojalność, okazywaną Państwu Niemieckiemu, w zamian za podatki, które opłacamy, za daninę krwi, którą składamy, służąc wojskowo, do jednego mamy pretensję, oto aby nam pozwolono pozostać Alzaccykami. Wy tymczasem tego to właśnie zrozumieć nie chcecie. Żądamy zniesienia tego jakoby stanu obłączenia, który trwa już od lat trzydziestu, domagamy się, aby do nas nie stosowano praw wyjątkowych; prosimy, aby nas nie traktowano jako kraj „podbity“, na wzór kameruńskich kolonij, archipelagu Bismarcka lub Nowej Gwinei, ale na równi z innymi prowincjami niemieckiego cesarstwa. Będziemy zadowoleni wtedy dopiero, gdy się uczujemy u siebie swobodni, my Alzaccyzy w Alzacyi, jak na przykład Bawarczyzy w Bawaryi, nie jak dziś zależni od dobrej czy złej woli władców, obchodzących się z nami, jako ze zwyciężonymi. Oto moje żądania!

Mówił dobitnie, a słowa jego i ścięta bródka podnosiła się naprzód, niby grot zaostrzony. Im spokojniej się wyrażał, tem większe dokoła wzbudzał rozdrażnienie i można się było spodziewać coraz gwałtowniejszych odpowiedzi, gdy pani dom dała hasło powstania od stołu.

Wszyscy parami wrócili do błękitnego salonu.
— Cóż cię dziś ugryzło? — szepnęła Lunia na ucho bratu.

— Wyrwałeś się niebacznie, mój synu! — powtórzyła pani Oberle, ale znać było w jej oczach, że za tę nieostrożność jeszcze bardziej kocha syna, że pochwała jego postępowanie.

A już pan tajny radca kłaniał się na wszystkie strony, dodając na ucho Finckena, Farnowa, Rosenblatta, Knäpplego, Jana, obu *privat-docent'ów* i obu też alzackich artystów jednaka, poobiednią formułkę:

— Proszę do mnie na cygaro!

Fumoir, na wyraźne żądanie pani Brausig, — znajdował się w drugim salonie, przedzielonym od błękitnego duża szybą, tak, iż pani radczyni, zostając w towarzystwie samych tylko dam, mogła zdaleka mieć oko na męża i gości jego, podczas przedłużających się nieskończenie po obiedzie libacyi.

Za chwilę już wszyscy panowie palili cygara. Podnosiły się sine kręgi dymu, osiadające na suficie. Lokaje wnieśli wielkie dzbany piwa, które rozlewano w kufle, wciąż napelniane. Utworzyły się dwa koła, z których jedno otoczyło p. Rosenblatta, drugie skupiło się przy Finckenie. Ociężałe przepiciem głowy zdawały się wieść straszna kłótnię, a tylko wyjaśniały w sposób zawily najprostsze myśli. — Palące kwestye, potrącone w ciągu obiadu, skierowały rozmowę na politykę. Raz po raz któryś z gości, zwracając kufel w stronę szyby dzielącej obie komnaty, wznosił zdrowie pani domu, która z kanapy, na której zasiadła, odpowiadała skinieniem głowy.

Zresztą dwóch tylko z pośród tych dziesięciu mężczyzn cichszą i poważniejszą w tej chwili wiodło rozmowę. Był to Jan Oberle i Farnow. Zaledwie ten ostatni zapalił był cygaro, tknął z lekka ramię przyjaciela, mówiąc:

— Trzeba mi się z tobą na uboczu rozprawić. Usunęli się na bok, zajmując kanapkę przy kominku ustawioną, wprost naprzeciw salonowej szyby.

— Zachowałeś się gwałtownie dziś wieczór — rzekł Farnow z tem hardem ugrzecznieniem, które mu było właściwem. — Sto razy się zrywałem, aby ci odpowiedzieć. Woląłem to odłożyć. Przyznaj, że po trochu to wszystko do mnie piłeś?

— Niewątpliwie. Chciałem jasno określić wobec ciebie moje pojęcia i poglądy, i to wobec świadków, tak, aby w razie, gdybyś w swych zamiarach wytrwał, nie było powiedzianem, że cię skaptowałem, lub że ci ustępowałem. Chcę, aby wiedziano powszechnie, że sobie umygam ręce od tego związku. Nie podobna mi sprzeciwiać się woli mego ojca, ale niechaj ludzie wiedzą, że nie podzielam jego zapatrywań.

— Tak też zrozumiałem. Musisz wiedzieć, że spotykałem twoją siostrę w towarzystwie, że ją kocham....

— Słyszałem o tem

— Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

Krew buchnęła do skroni Farnowa.

— Musisz mi to wyjaśnić — dodał żywo. — Uznajesz przecież, że rodzina moja należy do najlepszej szlachty.

— Zapewne.

— Uznajesz, że zaszczytem dla każdej kobiety są hołdy niemieckiego oficera?

— Dla każdej innej, nie dla Alzatki. Może nie rozumiesz tego uczucia, ale i nas nie rozumiesz, bo my, ludzie z Alzacyi, tacy od was jesteśmy inni! Cenię cię szczerze, Farnowie. — A jednak twoje małżeństwo z moją siostrą zrani boleśnie trzy serca w domu naszym. Przedewszystkiem moje!

— A to dlaczego?

Musieli rozmawiać przyciszonym głosem, unikać ruchów gwałtowniejszych, z powodu obecności licznych gości p. Brausiga, który sam wpatrywał się pilnie w obu młodzieńców, jakby chciał przeniknąć treść ich rozmowy. Całe wzruszenie, wszystka drażliwość skupiła się w ich spojrzeniach, w syczeniu stłumionych głosów.

Z tamtej strony ściany szklanej Lusia śledziła ich twarze, zdawała się pytać i prosić. Pod pozorem podziwiania rzadkiej rośliny, przeszła na drugą stronę, aby znaleźć się wprost kominka, przy którym rozmawiali obaj młodzieńcy.

— Zaczny, dzielny z ciebie człowiek, Farnowie. Pomyśl, czem będzie dom nasz w Alsheim, kiedy jeszcze ten powód rozterki zostanie do tamtych przydanym!

— Mogę się oddalić, rzekł wojskowy, mogę otrzymać przeniesienie moje z Strasburga.

— Wspomnienia zostaną! Ale to jeszcze nie wszystko. Liczyć się trzeba z naszą matką, która nigdy nie zezwoli.

Farnow dał ręką znak, iż opór jej zwalczy.

— Liczyć się trzeba i z tém, że choćbyś pominął matkę naszą i mnie, zostaje On! Dla niego to proszę o zwłokę! Długo czekać nie będziecie! On schorzały i stary!

— Nic się odemnie nie należy p. Filipowi Oberle — przerwał Farnow.

Głos jego dziwnej nabrał szorstkości.

— Uprzedzam cię, że nigdy się nie cofam w postanowieniu. Gdy naczelny prezes Strassburga, hr. von Kassewitz, jedyny mój bliższy krewny, wróci z urlopu, uda się on do Alsheim, aby prosić o rękę panny Oberle dla swego siostrzeńca i rękę

kę tę otrzyma, bo panna Oberle już ją przyrzekła, bo ojciec jej zezwolił, a przedewszystkiem, bo ja tak chcę, ja, Wilhelm von Farnow!

— Pytanie, czyś dobrze postąpił..

— Podług woli mojej, co mi zupełnie wystarcza

— Ileż dumy w twojej miłości!

— We wszystkim, co czynię, powiedz raczej!

— Nie omylisz mnie, Farwonie. Moja siostra ci się podobała, bo jest ładną.

— Niewątpliwie.

— I rozumną.

— Zapewne.

— Lecz i dlatego, że jest Alzatką! Duma twoja przeczuła tu walkę — i zwycięstwo. Wiedziałeś z góry, że Alzaki zwykły odrzucać Niemców. Są to niedostępne królewny dla waszych miłosnych ambicyj, począwszy od naszych wieśniaczek, które na sielskich zabawach nie chcą tańczyć z napływową ludnością, aż do sióstr naszych, które rzadko dają się wciągać w wasze towarzystwa. I oto przechwalać się będziecie, jak ze zdobycy, żeś podbił Lunię Oberle, gdziekolwiek cię służba przeniesie. Bodaj ci to nawet dobrze u góry będzie policzonym!

— Być może — zaśmiał się Farnow.

— Możesz tedy działać dalej! Zmiażdżysz tam nas troje!

Oficer wstał, rzucił cygaro i rzekł wyniośle:

— Wiadomo, że jesteśmy tylko ucywilizowanymi barbarzyńcami, nie spętanymi żadnym przesądem, żadnymi mrzonkami sprawiedliwości! Ale właśnie dlatego to my światem owładniemy, a nie kto inny! Tymczasem zaś, Janie Oberle, idę się przysiąść do twej matki, aby się o jej łaski starać. Czy pójdiesz ze mną?

Jan odparł przecząco, zaczem Farnow sam do salonu przeszedł.

Lunia śledziła niespokojnie jego kroki. Odechnęła, widząc, że się do jej matki przybliża, że siada obok krzesła, na którem ta blada Alzatka, cała w żałobnych szatach, siliła się napróżno na grzeczne uśmiechy.

A tymczasem radca Brausig z wymówką zwracał się do Jana:

— Czyż podobna wypalić cygaro, nie odświeżywszy się żadnym kuflem piwa? Ależ to zbrodnia! Przybliż się do nas. Oto właśnie profesor Knäpple przedstawia nam i tłumaczy środki używane przez rząd dla zapobieżenia rusyfikacji wschodnich prowincyj państwa.

Późno w nocy powóz unosił ku Alsheim trzy osoby, które wysiadły na stacyi Obernai z pociągu strassburgskiego. Lunia niebawem zasnęła. Matka przechyliła się ku siedzącemu naprzeciwko synowi, a wskazując na piękną dziewczynę, śpiącą tak spokojnie, rzekła:

— Wiedziałeś?

— Wiedziałem, matko.

— I ja odgadłam. Nie było to trudnem. Wystarczyło mi widzieć, jak ona na niego patrzyła. Ach! mój Janie, jeszcze ta próba! ta, której się najwięcej lękałam! Tyle już zniosłam spodziewając się, że to przynajmniej oszczędzonym mi zostanie! Już tylko ciebie jednego mam na świecie. Ale ty mi zostajesz!

I przycisnęła go do macierzyńskiego serca.

XI.

W zawieszeniu.

Ponieważ rzadko kiedy rzeczy się układają wedle naszych przewidywań, zapowiedziane odwiedziny pana von Kassewitz'a nie nastąpiły pod datą, przez Farnowa oznaczoną. Pod koniec czerwca, właśnie gdy ten wysoki dygnitarz, powróciwszy z kąpiel, wybierał się w drogę, aby prosić o rękę panny Oberle, depesza telegraficzna uprzedziła go w sam czas, aby swe pośrednictwo odłożył na później. W zdrowiu starego Filipa Oberle nastąpiło bowiem znaczne pogorszenie.

Starzec, którego wypadało ostrzedz o przygotowywujących się w rodzinie wypadkach, dowiedział się był całej prawdy. — Pewnego dnia, syn w rannych godzinach udał się był do pokoju chorego ojca. Po nieskończonych wybiegach i wykrętach, które miał za dowody względności i u szanowania, Józef Oberle dał do zrozumienia, że Lunia nie pozostała obojętną na hołdy pewnego oficera, pochodzącego ze znacznej rodziny niemieckiej; że młodzi pokochali się odrazu; że chociaż on, Józef Oberle, oczywiście nie bardzo rad temu związkowi, wszelako nie sądzi, aby miał prawo przeszkodzić mu, zaczem ufa, że i ojciec podda

się konieczności, choćby dla świętej zgody.— „Bo przecież ojciec wiedzieć musi, że jego opór na nic się nie zda, a tylko nam sprawi wiele przykrości. Nadarza się sposobność jedyna, aby Luni okazać nasze przywiązanie. Niechże się i ojciec na to zdobędzie.“ Starzec spytał na migi: „Alboż Monika pozwala?“ P. Józef Oberle mógł odpowiedzieć potakująco, bo raz więcej nieszczęśliwa kobieta, zagrożona rozwodem, ustąpiła. Natenczas starzec zakończył długi monolog syna, kreśląc na tabliczkach zaledwie tych słów kilka: — „Ale ja nie zezwalam.“

Tegoż wieczora dostał gorączki, która i dni następnych powracała, trawiąc i wyniszczając w sposób zatrważający starego Oberle.

Odtąd o niczem w domu nie było mowy, krom o zdrowiu ojca i dziadka. Nie chciał nikogo widywać ani przyjmować; tylko Jan i pani Monika mieli do niego przystęp. — Jakże się miewa? Czy siły wracają? czy przytomność nie gaśnie? Oto pytanie wracające ustawicznie. Wszyscy myśleli wyłącznie o tem, co się dzieje „na górze“, w tym pokoju chorego, kędy stary zapaśnik, już ze świata żyjących poniekąd wykreślony, jeszcze rządził swą rozbitą rodziną, jeszcze ją trzymał w zależności. Wszyscy wspominali tylko o niepokoju i trosce, ale pod temi mianami ileż ukrywało się różnych myśli, rozmaitych zamiarów i projektów!

Jan wyglądał pomyślnego zwrotu w chorobie starca, nie z samej tylko troskliwości i przywiązania. Od swej ostatniej rozmowy z Lunią, odpamiętnego u Brausigów wieczora, wszelkie porozumienie między rodzeństwem ustało. Lunia wprawdzie była uprzedzająca, ale brat chłodno przyjmował jej uprzejme wysiłki. Skoro tylko za-

jęcia jego w fabryce się kończyły, uciekał z domu, to na pola, gdzie dojrzewające owsy i pszenice skupiały w tej chwili całe życie Alzacyi, to do sąsiadów, z którymi się zaprzyjaźnił, do tych Ramspacherów, którzy trzymali w dzierżawie część gospodarstwa Bastianów. Wiodła go tam nadzieja, że może mu się mignie zdala ukochana postać Oli. Ale najczęściej docierał aż do Heidenbruch. Pan Ulryk był powiernikiem zamiarów siostrzeńca, który go prosił o pośrednictwo i podjęcie się osobnego poselstwa.

— Nie mam ci ja już żadnej nadziei, aby mi dali Olę. Małżeństwo Lnoi udaremni moje zamiary. Ale nawet bez nadziei wypada mi oświadczyć się o rękę tej, której miłość swoją wyznałem. Muszę mieć pewność tego, którego przypuszczenie samo już mi serce miażdży. Kiedy pan Bastian dowie się, że Lunia wychodzi za Farnowa, co niebawem nastąpi, skoro tylko dziadunio do zdrowia powróci, niech wuj się do nich wybierze, niech za mną przemówi. Odpowiedzą, wiedząc już o wszystkim. Powiesz mi, czy odrzuca nieodwołalnie szwagra Farnowa, czyli też zezwala na jakąś próbę do czasu. Choćby miała być najdłuższą, wszystkiemu się poddam ochotnie. Ale mam słabą otuchę, aby mimo skandalu, wywołanego małżeństwem mojej siostry, łaskawsze mi okazał względy.

Pan Ulryk podjął się zlecenia.

W połowie sierpnia nagle opadła gorączka, trawiąca dotąd starego Filipa Oberle. Wbrew przewidywaniom lekarzy, siły jego szybko jęły powracać. Silna konstytucya raz więcej zwalczyła chorobę. I wraz zwłoka, którą pan Józef Oberle przyznał był rodzicowi swemu, koniec swój wzięła. Skoro śmierć go oszczędziła, nie miało go oszczę-

dzać życie i, wracając do smutnej kondycyi ka-
leki, stracił prawo do względności syna.

Żadne jednak gwałtowne zajście nie powtó-
rzyło się więcej między ojcem a synem. Wszyst-
ko szło swoim trybem, zamieniano głośno, w po-
tocznej przy stole rozmowie, uwagi o bliskich
przemianach w rodzinie. Z końcem sierpnia, gdy
pewnego dnia po obiedzie przeszli byli do sa-
lonu, przemysłowiec oświadczył żonie przy czar-
nej kawie:

— Ojciec znajduje się już na najlepszej dro-
dze rekonwalescencji. Niema więc powodu dłużej
opóźniać odwiedzin pana von Kassewitz'a. Uprze-
dzam cię, Moniko, że lada dzień się tu zjawi,
zechciej więc o tem uprzedzić ojca, skoro mnie
widywać nie chce. Zależy mi bardzo na tem, aby
tu wszystko poszło gładko, jawnie, szczerze. Czy
nie podzielasz mego zdania?

— Nie dałoby się jeszcze odwlec owej wizyty?

— W żaden sposób.

— A więc ojca ostrzegę.

Tego samego wieczoru Jan napisał do Heiden-
bruchu, do kąd sam udać się nie mógł, list na-
stępującej osnowy:

„Kochany wuju! Zapowiedziane odwiedziny
nie ominą nas. Ojciec nawet wobec służby już
się z zamiarami nie tai. Widocznie chce rozgło-
sić wieść o bliskim małżeństwie Luni. Skoro
więc spostrzeżesz, że ktokolwiek w Alsheim obu-
rza się na nas lub ubolewa nad nami, pospiesz
natychmiast, aby się przekonać, czy marzenie ca-
łego życia mojego rozwiązać się musi niepowrotnie.
Powiedz pann Bastianowi, że to wnuk pana Fi-
lipa Oberle córkę jego kocha i o jej rękę prosi.“

XII.

Zbiór chmielu.

U podnóża Świętej góry, poniżej winnic, na gruncie urosłym z liści, miecionych z wyżyn na dolinę, wielu z gospodarzy Alsheimu założyło chmielarnie. Otoż nadeszła pora, w której kwiat chmielu wydaje z siebie najwięcej wonnego pyłu, chwila przelotna, którą należy pochwycić.

To też właściciele chmielarni wciąż zaglądali do nich, snuli się i kupcy i agenci browarów, porównywano odmienną wartość chmielu badenckiego lub czeskiego, wirtemberskiego czy alzackiego. Dzienniki ogłaszały cenniki najslynniejszych chmielarni. Żyd z Monachium zjawił się w niedzielę 26 sierpnia u p. Bastiana:

— Wirtembergia dopisuje; Badenia śliczne zapowiada zbiory, okolica Spaltu w Bawaryi daje chmiele bogate w lupulinę, jak winograd w cukier, płacimy je po 160 franków za cetnar. Tutaj zaszkoziła susza. Dam jednak panu 120 franków, byle zaraz się zabrano do chmielobrania, bo czas nagli, wszystko na gwałt dojrzewa.

P. Bastian się zgodził, zwołał dziewczęta, używane do tej roboty, i naznaczył ją na dzień 28 sierpnia. Tego samego dnia, hrabia von

Kassewitz zapowiedział był przybycie do Alsheim.

O świcie, już ogrzanym gorącymi dniami skwar nego powiewami, zewsząd spieszyły wieśniaczki w stronę chmielarni. O kilkaset metrów od lasu, sterczały tyczki w szyku wojennym, unoszące zielone zwoje roślin pnących. Zdala tworzyły one niby rozpięte namioty, niby dzwonnice, pełne szarych dzwonek, które wiatr poruszał. — Wszyscy mieszkańcy Alsheimu znali wypadek dnia: chmielobranie u p. Bastiana. On sam, wstawszy wcześniej od słońca, już obiegał swą własność, a próbując stopnia dojrzałości miłych pszczołom owoców, gniótł ich lekkie obsłony w palcach, przyspieszał robotę. Opodal, stary dzierzawca Ramspacher z synami i parobkiem, czekał przy długich jednokonnym wozach na spodziewane plony. Robotnice przeważnie wdziały stare i sprane sukienki, wyjątek stanowiły dwie strojnisię wiejskie, Ida, córka kramarza, ubrana w modrą sukienkę w białe rzuciki, oraz Julka, córka organisty, która do łokci podwinęła rękawy i różowym fartuszkciem ciemną rozweseliła spódnice. Wszystkie niemal dziewczęta wyszły na robotę z golemi głowami, czoła ich ocieniały jedynie obfite jasnych włosów sploty. Postępowały jedna za drugą powolnym, poważnym krokiem. Wszystkie były młode, świeże, wesole. Po drodze młodzież wiejska, długim spojrzeniem ściagała robotnice, wychodzące jak na zabawę do chmielarni pana Bastiana. W powietrzu jasnym i pogodnym drgały śmiechy i żarty tej drużyny dziewczęcej, która niehawem zniknęła wśród tyczek i zwieszonych z nich festonów chmielu.

Pan Bastian sam robotę naznaczył, rozdzielił, wskazał, skąd zacząć należy. I wnet stary Rams-

pacher z synami i parobkiem jęli przyginać pochylone pod ciężarem plonu tyki, kobiety przycinały pnącą roślinę, ściągały ją z podpory, огоłoconej niebawem z bujnego zielonego porostu. Następnie, nie obrywając liści, ni kwiatów, zwinięte wiązki rzucano na wozy, aby w Alsheim rozdzielić kwiat od lodygi.

Robota postępowała rażno, sypały się zeschnięte liście na pracownice, okryte kurzawą. Potęgował się zapach dojrzewającego chmielu, woń zdrowa i świeża. A gwar, towarzyszący robocie, płynął w dal po równinie, po rżyskach i lucernach, po przez bujną i urodzajną Alzację, wygrzewającą się w jesiennem słońcu.

Ta pełnia światła, pełnia swobody, chęć dogodzenia dobremu panu Bastianowi, którego rubaszną wesołość znano, wszystko to orzeźwiało i ożywiało dziewczęcą rzeszę. Gdy zaś jeden z parobków, przerywając na chwilę robotę, zapytał:

— Czy nam tu nikt nie zaśpiewa?

Julka, córka organisty, której oczy były tak głębokie, a płowe włosy tak bujne, odparła żywo:

— Umiem ci ja piosenkę jakich mało!

Spojrzała z ukosa na pana Bastiana, który, kurząc lulkę, siedział z boku i dozorował robotę, co mu nie przeszkadzało raz po raz ogarniać spojrzeniem nie tylko własną chmielarnię, lecz i ten kraj kochany, który mu był zawsze na myśli.

— Jeżeli ma być piękna ta twoja piosenka, zanucze ją nam, Julko. Czy to pieśń, której pruscy żandarmi słyszeć nie mogą?

— Bodaj nie ze wszystkiem.

— Zwróć się tedy w stronę lasu, którądy rzadko żandarmi przejeżdżają, nie mając gdzie pragnienia ugasić.

Zaśmiali się głucho wszyscy, radzi, że się coś dostało znieawidzonym żandarmom. I oto piękna Julka w dyalekcie alzackim jęła nucić pieśń bezimienną, obiegającą wieś i chaty, acz nikt nie wiedział, skąd przyszła i dokąd pójdzie?

Głos dziewczęcy, czysty i rzewny, popłynął ku wzgórzom:

„Ząłem chmiele, alzackie chmiele, z naszego wyrosłe zagonu — naszym ten chmiel zielony — naszą i rdzawa ziemia, na której on wyrósł!“

— Brawo! — rzekł poważnie stary Ramsbacher.

Pan Bastian odłożył lulkę, aby się lepiej przysłuchiwać słowom pieśni.

„Chmiel wyrosły w dolinie — którądy przeszło dużo ludzi — różnych ludzi i wichrów i nawiał nasion“.

„Ale myśmy rozpoznali i wybrali swoich“.

„Wychylimy kufel na zdrowie naszych — bez słów na ustach — bo imiona ich tak głęboko tkwią w sercach, że ich tam nikt i nic nie wyrwie“.

Przez chwilę panowało milczenie, gdy ucichła pieśń chmielu; pochyliły się głowy stare, głowy młode, wyglądając końca. Dziewczęta uśmiechały się do śpiewu i do życia. Dawne wspomnienia zwilżyły oczy p. Bastiana i Ramsbachera. Synowie tego ostatniego spowaźnieli. Ale pieśń była skończona.

— Pono znam młynarza, który tę piosnkę ułożył — rzekł p. Bastian. — Nuże dzieci, pospieszajcie, już jeden wóz do Alsheim wyjechał, trzeba nam wszystko przed nocą w suszarni rozłożyć.

Wszyscy duchem do roboty powrócili. Aż tu z po za żywopłotu, oddzielającego chmielarnię od

niższych zagajeń, na krawędzi lasu, dał się słyszeć głos męski, jakoby w odpowiedzi na piosnkę chmielu.

Któż tamtędy przechodził? Kto pieśń usłyszał? Wnet rozpoznano głos silny, nierówny, zmęczony, a buchający jednak młodym zapalem. Robotnice szeptały:

— To on! On tam się nie boi niczego...

A głos męski zawodził w tem samym miejscu wem narzeczu:

„Czarne wstęgi cór Alzacyi — spętały serce moje żalem — spętały serce moje rozkoszą — bo jest to węzeł miłości.

„Czarne wstęgi cór Alzacyi — to znak żaloby, jaką nosimy — po tych wszystkich drogach — których dusza do naszej podobna“.

Gdy uciebła druga zwrotka, robotnice jęły między sobą rozmawiać o panu Ulryku, którego głos poznały. Pan Ulryk w śmiałości słowa nikomu się nie dał prześcignąć. Pan Bastian wyszedł teraz z chmielarni, gdzie zapanowała swobodniejsza wrzawa po oddaleniu się gospodarza. Szedł za głosem przyjaciela i wnet się zagłębił w bukowej gęstwinie. Pan Ulryk tam widocznie czekał na niego. Siedział na głazie mchem porośłym, chłodząc czoło i witając zdala nadchodzącego.

— Znajdzie się i dla ciebie miejsce, stary chmielarzu! — wołał, wskazując obok siebie na przygodne w cieniu niebotycznych buków siedzenie.

Mimo przyjaznej poufalości, pan Ulryk i burmistrz z Alsheim nie często się z sobą spotykali. Łączyła ich stokroć więcej od powszedniego stosunku wspólność poglądów, ideałów, pamiątek, przede wszystkim wierności dla umiłowanej Alzacyi. To jedno starczyło, aby się ucieszyli spot-

kaniem, aby zrozumieli hasło. P. Ulryk domyślił się, że zastanie pana Bastiana u roboty, że tenże rad będzie wytchnieniu. Zaśpiewał tedy w odpowiedzi na piosnkę Julki i nie omylił się co do skuteczności wezwania. Pan Bastian przyszedł. Teraz na twarzy pustelnika z Heidenbruch'u wystąpiło, obok radości powitania, jakieś zakłopotanie widoczne.

— Zawsześ rzeški! — mówił Bastian. — Śpiewasz! polujesz! obiegasz gór szczyty!

I zasiadł obok przyjaciela, dysząc, sapiąc, pijąc świeżość gajów, wchłaniając leśne wonie.

— Zapewne: ja leśny dziadek, powsinoga, włóczęga, ty przeciwnie, miłujesz spokój w kółku rodzinnem. Ja obiegam, ty uprawiasz, każdy na swój sposób kochając Alzację... Dziś wszelako trzeba mi się z tobą rozmówić w sprawie ważnej i poważnej.

Ciężkie oblicze pana Bastiana zadrgnęło, zadrgały i wargi. Można było pomiarkować odrazu, ile tkliwości kryć się musiało pod tą powłoką nieco pospolitą. Ale na razie nic nie odpowiedział. Czekał, co mu przyjaciel dopowie.

— Pragnę poprzeć sprawę sercu memu najbliższą, jak najbliższym jest krewniak, który mnie o pośrednictwo prosił... Mój Ksawery, nie będę rzeczy owijał w bawełnę: musiałeś odgadnąć, że mój siostrzeniec kocha twoją córkę.

— Zapewne.

— A więc?

Spojrzeni sobie w oczy, i przerazili się nawzajem, jeden wyczytawszy odmowę, drugi ranę, którą zadawał.

— To rzecz niepodobna — rzekł Bastian głosem siłącym się na surowość, a samemże wysileniem złamanym.

— Spodziewałem się tego... a jednak, jeżeli dodam, iż oni się nawzajem miłują...

— Być może!... ale to rzecz niepodobna!

— Masz na to poważną przyczynę?

— Niestety!

— A tą przyczyną?

P. Bastian wskazał na czerwieniejące w oddali dachy warsztatów i dworca państwa Oberle:

— Dziś do tego domu zajędzie naczelný prezes strassburski.

— Nie wolno mi było zwiastować ci tego, miałem nawet odczekać z mojem poselstwem, aż ta rzecz się rozniesie.

— Już dziś jest ona powszechnie wiadomą. Służba wszystko po całym Alsheimie rozgadała. Zapewniają nawet, iż p. von Kassevitz przybywa w swaty dla swojego synowca, porucznika von Farnow.

— Wiem o tem.

— I mimo to przypuszczałeś?

— Tak jest.

— Przypuszczałeś, że mógłbym dać córkę Janowi Oberle, tak, aby miała teściem kandydata rządowego przy najbliższych wyborach, a szwagrem pruskiego oficera?

P. Ulryk zniósł pioruny, któremi błysnęły źrenice starego Bastiana, i odpowiedział po chwili:

— Zapewne są to straszne dla Jana zgryzoty. Ależ on niewinny. Gdzież znajdziesz godniejszego ciebie, godniejszego twej córki człowieka?

— Czemuż tedy nie przeszkadza zamierzonemu małżeństwu siostry? Milczeniem swoim nań przyszwala. Musi być niedoleżnym.

P. Ulryk machnął ręką.

— Przeciwnie. On dzielny.

— Nie tak, jak ty, coś umiał dom swój zamknąć.

BRANIK
URZEDN. TOW. W ZES. 5: w KRA
SEKCJA IV

— Bo do mnie jednego należał.

— Nie tyle, co ja, mam prawo tak o sobie powiedzieć. Te młodzieniaszki za łatwo na wszystko przystają, ze wszystkim się godzą. Ja tam politykować nie umiem. Milczę, i dalej orzę alzacką ziemię naszą. Już i chłopci, choć mnie lubią, zaczynają szeptać, że jestem niewygodnym przyjacielem. Co do Niemców, ci mnie szczerze i otwarcie nienawidzą. Ale Bóg widzi, że mnie to tylko utwierdza w przekonaniach moich i że się w niczem nie odmieniam. Umrę z nienaruszonymi uczuciami dawnych wstrętów i nienawiści, słyszysz Ulryku?

W oku jego błyskało zapamiętanie *franc tireur'a*, który na sztych dostał wroga...

— Nie darmo należysz do innego pokolenia, mój Ksawery. Ale nie trzeba tobie być niesprawiedliwym. Młodzieniec, którego odpychasz, może nie we wszystkim do nas podobny, ale nie mniej mężne serce bije w jego piersiach.

— Kto to wiedzieć może?

— Alboż nie odrzucił karyery rządowej?

— Bo mu się tu lepiej podoba, bo się w Oli zakochał.

— Otóż nie dlatego, wierzaj mi, raczej stąd, że się czuje Alzaczykiem z krwi i kości.

— Nie tyle, co my starzy.

— Na inny może sposób. Oni biedni muszą żyć pośród Niemców, kształcić się w niemieckich szkołach; ale wierzaj mi, że ich sposób kochania Francyi wymaga chyba więcej jeszcze hartu duszy, więcej czci nieposzlakowanej, aniżeli jej było trzeba za naszych czasów. Pomyślże, że to już upłynęło lat trzydzieści!

— Niestety!

— Pomyśl, że oni tych czasów nie znali, że ich miłość żyje tylko tradycją, fantazyą, dzie-
dzictwem krwi; pamiętaj, że ich otaczają przy-
kłady zobojętnienia i zapomnienia!

— Zaprawdę, Janowi nie zabrakło owych przy-
kładów!

— I dlatego to właśnie powinienbyś mu oka-
zywać więcej sprawiedliwości. Pomyśl, że twoja
córka założyłaby tu warownię alzackiej rodziny,
warownię możną i zamożną... Szwagier oficer wy-
wędruje sobie do Niemiec, zaledwie o nim pamięć
pozostanie...

Tu Bastian położył rękę na ramieniu przyja-
ciela, jakby chcąc zamknąć spór i zakończyć roz-
mowę:

— Słuchaj, Ulryku, wiesz, że mam tylko jedno
słowo. Nie dopuszczę do tego związku, nie chcę
o nim słyszeć, bo wszyscy moi, żywi i umarli,
gotowi by mi go wyrzucać i wypominać... A cho-
ciażbym ja nawet ustąpił, wiesz, że obok mnie
znajduje się inna wola, która nigdy, przenigdy się
nie ugnie...

I pan Bastian wstał z cmszałego kamienia,
przeciągnął się i zeszedł ku chmielarni. Obszedł
ją wzdłuż i wszerz, skarcił robotnice ostrem na-
pomnieniem, aż zcichła dotychczasowa wesołość
w rosnącym upale południa.

Tymczasem p. Ulryk zwrócił kroki ku swojej
leśniczówce, strapiiony bardzo i niespokojny. Py-
tał sam siebie, jaki wpływ na losy Jana wywrze
odmowa Bastianów? Wciąż jeszcze szukał środ-
ków zwalczania oporu rodziców Oli i snuł różne
plany, które, jak leśne komary, upojone słońcem,
krążyły rojami dokoła niego. Strumyki szemrały,
leśne ptactwo zrywało się przed nim gromadnie.
Daremnie! P. Ulryk czuł się niezmiernie smutnym.

Myślał o swym siostrzanie, którego chybiła nagroda powrotu. Przez rzadniejące zagajenie ujrzał zdala szczyty dworu szwagra.

Kto byłby w onej chwili tamże zabiegł, zdemiałby się niezwykłym uciżeniem domu. Wielki ból wszystkich ogłuszył. Pan Filip Oberle, wedle zwyczaju, jadł u siebie śniadanie. Pani Monika, na wyraźny rozkaz małżonka, przyrzekła zejść do salonu, kiedy się tam pau von Kasewitz zjawi.

— Zastrzegam się tylko — dodała — iż mi na uprzejmość sił nie stanie. Będę obecną odwiedzinom tego pana, ale nie przejdę granic najściślejszej powinności.

— Jak chcesz — odparł mąż. — Lunia, Jan i ja z nim rozmawiać będziemy, to wystarczy.

Po śniadaniu przemysłowiec udał się, jak zwykle, do fabryki; Jan wyszedł obiecując, że na trzecią wróci; Lunia znalazła się sama w pomarańczowym salonie. Świeżo, wytwornie ubrana, starała się snopami róż rozweselić sztywny charakter starej alzackiej komnaty. W oczach jej błyszczało skupienie zręcznego gracza, który wygrywa ostatnią stawkę. Doprowadziła do końca dwie sprawy, którym już tylko brakło urzędowego podpisu i stwierdzenia: własne małżeństwo i postawienie kandydatury pana Józefa Oberle przy najbliższych wyborach. Odwiedziny pana Kasewitz dostarczyły pożądanego dla obu spraw potwierdzenia.

A tymczasem domowe opory milkły, jak u pani Moniki, lub zamieniały się w rozdaśnięcie, jak u dziadka. Lunia przeglądała się z zadowoleniem w zwierciadle, a kształtne jej usteczka powtarzały z tryumfem: „Pan prezes naczelny!“ Jedna tylko rzecz ją drażniła, miarkowała jej u-

pojenie: oto próżnia, która się dokoła niej pogłębiała.

Samą służba rozbiegła się, jakby za umową, w chwili, gdy była najpotrzebniejszą. Dzwonek na próżno się odzywał. Po śniadaniu pan Józef Oberle musiał zawołać lokaja, przydzielonego do osoby starszego pana, zrosłego z rodziną poczciwego Alzatzczyka, aby mu surowo powiedzieć:

— Wiktorze, przywdziejiesz frak, aby przyjąć gościa, który tu około trzeciej zjedzie.

Wiktor poczerwieniał i wyjąkał:

— Słucham pana.

Od tej chwili poczciwy Wiktor, snąc w swych tajnych uczuciach urażony, wciąż gdzieś ginął, krył się, wymykał, przychodził za ledwie na trzecie i czwarte dzwonięcie, tłómacząc się, że nic zgoła nie słyszał.

„Naczelnny prezes przyjeżdża!“ Te słowa, które pobrzmiwały tryumfalnie w uszach Luni, raniły boleśnie duszę pani Moniki, ciążyły, jak chmura gromów pełna, na umyśle starego ojca, który polecił, aby go zostawiono samym; wzbudzały nerwowe dreszcze u pana Józefa Oberle, który raz po raz nasłuchiwał turkotu; pobrzmiwały niby dzwonek pogrzebowy w sercu Jana, który się do Ramspacherów schronił; dostarczały osnowy żartom i docinkom zamienianym przy robocie w chmielarni i suszarni Bastianów.

Bo z kolei ruch pracowity przeniósł się był na dziedziniec podwórzowy, gdzie nastąpiło obieranie roślin. Robotnice zasiadły wzdłuż ścian stodoły, przy każdej z nich stał koszyk, w który rzucały kwiat chmielu. Z pośród liści i kiści chmielowych wyglądały jasne głowy dziewcząt, ich płowe o różnych odcieniach włosy. Dokoła nich pnące rośliny tworzyły jakoby wieniec, coraz to odna-

wiany nowym dowozem zapasu chmielów. Na-
ścież otwarta brama wjazdowa pozwalała objąć
spojrzeniem i drogę i część domów wioski. Stary
Ramspacher dozorował roboty, stojąc we wrotach
stodoły, kędy z kolei najgłówniejszych dokony-
wano czynności gospodarskich. Tu bowiem jesie-
nią wytłaczano winogrona, tu w zimie młócono
zboże, tu też składano obrany chmiel. Nigdy stary
dzierżawca na innych nie zdawał dozоровania
tych najważniejszych robót. — I teraz stał on na
zwykłym posterunku, własnoręcznie zesypując
miarki obranego chmielu. Upał sierpniowy, woń
liści i kwiatów po trochu upajająco działały
na robotnice. Żwawiej jeszcze pod koniec dnia
gawędziły, zamieniając wesołe żarty, częściej też
podnosiła się fala młodego śmiechu. Rozmawiano
tu po trochu o wszystkim i o niczem, o sąsiadach
i znajomych. Ale nad wszystkim górowały dwa
spodziewane zdarzenia i wrażenia: odwiedziny na-
czelnego prezesa i bliskie zaślubiny Luni Oberle.

Piękna Julka pierwsza zagadnęła:

— Kiedy wam mówię, że sam Wiktor opowie-
dział synowi murarza, że to dziś właśnie pan na-
czelny prezes, bodaj o tym właśnie czasie, ma
zjechać. Jeżeli myśli, że mu się poklonię, to się
grubo myli!..

— Zbyt ładną ucieszyłby się twarzyczką —
wtrącił jeden z młodych Ramspacherów. — Tylko
brzydkie mu pokażemy.

Ida, która podwinęła była zgrabnie rękawy od
modrej w groszki sukienki, Oktawia, mleczarka,
o złotych splotach, tworzących królewski nad jej
czołem dyadem, Regina, córka ubogiego krawca
wiejskiego, zaśmiały się chórem:

— Już tam mnie nie zobaczy! ani mnie! ani
mnie!

Głos starej kobiety, jedynej, co się zabłąkała wśród tej młodej rzeszy, dał się słyszeć w kącie:

— Biedna jestem, jak robak ziemny, ale wolę ci ja, że nie do mnie zajężdża ten dostojnik!

— Ma się rozumieć!

Trwał dalej swobodny świegot dziewczęcy. Słowa ostre lub wesołe odbijały się o mury podwórzowych zabudowań, towarzyszył im szeleśt gniesionych lub deptanych liści cbmielu. W kącie stodoły, w półcieniu, z twarzą ukrytą w dłoniach, siedział na stosie desek Jan Oberle, i słuchał tych wszystkich uwag, był niewidzialnym świadkiem wszystkiego, co się tu święciło i mówiło. Ale mieszkańcy Alsheimu poznali się już byli na młodzieńcu, przekonali się, że do nich całem alzackiem należy on sercem. Domyślali się, że jeżeli teraz schronił się był na folwark Ramspacherów, to dlatego, że potępiał ambicyę, której ojciec jego tyle poświęcał! Wstąpił tu, pozornie aby odetchnąć w cieniu po dziennym upale, — w istocie zaś, aby uciec przed Lunią, której rozradowanie mu było męką. A biedak nie znał jeszcze wyniku rozmowy wuja Ulryka z panem Bastianem! W duszy jego znękaney, wstawiała postać Oli, oddalał ją, aby się lepiej opanować na idącą próbę, bo za chwilę ileż mu będzie potrzeba przytomności i hartu! Patrzył zdala na robotnice, odzierające wonne rośliny z ich kwiatów, słuchał półsennie ich świegotania. Ale co chwila daleki turkot budził go do rzeczywistości, i przypominał, że musi się stawić w domu, jak przyrzekł, dla powitania niemiłego gościa.

Głos Julki znów nad innemi zapanował:

— Pocóż on tu przyjeżdżał ten prezes strasburski! Co go tu ciągnie? Tak nam dobrze było bez szwabów.

— Utrapieni łodzie! — wtrącił jeden z Ramsbacherów. Jakby się sprzysięgli, żeby nam dokuczać, aby na niechęć i nienawiść sobie zarabiać! Pono teraz zabraniają nawet ludziom po francusku rozmawiać!

— Rzeczywiście — dorzuciła mała Resia, córka krawca. — Wszakże mój brat cioteczny, Franz Steiger, skazanym został świeżo na dwa miesiące więzienia, za to tylko, iż miał zawołać w karczmie: Niech żyje Francya! — co poświadczył jakiś żandarm. Podobno były to jedyne słowa francuskie, które biedak umiał!

— Ale on przynajmniej krzyczał z całych piersi, ten twój krewniak, — kiedy naprzykład w Albertschweiler zakazano Towarzystwu muzycznemu śpiewać pieśni francuskie!

— A czy słyszeliście o kuglarzu francuskim, który w tych dniach do Strassburga przybył? — Przecież stało o tem w gazecie. Pozwolili mu zamówić salę, opłacić koszta, wydrukować afisze, i wtedy dopiero mu oświadczyli, że ma sztuki swoje ogłaszać i tłumaczyć w języku niemieckim, inaczej, trzeba mu się wynosić.

— Jeszcze gorszą sprawą pana Haasa, tego, co maluje szyldy i domy.

— Cóż mu się stało?

— Otóż zdaje się, że nie wolno już umieszczać francuskich napisów nad składami. P. Haas, którego znam dobrze, nie dopuścił się żadnego pogwałcenia ustawy, sądził jednak, że mu wolno odlakierować dawny napis na szyldzie płóciennika. Napis francuski oddawna się tam znajdował. Za odświeżenie napisu pociągnięto p. Haasa do odpowiedzialności i spisano z nim protokół.

— Cóż zrobi nasz karczmarz, jeżeli deszcz zmyje stary szyld francuski „pod białym gołębiem“?

Starsza z dziewcząt, Józia, zwróciła się do pani Ramspacher, która na chwilę ukazała się w progu:

— Smutno dziś w naszej Alzacyi! inaczej dawniej bywało, nie prawdaż, pani Ramspacher?

— Zapewne. Dzisiaj słyhać tylko o wydalaniach, procesach, uwięzieniach. Policya wszędzie wgląda

— Lepiejbyście cicho siedziały — krzyknął stary dzierzawca.

Ale syn jego za matką się ujął:

— Niema tu szpiega ani zdrajcy między nami. A przecież trudno się nie uzalić! Zanadto nas uciskają. Dlatego to tylu młodych ucieka!

Ze swego zakątka Jan patrzył na tę młodą dziewcząt drużynę, na te wszystkie płonące źrenice, ilekroć rozmowa przechodziła na te tory.

— Do roboty, dziewczęta, dajcie pokój gawędzie — powtórzył stary gospodarz.

— Wszakże w Saverne jednego tylko dnia, w styczniu, zasądzono stu siedmdziesięciu opornych — ciągnęła dalej Julka. — Stu siedmdziesięciu naraz!

Franc, rosły i ciężki parobek, który zsypywał miarki chmielu, toż obok siedzącego Jana, pochylił się ku niemu i szepnął:

— Najlepsze przejście granicy znajduje się opodal od Grand-Fontaine. Nigdzie łatwiej przedrzeć się nie można, byle uniknąć strażników celnych i leśnych. Bywa tak, że ani się spytają człowieka, skąd przychodzi i dokąd idzie.

Dreszcz wszczął Janem Oberle. Cóż to zwiezenie miało znaczyć?

— O co ci chodzi? — zapytał.

Ale już młody wieśniak powrócił był do swej roboty. Może tak przypadkiem sam do siebie mówił, może chciał się podzielić swym zamiarem ze smutnym i milczącym młodzieńcem, którego chciał czemś zająć lub ująć.

I w istocie, Jana to zwierzenie do głębi poruszyło!

Wtem cienki głosik obwieścił:

— Jedzie! jedzie! oto powóz mija zagrodę Bastianów.

Wszystkie robotnice podniosły naraz głowy:

Mała Franzele stała przy samej bramie na pół przechylona przez mur, opasujący podwórze. Wiatr rozwiewał jej kędzierzawe włosy, patrzyła w stronę, skąd dochodził daleki turkot.

Wszystko naraz ucichło. Szeptano z cicha.

— To on, on to nadjeżdża!

Stary Ramspacher, którego nagle uciszenie się robotnic oderwało od własnego zajęcia, zanim nawet usłyszał turkot pojazdu, rozkazał gromko:

— Zawrzyj wrota, Franzele!

Poczem dodał ciszej:

— Niech szwab nie widzi, co się u nas dzieje, nie zagląda mi do podwórca!

Mała usłuchała rozkazu, zamknęła połowę wrót, aby jeszcze raz wyjrzeć na drogę:

— Jak też to zabawnie! pusto, jakby wymiótł! tylko Niemki z pod Bociana wyległy z pędrakami!.. Z naszych nikt się nie stawil!..

— Czy posłuchasz? Czy zawrzesz wrota? — krzyknął zagniewany gospodarz.

Tym razem dziewczę wykonało rozkaz. Obecni usłyszeli turkot kół powozowych. Z za szyb, z poza płotów, wszędzie ukryte patrzyły oczy. Ale nikt nie wyszedł za próg domów, nie obejrżeli się nawet ci, co kopali rowy przy drodze, owszem,

więcej się jeszcze nad łopatą pochyłili, udając, że nic nie widzą ani wiedzą.

Kiedy pojazd ruszył dalej o jakie piędziesiąt metrów, dziewczęta obejrzały się za panem Janem Oberle, ciekawe, czy jeszcze się kryje w stodole.

Atoli już go tam nie było.

Wstał z miejsca, ażeby nie złamać danego słowa i dobiegł do bramy rodzicielskiego ogrodu, blade, wyczerpany, w chwili, gdy pojazd stawał przed drzwiami wchodowymi.

Cały dom już był pod bronią. Lunia z matką siedziały przy kominku w bawialni. Nie zamieniały z sobą żadnego słowa. Przemysłowiec, który wrócił był przed godziną z biura, przywdział czarny surdut i białą kamizelkę i przyglądał się nadjeżdżającemu dokoła trawnika pojazdowi.

Dotąd wszystko szło wedle wytkniętego programu. — Wysoki niemiecki dygnitarz wnosił w progi pana Józefa Oberle rękę mię niemieckich faworów. Przez chwilę błysnęło przed oczyma jego widziadło powodzeń parlamentarnych, uderzyła mu do głowy zaspokojona ambicya. Odsapnął, jak koń po wyścigu i spytał żony:

— Moniko, czy syn nasz wrócił?

Pani Oberle siedziała sztywna, niema w krzesle pomarańczowem obok kominka. Wyglądała jeszcze marniej i mizerniej, jeszcze smutniejszą była i bardziej znękana.

— Wróci na czas, skoro tak przyrzekł.

— Ale go dotąd jakoś nie widać. A hr. Kasewitz już w ogrodzie... Nie widzę i Wiktora, aby otworzyć dom gościowi naszemu.

Pan Józef Oberle, oburzony na żonę, że ulega przymusowi, lecz nie tak swych wstrętów, przebiegł na drugą stronę salonu, szarpał za dzwo-

nek, otworzył drzwi do przedpokoju i przekonał się naocznie, że Wiktor zniknął jak kamfora. — Cofnął się przed krokami, które już się do drzwi głównych przybliżały. Wrócił do salonu i stanął obok żony.

Ktoś jednak wyraźnie odpowiedzieć musiał na dzwonek pana domu, bo drzwi się rozwarły i państwo Oberle dostrzegli starą kucharkę Salomeę, bladą jak śmierć i jak śmierć też niemą, która usuwała się przed wchodzącym niemieckim dostojnikiem.

Hrabia von Kassewitz, wysoki i barczysty mężczyzna, miał twarz z sprzecznych żywiołów urobioną. Wypukłe czoło, wypukłe i kości policzkowe, nos płaski, a z tych wszystkich zaokrągłeń wystawały najeżone brwi, krzaczaste wąsy i przycięta krótko broda. Twarz ta rajtara ożywiona była parą oczu żywych, przenikliwych, zapewne niebieskich, odpowiednio do złotego zarostu, ale za wsze przyćmionych płowemi rzęsami, oraz namarszczonemi powiekami. Rzedniejące włosy zczesane były ku skroniom.

P. Józef Oberle podszedł, aby po niemiecku gościa powitać:

— Mości prezesie, czujemy się zaszczytzeni tak dostojnymi odwiedzinami... Tyle łaski...

Urzędnik uściskał rękę przemysłowca, ale nie przystanął, nie zatrzymał się, idąc wprost wojсковym krokiem ku wiotkiemu widmu w żałobie, które dostrzegł był zdaleka. Skłonił się raz i drugi, uginając swe olbrzymie barki.

— Hrabia Kassewitz! — rzekł p. Józef Oberle, przedstawiając gościa żonie.

Pani Monika w milczeniu zlekka skinęła głową. Pan von Kassewitz wyprostował się, oczekując słowa powitania, ale się go nie doczekał. Odrazu

pomiarkował, co się święci, ale udając, że nic sobie z tego nie robi, zwrócił się grzecznie ku zarumienionej i promieniejącej Luni:

— Przypominam się pamięci pani, podobno byłem jej przedstawionym na balu u Jego Ekscelencji namiestnika Alzacyi. — Zapewne dość daleko z Strassburga do Alsheimu, dodał obracając się do Józefa Oberle, ale wartoby i uciążliwszą podjąć podróż, dla oglądania cudów miejscowych, stokroć godniejszych od najpiękniejszych w Wogezach krajobrazów...

Zaśmiał się, rad z komplementu, wypalonego pannie na wstępie, poczem zapytał:

— Alboż syn pański wyjechał?

Pan Oberle od chwili z niepokojem we drzwi się wpatrywał. Mógł teraz odpowiedzieć:

— Otóż i on — panie hrabio!

W istocie, Jan Oberle wchodził właśnie, zaparty w bladą twarz matki. Zawahał się w progu, w młodych, wrażliwych oczach zamigotał wyraz bólu, jakby je coś nagle zraniło. Ale wnet przybliżył się do siedzącego na kanapie gościa, a uściskawszy podaną sobie rękę, rzekł spokojnie po francusku:

— Wracam z przechadzki, panie prezesie, — musiałem biegnąć szybko, aby się nie zapóźnić, ponieważ ojciec kazał mi stawić się na godzinę pańskiego przybycia.

— Za wiele uprzejmości, rzekł, śmiejąc się strasburski dostojnik. — Rozmawialiśmy dotąd po niemiecku z pańskim ojcem, ale jestem w stanie używać i innego języka, jak nasz rodowity.

I dalej ciągnął po francusku, z silnym akcentem na pierwszej zgłosce:

— Podziwiałem okolicę, piękność ogrodu pańskiego. Bardzo tu ładnie... Ludność miejscowa

musi być nieprzejednana, a w każdym razie niewidzialna. Żywej duszy po drodze nie spostrzegłem.

— Wszyscy teraz w polu zajęci — wtrąciła pani Oberle.

— Kto tu burmistrzem?

— Pan Bastian

— Znam, pamiętam, ród to zacofany...

Badał okiem obie kobiety, badał i oblicze Jana. Z trzech stron naraz padła odpowiedź:

— Co zacofani, to zacofani, — ale dobrzy w gruncie ludzie — odezwała się Lunia.

— Po prostu są to ludzie dawnego pokroju — rzekła pani Oberle.

Jan zaś dodał:

— Przedewszystkiem są oni pełni godności.

— Wiem, rozumiem co to znaczy.

Macnął ręką.

— A zresztą... byleby słuchali ..

Ojciec na razie wyprowadził obecnych z kłopotliwego położenia.

— Możeby pan naczelny prezes zechciał zwiedzić moje warsztaty i tartaki; w tej chwili są one w pełnym biegu i czynności. Olbrzymie okazy świerkowe w kilka minut padają poćwiartowane na deski. Czy pan nie raczy obejrzeć moich zakładów?

— Najchętniej.

Rozmowa odrazu na swobodniejsze przeszła tory. Początki przedsiębiorstw rodziny Oberle, leśne Wogezów bogactwa, różnice zachodzące między francuskim a niemieckim systematem poręb, kształcenie służby leśnej, wszystkie te kwestye pozwoliły każdemu z obecnych dorzucić słowo. Lunia się ożywiła, pani Oberle odpowiedziała na zapytanie małżonka, Jan nawet się odezwał. Pau

naczelnny prezes rad był, że się tu wybrał w odwiedzin.

Na znak, dany przez ojca, Lusia wstała, aby zadzwonić na służbę, która miała podać herbatę. Ale nie miała czasu dojść do drzwi, gdy te naścierz się rozwarły, a w nich ukazał się najprzód Wiktor, czerwony, jak burak, ze spuszczo-nemi oczyma. Na jego ramieniu wspierał się, prostując się, jak mógł najlepiej, schorzały dziadunio, p. Filip Oberle.

Wszyscy obecni z miejsca się zerwali. Lokaj odedrzwi się cofnął. Starzec wszedł sam, oparty na lasce. P. Filip Oberle wdział był odświętną odzież, surdut czarny, ze wstążeczką Legii honorowej u guzika. Głębokie wzruszenie, które nim miało, oblekło go w jakąś krzepkość młodzień-czą, ubyłó mu co najmniej lat dwadzieścia. Zbli-żał się powoli, zgarbiony długą niemocą, głowę tylko hardo trzymał, piorunując oczyma niemie-ckiego urzędnika, który stał w głębi pokoju. — Szczeńka starca trzęsła się kurczowo, jak gdyby wypowiadał niedosłyszane słowa.

Czy p. Józef Oberle nie pomiarkował się na razie, czy też chciał uprzedzić i omylić gościa? Dość, że zwrócił się do zmieszanego i zaniepokojonego Kassewitsza:

— Mości naczelnny prezesie, ojciec mój robi nam niespodziankę, schodząc do salonu, nie spodziewałem się, aby dzisiaj znalazł się pomiędzy nami.

Tymczasem groźne oczy starca nie odwracały się od dygnitarza, który czekał, co z tego wy-niknie.

Gdy p. Filip Oberle znalazł się o jakie trzy kroki od p. von Kassewitz, swą wolną, lewą ręką wydobyl z zanadru tabliczkę, na której kilka

słów poprzednio był nakreślił, i podał ją niemiec-kiemu gościowi. Ten pochylił się, przeczytał i z wyrazem obrażonej dumy zawołał:

— Cóż to znaczy?

Ale już p. Józef Oberle wyrwał był tabliczkę, na której widniały pewną ręką wypisane słowa:

— Dom ten jest moim domem!

A oczy starego Alzaczyka domawiały groźnie:

— Wasan zaś niech się z niego wynosi!

I oczy te nie popuszczały wroga, zatopiły się w nim, jak kleszcze.

— Tego już za wiele! — rzekł p. Józef Oberle. — Cóż to, ojcze, schodzisz, aby moim gościom ubliżać! Panie hrabio, proszę darować memu ojcu, on stary, zapalczywy, podupadły wiekiem...

— Gdybyś pan był młodszym — zasyczał p. von Kassewitz — rozprawilibyśmy się z sobą inaczej... Ale i dziś powinieneś pamiętać, że się znajdujesz na moim gruncie, na gruncie niemieckim i że nawet w twoim wieku nie należy władzy ubliżać!

— Ojcze! — zawołała pani Monika, podbiegając do teścia, aby go podeprzeć. — Błagam cię... zaszkodziś sobie... To nad siły twoje... Panie prezesie, on mdleje!...

I w istocie coś anormalnego jawiło się na twarzy pana Filipa Oberle, który w przystępie szalonego uniesienia znalazł dość siły, aby stanąć na nogach i wyprostować pochylone barki. Zolbrzymiał w tej chwili, górował nad samymże wysokim wzrostem Kassewita. Nabrzmiały żyły na jego czole, krew do bladego napływała lica, martwe źrenice nowem życiem zapłonęły. A jednocześnie siły wyczerpane nadmiernem wysileniem wskazywały, że za chwilę ich nie stanie, że postać starca runąć na ziemię gotowa. Dawał jednak nie-

cierpliwie znaki synowej, aby się usunęła i nie udzielała mu pomocy zbytecznej.

Lunia, cała blada i drżąca, przystąpiła do naczelnego prezesa:

— To tylko próbka naszych rodzinnych dramatów! Nie zważaj pan na dziadunia i chodźmy do tartaków!

Przeszła z wyzywającym spojrzeniem pomiędzy starcem a wysokim dostojnikiem. Ten ostatni odpowiedział:

— Zrozumiałem odrazu sytuację. Niech pani będzie spokojną, wyrządzoną mi w tym domu obelgi, tobie żadną miarą przypisywać nie potrafię.

Słowa te z trudnością z ściśniętego gniewem gardła się wydobywały. Pan von Kassewitz zwrócił swe kroki ku drzwiom.

— Wyjdziemy razem — rzekł pan Józef Oberle.

Lunia już była naprzód wybiegła. Pani Oberle, równie zboląła i wyczerpana, jak ten starzec, który jej ramię odtrącał, cofnęła się do swego pokoju, aby tam głośnym wybuchnąć płaczem.

W salonie Jan Oberle został sam ze starcem, który wyparł był wroga z progów swego domu. Przybliżył się do dziadka:

— Dziaduniu! Cóżście zrobili?

Chciał dodać: „Śmiertelna to obelga. Ojciec nigdy jej nie daruje. Rodzina nasza się niepowrotnie rozbije!“ — Ale mu nie było danem wypo wiedzieć te słowa. Spojrzał na starego zapaśnika, stawiającego jeszcze czoło zniklionemu wrogowi. Spostrzegł, że miotający nim szal gniewu dosięgnął w tej chwili szczytu, że źrenice starca teraz zwróciły się na wnuka, że całą twarz jego straszny jakiś kurcz wykrzywił, a pierś podnosiła się ostatnim wysiłkiem. Wtem w puste

komnacie głos nieludzki, głos chrapliwy powtórzył, jakby w nerwowem zapamiętaniu:

— Precz stąd! precz! precz! precz!

Za każdym razem ryk ten wyżej się podnosił, aby w końcu się załamać i złamać. I z otwartymi jeszcze ustami starzec się zachwiał i runął na posadzkę.

Ryk jego dał się słyszeć w całym domu. Pani Oberle rozpoznała głos, oddawna nie słyszany, rozpoznała nawet wyrazy. Krzyk ten, jęk bólu i wściekłości, dosięgnął i p. Józefa Oberle, tuż za ogrodem, u wstępu do fabryki. Odwrócił się przez chwilę, namarszczył czoła, podczas gdy urzędnicy i robotnicy niemieccy warsztatów witali naczelnego prezesa okrzykami, i dalej za tym ostatnim pospieszył.

Pierwsza wbiegła do salonu pani Oberle, dalej stara Salomea, wystraszona i blada, pytająca, ażali to nie był krzyk starszego pana? Nadszedł i ogrodnik i stangret, ciekawi zarazem i onieśmieleni. Zastali Jana z matką, klęczących obok leżącego na ziemi p. Filipa Oberle, który zdawał się być bez życia. Gniew, oburzenie, znużenie wyczerpały siły kaleki, który ledwo teraz oddychał. Spróbowano wszelkich środków, aby go ocucić, orzeźwić, usadowiono w krześle. Każdy przynosił, co znalazł, to ocet, to eter, to sole angielskie...

— Spodziewałem się ataku — szeptał Wiktor — od rana starszy pan był w stanie gorączkowym. Ależ oto ręce się ogrzewają po trochu, oczy bodaj otwiera...

Zdała, od strony fabryki, dochodził okrzyk zbiorowy:

— Niech żyje naczelnny prezes!

Słowa te, które dotąd nigdy tu nie dotarły, wpłynęły z wiosennym powiewem przez otwarte

okna. Ale p. Filip Oberle zdawał się nie słyszeć ich zgola. Tylko po chwili dał znak, aby go odprowadzono do własnego pokoju.

Ktoś szybkim krokiem nadchodził.

Już we drzwiach p. Józef Oberle zapytał:

— Co znaczą te krzyki? Ach! ojciec!

Zmienił ton i dodał:

— Sądziłem, żeś to ty, Moniko, miała atak nerwowy.. Któż więc tak silnie zakrzyknął?

— On!

— On?! To być nie może!

Nie śmiał jednak powtórzyć pytania. Jan i Wiktor wyprowadzali staniającego się starca.

— Janie, miej o nim staranie! — jęknęła pani Oberle — nie odchodź od dziadka, zaraz za wami pospieszę.

Mąż ją zatrzymał. Ona zaś chciała tylko syna oddalić. Skoro zostali sami, przemysłowiec zapytał:

— Cóż powiedział? Co krzyczał?

— Zawołał kilkakrotnie: „Precz! precz stąd!“ Są to słowa, które rad powtarza..

— Jedyne, któremi rozporządza, aby swej nawiści folgować... Nic innego nie dodał?

— Nie. Zbiegłam co prędzej, i zastałam go już omdlałego na ziemi, Jan tylko jeden przy nim się znajdował.

— Na szczęście, hrabia Kaszewitz nie był świadkiem tego drugiego aktu, ale akt pierwszy wystarczył! Zaiste cały dom się sprzysięgnął, aby z tej wizyty, tyle dla nas zaszczytnej, zrobić awanturę i skandal. Wiktor, który nie wahał się spiskować z dziecinniałym starcem, Jan, który na wstępie był niegrzecznym, ty sama..

— Chyba na mnie nie możesz się skarżyć!

— Na ciebie przedewszystkiem! boś ty duszą oporu! Ale ja cię złamię, i złamać muszę!

— Jakto? — załamała rękę. — Alboż jeszcze dzisiaj grozisz zemstą?

— Ma się rozumieć.

— Nigdy ci się nie uda wszystkiego naraz przełamać, wszystko przezwyciężyć!

— Zobaczymy!

Pani Oberle zamilkła i pospieszyła na górę. Nowy niepokój ją dręczył. Co znaczyły wyrazy teścia? on przecież dzieciniałym nie jest. On pamięta, on przeczuwa, on strzeże domu, myśl jego zawsze jest przytomna. „Byle to Jan tak zrozumiał, jak ja rozumiałam!“.

Spotkała syna w progach pokoju chorego.

— No i cóż?

— Lepiej! chce zostać samym! — Sądzę, że żyć będzie.

— A z tobą co? — spytała matka — wciągając syna do jego własnego pokoju.

— Jak to, co ze mną?

Gdy zamknął drzwi za sobą, stanęła przed nim w pełni światła, biała i blada, z wzrokiem utopionym w źrenicach swego dziecka:

— Zrozumiałeś znaczenie słów dziadunia?

— Zrozumiałem.

Chciała się zdobyć na śmiech, a męka jej duszy rozlała się na całym obliczu.

— Tak jest, on krzykoł: precz, precz! bo myślał o Kassewitzu, bo do niego się odzywał jeszcze!

Jan potrząsnął głową.

— Wszakże tych słów do nikogo innego zastosować nie mógł...

— Mówił je do mnie.

— Czyś oszalał? Przecież między tobą a dziaduniem najlepsza panowała zgoda i porozumienie.

— Właśnie dla tego...

— Alboż cię chciał z salonu oddalić?

— Nie, mamó.

— Więc co?

— On mnie z domu oddalał!

— Janie!

— A jednak biedak tak się był moim powrotem ucieszył!

Jan odwrócił oczy, aby nie widzieć lez, spływających po twarzy matki, która go za obie ręce schwyciła.

— Nie, mój synu, nie... On tej myśli nie mógł mieć... Żle go zrozumiałeś... Nie zrobisz mi tego; powiedz, że nigdy nie zrobisz!... O czymże myślisz?

Czekała na odpowiedź, której doczekać się nie mogła.

— Janie, miej litość, przyrzeknij, że mnie nie odstąpisz!... Czem byłby dom bez ciebie? Nie mam już nikogo krom ciebie! Czy nie dość nieszczęśliwą mnie widzisz!... Spójrz mi w oczy!

Nie mógł jej odmówić. Odnalazła dawną tkliwość w oczach swego dziecka.

— Kocham cię, matko, kocham z duszy całej!

— Wiem o tem! Nie wyjeżdżaj tedy!

— Czczę cię, mamó, i współczuję z tobą!

— Więc zostań!

Gdy dalej milczał, odstąpiła od niego.

— Nie chcesz nic przyrzekać! A więc i tyś twardego serca! I tyś podobny...

Chciała dodać: do ojca.

Jan pomyślał: Czemu jej nie zapewnić jeszcze kilku tygodni ukojenia? Należą się jej ode mnie.

I zdobył się na uśmiech.

— Przyrzekam ci, mamó, stawić się 1-go października w koszarach św. Mikołaja. Zobowią-

zuję się do tego.. Czyś kontenta? Czy ci to wystarczy?

Dała niemy znak, że to nie dosyć. Ale on, nie chcąc więcej powiedzieć, czule ją ucałował i pośpiesznie wyszedł z pokoju...

Całe Alsheim nie mówiło teraz o niczem innym, tylko o zajściu w domu państwa Oberle. W upale wieczornym, w kurzawie jesiennej, wracali strudzeni parobcy i pastuchy, wracało bydło z łąk i pól, mieniać się w złocie zachodu, w ogniach promieni i płomieni słonecznych, spływających z wyżyn. Kobiety wybiegały naprzeciw mężów, aby im zwiastować nowinę: „Nie wiecie, co się tu stało! Długo o tem wspominać przyjdzie. Zdaje się, że stary pan Filip Oberle odzyskał głos i mowę, aby wypędzić z domu swego Prusaka!“ A mężowie odpowiadali: „Zawrzyjcie no wprzód drzwi, a potem dopiero resztę nam dopowiedcie“. Powtarzano sobie, iż ta cała sprawa naprowadzi żandarmów na Alsheim. Wszędzie panowało niezmierne wzburzenie. Na folwarku Bastianów kończyło się obieranie chmielu. Dziewczęta jeszcze między sobą świegotały, jedne wesołe i puste, drugie smutniejsze i znużone, wedle wieku i usposobienia. Stary Ramspacher dalej zsypywał wonne kwiecie chmielu. Wracające z pola woły i konie wchłaniały nozdrzami powietrze, nasycone roślinnym zapachem.

Aż w końcu robotnice powstawały z miejsc, przeciągały się, poziewały, znużone całodziennym trudem, a otrzepawszy się z liści i opadków chmielu, rozbiegły się do domów, w chłodzącej świeżości wieczoru.

I u państwa Oberle zadzwoniono na wieczorny posiłek. Obiad trwał krótko, minął pośpiesznie. Za-

mieniono kilka zaledwie urywkowych zdań. Lunia rozmyślała nad nową przeszkodą dla jej zamiarów, lękała się urazy p. von Kassewitz; Jan bolał nad upadkiem domu rodzinnego, zamienionego w istne piekło; pan Oberle oplakiwał zniszczone zapewne niepowrotnie ambicje parlamentarne; p. Monika przeczuwała, że syn wydartym jej zostanie i Alzacyę opuści. Przy końcu obiadu, gdy służba się usunęła, pan Oberle się odezwał, jakoby kończąc rozmowę:

— Znasz mnie dosyć, aby wiedzieć, że ustępować przed gwałtem nie myślę. Tyle tylko, że się bardziej jeszcze zacinam w uporze... Postanowiłem tedy co prędzej wystawić sobie osobny dom, przylegający do tartaków, gdzie sam zamieszkam, ażeby raz być panem u siebie. Skądinąd zamierzam przyspieszyć małżeństwo Luni z porucznikiem von Farnow. Ani ty, ani ojciec mnie od tego zamiaru nie odwiedzicie. Owszem, już do niego w tej sprawie napisałem.

P. Józef Oberle wyzywajacem spojrzeniem objął żonę i syna, poczem dodał:

— Teraz trzeba nam tylko obmyśleć, gdzie i jak nasi narzeczeni widywać się będą.

— Narzeczeni! — powtórzyła glucho pani Monika.

— Narzeczeni! — z naciskiem dodał pan Oberle. — Taka jest niezłomna wola moja, której nic zmienić nie jest w stanie. Niestety, tu się spotkać nie mogą, bo ojciec, ty lub Jan, gotowicie urządzić nową awanturę.

— Mylisz się w swoich przypuszczeniach — ozwała się pani Monika. — Cierpię wprawdzie srodze, ale nie nie zrobię, aby się sprzeciwić twoim wyrokom.

— Możesz mi tego złożyć dowód i rękojmię. Miałem zamiar o nic ciebie nie prosić i w domu trzeciej osoby w Strasburgu ułatwić narzeczonemu spotkanie.

— Chyba sobie na to nie zasłużyłam!

— Zgodzisz się tedy na towarzyszenie córce?

Pani Oberle przytknęła oczy, poczem odparła tylko:

— Niezawodnie.

Na twarzach obecnych wystąpiło pewne zdziwienie.

— Uszczęśliwiasz mnie, bo daleko jest stosowniej, aby Lunia znalazła się pod opieką matki. Gdzież tedy młoda para widywać się będzie?

Pani Monika odpowiedziała stanowczo:

— W Obernai, w moim własnym domu.

Teraz ojciec i syn nie zataili rosnącego zdumienia. Dom w Obernai? Dom Biehlerów? Przynajmniej syn ocenił całą macierzyńską ofiarę, wstał bowiem z miejsca, aby jej rękę z czcią ucałować. Ale i pan Józef Oberle pochwalił żonę:

— Będzie to najlepszym, Moniko. A na kiedy oznaczyć spotkanie?

— To już twoją jest rzeczą, możesz napisać do pana von Farnow i z nim o dzień i godzinę porozumieć się.

Lunia, z natury swej tak mało tkliwa, garnęła się jednak do matki owego wieczora. Siedząc obok niej nad robotą, raz po raz spoglądała ukradkiem na tę twarz przedwcześnie zmarszczkami poraną, a tak pełną wyrazu i bólu. Ni ona jednak, ni Jan nie zdołali odgadnąć, co spowodowało właściwie tak szybką ofiarę pani Oberle.

XIII.

Waly w Obernai.

W dziesięć dni później Lunia wraz z matką wchodziły do domu, gdzie pani Monika całe swe dzieciinne przeżyła lata, do domu Biehlerów, o trzech piętrach i oknach z małemi, ciemno-zielonemi szybkami, o wystawce górującej nad walami miasteczka Obernai, nad przyległemi kamienicami sięgającemi podobnież XVI wieku.

Pani Oberle, wchodząc, rzekła do odźwiernej:

— Za chwilę wpuściecie jednego pana, który się do mnie zamelduje.

W pokoju, do którego weszły, a gdzie jeszcze dawne pozostały były sprzęty, pani Oberle pamiętała swoich rodziców.

Tu oni żyli, tu na jej ręku umierali. Stało jeszcze w kącie łóżko z orzechowego drzewa, piec gliniany, krzesło, pokryte welnianym aksamitem, powtarzającym wciąż tę samą kwiatów wiązanekę, krucyfiks pod szklannym kloszem, dwa widoki włoskie, pamiątki podróży odbytej w 1837 roku, wszystko tu pozostało na swojem miejscu i w dawnym porządku. Instynktownym ruchem podniosła rękę, szukając w progu kropielnicy z wodą święconą, którą ojcowie czoła

swoje znaczyli, wstępując jakoby do rodzinnego przybytku.

Obie kobiety przybliżyły się do okna. Pani Oberle przywdziała była tę samą żalobną szatę, w której przyjmowała przed kilkoma dniami naczelnego prezesa Strasburga. Lusia przycieniła złotych włosów zwoje szerokim słomianym kapeluszem, ozdobionym czarnem piórem. — Matka w milczeniu podziwiła jej urodę, nie chciała bodaj przyznać sobie tejże. Inne byłyby jej uczucia, gdyby inna teraz oczekiwała oblubieńca. Tutaj sameż ściany starego alzackiego domu i pamięć dawnych jego mieszkańców, potęgowały jeszcze ból jej serdeczny.

Oparła czoło o szyby, patrząc w ogród, wysadzany bukszpanem, gdzie za dni swego dzieciństwa tyle się nabiegała i tak swobodnie igrała. Po za ogrodem widniały wały miejskie, zamienione w spacer publiczne, a wśród drzew kasztanowych przezierala w dali szeroka alzacka równina.

Lusia, która dotąd milczała, przeczuwając, że tylko zamąciłaby spokój duszy, starganej obawą, ażali zdoła spełnić swój kielich aż do dna, teraz się przybliżyła do matki i odezwała się tym głosem dźwięcznym, który za pierwszym razem czarował, później jednak mniej się podobał:

— Cierpisz ogromnie, mamó, nieprawdaż? Znając twe zasady i poglądy, to, co dla mnie czynisz, jest pro prostu bohaterskiem.

Matka oczu nie podniosła, tylko spuszczone powieki zadrgały nerwowo.

— Wiem, że to mama robi z uległości dla ojca, i tem bardziej cię podziwiam. Sama bowiem nie byłabym zdolną takiego wyrzeczenia się, podobnego zaparcia się mej indywidualności.

Nie zdawała sobie sprawy z własnego okrucieństwa.

— I z temi wyobrażeniami zamierzasz wyjść za mąż? — spytała żywo matka.

— Zapewne. Dziś inaczej rozumiemy małżeństwo, aniżeli dawniej bywało.

Matka spostrzegła w oczach córki stanowczość, o którą w tej chwili nie była pora się roztrzącać. Nie podjęła tedy gotowego do dyskusyi przedmiotu i dalej milczała.

— Bardzo mamie jestem wdzięczną — powtórzyła Lunia, a po chwili wahania dodała:

— Czy mama miała inny powód, aniżeli prostą dla ojca uległość, zezwalając na przyjęcie pana von Farnow, i to tutaj... tutaj właśnie.

Rzuciła okiem dokoła i znów spojrzała na bladą i zbolalą twarz matki. Ta zaś odpowiedziała bez chwili wahania:

— Zapewne.

— Tak się domyślałam. Czy możesz mi ten powód wyjaśnić?

— Nie.

— Nikomu się z niego nie zwierzysz?

— Owszem, za chwilę się o tem dowie pan von Farnow.

— Czemu on pierwej, nie ja? — zapytała Lunia, której twarz nabrała twardego wyrazu. — Przecież mama nie powie nic takiego, coby nas rozdzielić mogło?

Dwie łzy błysnęły w smutnych oczach pani Oberle:

— Luniu!

— Nie... znam mamę. Ale jestże to rzecz takiej wagi?

— Bardzo wielkiej.

— Mnie dotyczącej?

— Nie, nie ciebie.

— I powiesz ją w mojej obecności?

— Oczywiście.

Lunia chciała coś dodać, ale usłyszała daleki szelest, pobladła nieco, zwracając oczy ku drzwiom. Odźwierna otworzyła drzwi przed Wilhelmem von Farnow, który miarowym krokiem, jakby na paradzie wojskowej, podszedł ku obu paniom, aby złożyć głęboki ukłon, najprzód matce, a następnie córce.

Ubrany był po cywilnemu z niezmierną wytwornością. Wzruszenie malowało się na jego obliczu. Przemówił po francusku bardzo poważnie:

— Dziękuję pani!

Poczem spojrział na Lunię, a w stalowem jego oku błysnęła iskra dumnego zadowolenia.

Uśmiech rozjaśnił twarzyczkę Luni.

Dreszcz bólu i wstrętu wstrząsnął jej matką. Spojrzała teraz oko w oko w jasne źrenice Wilhelma von Farnow, który stał przed nią wyprostowany i sztywny, jak wobec wojskowej komendy.

— Dziękować mi nie trzeba, w niczem się panu nie zasłużyłam. Mąż mój i córka sami to postanowili bezemnie.

Skłonił się ponownie w milczeniu.

— Gdyby to odemnie zależało, nie dałabym panu córki z powodu twej narodowości, twej religii, twej armii, które mi są obecnie wrogami... Widzisz pan, że jestem szczerą... Chcę, abyś wiedział, że mi nic zgoła nie zawdzięczasz, ale że nie mam też żadnej osobistej do ciebie niechęci. Wiem, że jesteś uczciwym człowiekiem, żeś dobrym żołnierzem. Wierzę temu tak dalece, iż postanowiłam ci zwierzyć się z jednej z licznych trosk moich, może z najcięższej, nie dającej mi

chwili spokoju. Dniem i nocą o niej tylko wciąż myślę. Pan zaś możesz mi być pomocnym w tej biedzie...

— Ja, pani?

— Ty jeden, o ile mniemam. Straszne mieliśmy w domu zajście w czasie odwiedzin hrabiego Kaszewitza...

— On sam całą rzecz mi opowiedział. Radził mi nawet zrzec się ręki córki pani. Ale ja się zrzekać nie myślę... Na toby potrzeba..

Zaśmiał się zlekka:

— Na toby chyba potrzeba rozkazu samego cesarza. Jestem Niemcem z krwi i kości, nieskłonny zdobyczy popuścić. Hrabia Kaszewitz jest tylko moim wujem.

— Ale czego pan nie mógł usłyszeć, to, że mój teść po całych latach oniemienia, pod wpływem goiewu i szalonej urazy, odzyskał nagle mowę i krzyknął na Jana: „Precz stąd! precz! precz!“ Słyszałam wyraźnie słowa i nadbiegłam, a w tej chwili, czyż mi pan uwierzy? Nie tyle mnie przeraził widok leżącego na ziemi, jakoby bez duszy, pana Filipa Oberle, ile raczej wyraz twarzy mego syna! Wyczytałam w tej chwili na jego obliczu, że on Alzacyę opuści, a matka nigdy się nie myli!

— Ho! ho! — przerwał Farnow — toby zaiste w tej chwili nie było właściwem.

Rzucił okiem na piękną narzeczoną, która dała mu głową znak przeczący.

— Niewłaściwem zaiste — powtórzyła matka, nie rozumiejąc, w jakim znaczeniu Farnow się odezwał. — W tym domu pełnym rozterki, gdyby po odejściu córki, którą mi pan zabierasz i syna mi zabrakło! Badałam go tedy, żądałam, aby mi

przyrzekł, że się stawi do jednorocznej służby wojskowej.

— I cóż? — zapytał Farnow.

— To mi obiecał. Ale co będzie później? Kto mi zaręczy, że chciał mnie tylko uspokoić na razie? Widzisz pan, ile tobie ufam, tobie tę sprawę powierzam, broń, przeszkadzaj, czuwaj...

Oficer, dziwnie tem pomieszany, teraz odpowiedział:

— Do 1-go października masz pani obietnicę syna, później, ja przyjmuję odpowiedzialność za niego.

Lecz, jakby odpowiadając sobie samemu za myśl niewyrażoną a przykrą, dodał:

— Byłoby to fatalnem! fatalnem!

Luuia pochwyciła te słowa ostatnie.

— Darmo, muszę zdradzić tajemnicę brata. — Przebaczy mi on, gdy się dowie, iż to zrobiłam dla zaspokojenia matki... Możesz być spokojną, mam, Jan Alzacyi nie opuści...

— Skąd ta pewność?

— Bo i on kocha!

Kogo? gdzie?

— W Alsheim.

— Ależ kogo?

— Olę Bastian.

Pani Oberle zachwiała się.

— Czy to podobnem?

— Wszystko mi sam opowiedział i wyznał.

Matka przymknęła powieki, serce jej rozpierało piersi.

— Bogu niech będą dzięki!! Panie von Farnow, skoroś otrzymał prawo kochania mej córki, możesz jej to powtórzyć w przyległym salonie... mnie zaś dajcie się wyplakać do woli, bo do prawdy czuję tego potrzebę.

Wskazała ręką na sąsiedni pokój, gdzie przez szerokie okna wystawki, dostrzedz było można zielone drzewa ogrodu.

Farnow raz jeszcze się skłonił, aby pójść za Lunią, która pierwsza usłuchała matki. Przeszła i wyszła z komnaty swych naddziadów, którzy tak gorąco miłowali Alzację. Matka patrzyła za odchodzącymi.

Ale jej myśl nie była z niemi, choć oczy nie mogły się oprzeć wrażeniom wielkiej urody obojga. I samoż stwierdzenie tego wrażenia było jej przykre, i odwróciła od nich oczy. Usiadła przy oknie, skąd dzieckiem patrzyła na deszcz i pogodę, i śniegi i grady, i burze letnie, i drogą alzacką równinę. „Ola Bastian! Ola Bastian!“ — powtarzała sobie nieustannie. Jasna twarzyczka, uśmiech pogodny, skromne sukienki dziewczyny, ustroń, w której żyła, cały ten poemat słodkiej dobroci i moralnego zdrowia, wstawał teraz w umyśle matki i zacierał w niej ból tej innej miłości, która ją tu przywiodła. — Dlaczegoż mi się Jan nie zwierzył? — pytała tylko. Ta pociecha gotowa zrównoważyć tamtą zgryzotę. Czerpię stąd uspokojenie. Już nas Jan nie opuści, kiedy go najsilniejszy węzeł do Alsbeimu przykuje. ...Może zwalczyć nam przyjdzie opory mego męża... Może potrafię co wytargować od niego, za cenę ofiary, jaką czynimy, przyjmując tego Prusaka.

A tymczasem, w pustym, przyległym pokoju, młoda para zasiadła w oknie, na jedynych dwóch stolkach, które się tam znajdowały. Lunia patrzyła w dal, młody oficer w nią się wpatrywał. Rozmowa ich była żywą, przegradzały ją wesołe śmiechy, które raniły panią Oberle. Ale wnet w jej duszę zstępowało ukojenie, wraz z postacią

młodej pocieszycielki, która jej się jawiła na błękitniejącej w oddali alzackiej równinie.

Wilhelm von Farnow korzystał z krótkiej chwili, która mu została użyczoną, aby dać się poznać narzeczonej. Ta słuchała, podkreślając uśmiechem czy zadaną miną odpowiedzi, które mu dawała.

Prusak powtarzał:

— Jesteś dla mnie chlubną zdobyczą. Królować będziesz wśród oficerów naszego pułku... Jest między ich żonami jedna, z pochodzenia Francuska, ale urodzona w Austrii, a w dodatku szpetna. Jest i Włoszka, są i Angielki i Niemki. Ale ty, pani, skupiasz w sobie wszystkie rozpięchłe w nich dary i przymioty: posiadasz niemiecką kulturę i krasę, niemieckie cnoty i dobroć serca, obok francuskiej żywości i dowcipu... Zaraz po ślubie muszę cię przedstawić wyższemu towarzystwu w Berlinie. Nie pojmuję, jak mogłaś w Alsheim wyrosnąć!

Dusza jej posiadała więcej dumnej próżności, aniżeli tkliwego uczucia, zczem jej te pochlebstwa dogadzały

Ó tej samej porze, korzystając z nieobecności p. Józefa Oberle, wuj Ulryk wstąpił do siostrzana.

Zbliżał się termin wojskowości młodzieńca. Należało go uprzedzić o niepomyślnej odpowiedzi pana Bastiana. Ciężko przychodziło p. Ulrykowi rozwiewać to młode uczucie, ale niczego nie zataił Janowi. Od godziny rozmawiali z sobą, a raczej starszy sam prowadził dyskurs, próbując pocieszyć Jana, który wobec wuja nie ukrył rany serca i męskimi zalał się był łzami.

— Wyplacz się, chłopcze — powtarzał p. Ulryk. — Wtej chwili twoja matka patrzy na pierw-

szą schadzkę tamtych... Nie bardzo ją rozumiem. Wyplacz się, ale potem bądź mężny, bo ci się na jutro trzeba.. Wszakże za trzy tygodnie stawić się musisz w koszarach. Nie trzeba, aby dostrzegli łzy w twoich oczach. Zresztą rok wiatrem minie, powrócisz, a wtedy... kto wie?

Jan ręką otarł oczy i rzekł stanowczo:

— Nie, wuju.

— Czemu nie? skąd ma być nie?

Na tem samem miejscu, kędy minionej zimy tak swobodnie o przyszłości gwarzyli, teraz znów się znajdowali, ale w jakże różnem usposobieniu! Dzień się miał ku zachodowi, dzień jesienny, jasny i ciepły. P. Ulryk dostrzegł na zboląlej twarzy siostrzana ów wyraz męstwa, który go za pierwszym spotkaniem ucieszył, a który i teraz wystąpił. Błyski niezłomnej energii płonęły w zielonych, jak bory Wogezów, żrenicach.

— Nie — powtórzył Jan. — Muszę wuja o moich zamiarach uprzedzić: ja tu w żadnym razie nie myślę odbywać służby wojskowej.

Pan Ulryk na razie nie rozumiał słów młodzieńca.

— Poprosisz o zmianę pułku?

— Nie, ale do Francji powrócę.

— Jak to mówisz! alboż jestto rzecz postanowiona?

— Niezłomnie. Nie chcę służyć w wojsku, które nigdy mojem nie będzie.

— I tak zaraz chcesz jechać?

— Nie zaraz. Dopiero po wstąpieniu do wojska.

P. Ulryk podniósł ręce w górę.

— Chybaś oszalał! Wtedyć będzie i trudniej i niebezpieczniej stokroć!

Chodził wzdłuż i wszerz pokoju, pogrążony w gorączkowym zaniepokojeniu.

— Czemu odkładasz? skąd to opóźnienie? ta myśl dzika?

— Chciałem wprzódę się wynosić. Ale matka coś odgadła, wyrwała mi przyrzeczenie, iż stawię się w koszarach. Dotrzymać muszę. Jest to nieroztropnie, ale inaczej zrobić nie mogę.

Pan Ulryk wzruszył ramionami.

— Zapewne, obrana chwila jest poważnym szczegółem, ale najważniejszą jest rzecz sama. Czyś dlatego postanowił się wynieść, iż dziad twój na ciebie krzyknął: „Precz stąd!”

— Nie, on w tem się tylko zeszedł z własną myślą, moją.

— Czy odmowa Bastianów na ciebie wpłynęła?

— I to nie. Gdyby mi dali córkę i tak musiałbym im wyznać, że ani w Niemczech, ani też w Alzacyi nie pozostanę.

— Więc może małżeństwo twojej siostry?

— Tak jest, już to jedno wystarczyło, aby mnie stąd wydalic. Niech wuj pomyśli, czemu się stało tu dalsze życie moje!

— Zastanów się, Janie! wszakże schodzisz z posterunku, opuszczając Alsheim.

— Nie, bo nic dla Alzacyi uczynić nie mogę. Jużby tu nikt do mnie nie miał zaufania, do syna mego ojca, do szwagra pruskiego oficera.

— A matka, alboż ją tu myślisz zupełnie osamotnić?

— Jedyna to, największa trudność. Ależ matka nie może odemnie żądać, abym się skazał na życie zmarnowane, umęczone, które się stało jej udziałem. Owszem, rada w końcu będzie, żem się oswobodził z jarzma, które ją samą gniotło i zła-mało. Ona mi przebaczy... A później...

Wskazał ręką na zielone Wogezów pasmo.

— Trzeba brać w rachubę Francję. Ona to mnie ciągnie ku sobie, ona do serca mego przemówiła.

— Mój chłopcze! — rzekł pan Ulryk i przybliżył się do siedzącego obok młodzieńca. — Mój chłopcze! Jakież ta droga Francya musi posiadać czary, aby po latach trzydziestu takie jeszcze wzbudzać kochania! tak niepocieszone tęsknoty! Jej to krew w tobie zagrała!

Przerwał na chwilę i znów ciągnął dalej:

— Ale ci trzeba znać trudności, znać rozczarowania, które tam spotkać cię gotowe. Przedewszystkiem wypadnie ci odbyć służbę wojskową we Francyi...

— O tem wiem dobrze. Istnieje ustawa, pozwalająca napowrót zostać Francuzem i z tej też korzystać zamyślam.

— A co później?

— Znajdę przecież sposób uczciwego na chleb zapracowania.

— Nie ludź się zbyt, nie sądź, aby cię witano tam z zapalem dla tego samego, że jesteś Alzacyjny, usuwającym się z pod jarzma pruskiego. Może po tamtej gór stronie więcej zapomnieli, mniej od nas pamiętają. Nie licz na nadzwyczajne ułatwienia i osobną pomoc lub poparcie...

Przerwał mu siostrzeniec:

— Nie rozwodźmy się dłużej nad rzeczą nieodwołalną, nie radźmy o niej więcej.

Wtedy wuj Ulryk, który dotąd szarpał siwą brodę, umilkł, zapatrzył się w oblicze młodzieńca, aż powoli, stopniowo, na jego własnej twarzy rozlał się wyraz zadowolonego współnictwa.

— Teraz, gdym spełnił powinność moją i ostrzegł cię o wszystkim, choć nadaremnie, muszę ci

przyznać chłopcze, że i mnie się nieraz to samo roilo... Cobyś na to powiedział, gdybyśmy się razem do Francji wybrali?

— Razem?

— Może nie odrazu. Nie miałem tu innego węzła nad ciebie, w tobiem upatrywał ustalenie tradycyi... Wszystko się naraz zrywa... Moja obecność możeby starczyła, aby ci zapewnić we Francji gościnne przyjęcie. Gotówbym się za tobą wybrać.

Jan nadto był wstrząśnięty terażniejszością, aby dalsze snuć zamiary.

— Niech teraz wuj posłucha, bo potrzeba mi jego pomocy i dlatego to zwierzyłem się z zamiarami moimi.

Wstał, podszedł do półki, skąd wydobyl sztabową mapę, którą na stole rozłożył.

— Proszę przy mnie usiąść i dać mi raczej lekcję geografii.

Była to mapa pogranicza.

— Postanowiłem tędy kroki zwrócić, ale potrzeba mi jeszcze kilku objaśnień.

Wuj Ulryk wyglądał żywo zajęty, jakby tu chodziło o plan wojenny, a choćby o rozkład łowów.

— Miejsce wybornie obrane, najbliższa tu granica. Kto cię o tem pouczył?

— Franz, młodszy syn Ramspachera.

— Temu zawierzyć można. — Czy pojedziesz koleją?

— Oczywiście.

— Aż dokąd?

— Do Schirneck.

— To za blisko granicy, zbyt wielka stacya. Lepiej wysiąść na poprzedniej, w Russ-Hersbach.

— I owszem. Tam zastanę wózek z góry zamówiony i następnie wpadam w las.

— Chcesz mówić: wpadamy.

— Jakto? Wuj mi towarzyszy?

Spojrzeli sobie w oczy, jakby dumni jeden z drugiego.

— Cóż u licha! będziesz się może dziwował? — Wszakci to moje rzemiosło. Ja leśnik z zawodu, rozpoznam teren, a dopiero, gdy będę mógł trafić do granicy z zawiązanymi oczyma, stawię ci się na oznaczoną godzinę. Pamiętaj tylko wybrać się lekko, w kurtce myśliwskiej. Wara mi od pakunków.

— Ma się rozumieć.

Pan Ulryk z podziwem patrzył na pięknego młodzieńca, który teraz na zawsze miał porzucić ziemię Oberlów, Biehlerów, wszystkich przodków swoich.

— Smutne to jednak wszystko, mimo upojenia niebezpieczeństwem!

— Przeciwnie — rzekł Jan siląc się na wesołość, — przyjdzie mi zobaczyć Ren, po dwóch jego kończynach, tam gdzie na wolności płynie!

Pan Ulryk przycisnął go do piersi.

— Do widzenia, mój chłopcze. Bądź dobrej myśli. — Nie zdradz się z twoim zamiarem; komuż to jeszcze zwierzyć się chciałeś?

— Panu Bastianowi.

Wuj Ulryk go pochwalił, a z progu wskazując na drzwi pana Filipa Oberle, dorzucił:

— I pomyśleć, że ten tam biedak, ten szczątek ludzki, ten rozbitek mizerny, więcej ma poczucia honoru, od całej reszty! Do widzenia, mój Janie!

.

Upłynęło godzin parę, które Jan, jak innych dni, w warsztatach przepędził. Ale trudno mu było zebrać myśl, przyłożyć się do roboty. Postrzegli to podwładni, a jeden z nich, Niemiec, podobnie jak inni, zauważył głośno, że chyba młodemu panu coś się w głowie mąci.

Zadzwoniono na obiad. Jan lękał się spotkania z matką i z Lunią. Ta ostatnia, wchodząc na salę jadalną, czule się do brata przytuliła. Jak wszystkie narzeczone, nieświadomie tamtego całowała, ściskając brata. Ale przynajmniej myśl jej do Jana się zwracała. Szepnęła mu na ucho:

— Spotkałam się z nim w Obernai. Rozmawialiśmy z sobą długo. Podoba mi się coraz więcej, oboje w równej mierze jesteśmy dumni. Obiecał mi w pułku zająć się tobą. Ale może o nim przy stole nie mówmy, nieprawdaż? Mama była bardzo dobra, rozczuliła mnie zupełnie, ale biedaczce się przebrało... Musiałam ją pocieszyć, zdradzając twoją tajemnicę, i zapewnić ją, że nie opuścisz nigdy Alzacyi, bo kochasz Olę Bastian. Czy mi darujesz?

I biorąc brata pod rękę, wiodła go do stołu, gdzie już zasiadła pani Oberle.

— Czemuż w tym smutnym domu, szczęście jednych, oplaca się bolem drugich. Patrz: dziś chyba ja jedna szczęśliwą się czuję!

Obiad był krótki i minął pospiesznie. P. Oberle po kawie zabrał córkę do sali bilardowej, aby ją o wszystko rozpytać. Zaledwie matka znalazła się sama z synem, z jej twarzy spadła jakoby zasłona przymusu. Uśmiechnęła się z miłością do swego dziecka, przerwała dotychczasowe milczenie pieszczotliwym, pełnym ufności głosem:

— Mój najdroższy! Ledwo żyję, tak mnie to wszystko znękało. A jednak, w moim bólu zna-

zobaczyć wśród ciszy jej rodzinnego ogniska? Nie będę do niej pisał, nie spróbuję się z nią rozmówić, ale widzieć ją muszę, zabrać z sobą jej pamięć, a ona odgadnie, żem przynajmniej jej litości godnym

A jednak wahał się, nie śmiał wejść, czuł się nadto rozstrojonym i nieszczęśliwym. Wszakże do 1-go października dość jeszcze było czasu. Dały się słyszeć kroki w ogrodzie. Jan raz jeszcze spojrzął na jasne pasmo światła padające z okien, gdzie czuwała Ola. Dokoła panował już zmrok nocny. I na razie oddalił się ze smutkiem swoim.

XIV.

Wieczór ostatni.

Nadszedł wieczór ostatni. Jan miał nocnym pociągiem z Obernai do Strasburga podążyć tak, aby nazajutrz stawić się w koszarach św. Mikołaja o godzinie 7 zrana. Mundur jednoroczniaka, zawczasu zrobiony, czekał w pomieszkaniu przez matkę zamówionem naprzeciw koszar.

Po obiedzie odezwał się był do matki:

— Mama pozwoli, że się jeszcze przejdę po Alsheim. aby się pożegnać z okolicą, którą nie tak prędko zobaczę.

Matka spojrzała serdecznie na syna, pan Józef Oberle zaś dodał:

— Już mnie tu nie zastaniesz, jutro nowy kwartał, pełno mam roboty w biurze. Zresztą nie lubię na próżno się roztkliwiać. Prawdopodobnie z początku nie dostaniesz urlopu, ale tem ci przyjemniej będzie później do domu powracać. No, uściskajże mnie, chłopcze!

Jan posłuchał, z większą, aniżeli przypuszczał miłością, garnąc się do piersi rodzica. Za nim młody, świeży głos Luni rzucił jeszcze słowo:

— Do widzenia!

Poczem Jan wyszedł z domu.

Noc była dziwnie cicha i miękka. Żadna chmurka nie zaciemniała nieboskłonu, na którym widniał sierp księżycy i tysiące gwiazd migotało. Atoli między niebem a ziemią lekkie przymglenie nie przesłaniało żadnego światła, tylko je niejako rozpylało, tak, iż nic nie było uwydatnionem blaskiem, nic też zupełnie w cieniu po-grążonem. Samoż powietrze perłowe miało od-błyski, ciepłemi powiewy ogrzane. „Jakże słodką, jak przytulną ta moja Alzacya!“ pomyślał Jan, gdy znalazł się za ogrodem wśród pól, na-przeciw uśpionej równiny, skapaniej w półmroku, kędy zrzadka pojedyncze drzewa orzechowe lub jabłonie dłuższe dokoła roztaczały cienie. Jakieś znużenie zdawało się parować z ziemi zwilgotnia-łej jesiennymi dżdżami. Zapach rozoranych skib zlewał się z wonią rżyska, z oddechem roślin dojrzałych lub zeschniętych. Z gór płynęły ku dolinie wyziewy żywiczne, woń ginących krzacz-ków poziomkowych, dzikiej mięty, jałowców. Jan wchłaniał z upojeniem rodzinne tchnienia, zda-wało mu się, że rozeznaje słodką woń paproci i macierzanki, właściwą tym stronom, i pomyślał:

— Po raz ostatni! Ostatni! nigdy już, nigdy więcej!

Nad dachami wioski nie unosiły się już dymy, nie zrywały iskry. Chaty wspinały się wzdłuż ścieżki, którą kroczył młodzieniec. Wyglądały jak rozkle-czone dokoła kościoła postacie, a pod każdą strze-cha Jan mógł sobie wystawić i odnaleźć znane, życzliwe postacie. I zadumał się głęboko, nie wstrzymując kroku, gdy jednak postrzegł w oto-czeniu drzew i zabudowań dworek Bastianów, wszelka inna myśl go odbiegła. I odnalazł białą furtkę i wszedł w aleję wiśniową, pełną wiosen-nych pamiątek. Nikogo nie było ani na drodze,

ani w ogrodzie. Jan sam sobie otworzył furtkę i obszedłszy okna oświetlone sali jadalnej, staował przed drzwiami domu, otwierającemi się po drugiej Alsheimu stronie.

Odczekał jeszcze chwilę, zaczem wkroczył do izby jadalnej, kędy co wieczór gromadziła się rodzina.

Tak, jak się tego spodziewał, siedzieli wszyscy troje dokoła okrągłego stołu. Ojciec czytał gazetę, obie kobiety znaczyły serwety, które miały wejść do skarbca domowego pani Bastian. Drzwi zaledwie stuknęły, taka wszelako w domu panowała cisza, iż wszyscy podnieśli naraz głowy, aby zobaczyć, kto nadszedł.

Nastąpiła dwustronna chwila niepewności i wahania. Jan przedewszystkiem spojrział na Olę i z twarzy jej wyczytał, że i ona dużo wycierpiała, też ona pierwsza go poznała, pobladła na jego widok, a osuniętej roboty nie podnosiła drżącą dłonią.

Pan Bastian uczuł nagle wzruszenie:

— Tyżes to Janie? Skąd się tu bierzesz? kto ci otworzył?

Złożył dziennik, nie odwracając oczu od stojącego przed sobą młodzieńca.

— Przyszedłem się z wami pożegnać — rzekł Jan poprostu.

Ale głos jego tak był zmieniony, tak złamany, iż p. Bastian zrozumiał, że coś niezwykle tragicznego wespół z gościem wkroczyło w jego progi. Wstał z miejsca i podszedł do Jana:

— Wszakże to jutro dzień 1 października... Wstępujesz do wojska, biedny chłopcze... Może masz do mnie jaki interes?..

Ale już Jan, chwytając za rękę starego Bastiana, pociągnął go był w ciemniejszy zakątek,

i tam, patrząc mu prosto w oczy, krótkie szepnął słowo. Pani Bastian z daleka im się przyglądała, nie rozeznając głosów, ni twarzy.

— Wyjeżdżam — mówił z cicha Jan — i nigdy, nigdy nie wrócę. Dlatego to odważyłem się tu przybyć.

Uczuł w swoim ręku, jak dłoń starego Alzacyka zadrżała. Obaj mężczyźni zamienili pospiesznie kilka urywanych zdań, podczas gdy kobiety, zaniepokojone, pochylały się nad stołem.

— Co przez to rozumiesz? — przecież za rok wrócisz?

— Nie wrócę. Wstępuję do wojska, bom przyobiecwał, ale zaraz mundur zrzucę.

— Kiedy?

— Pojutrze.

— Dokąd się udasz?

— Do Francji.

Stary Alzacyk odwrócił się przez chwilę.

— Wy kobiety rozmawiajcie tam i nie nasłuchujcie, mamy z sobą ważne sprawy do omówienia.

Obie wstały z miejsca. On zaś, dysząc, jakby po wielkiem zmęczeniu, dodał:

— Rozważ, co zrobisz... bądź ostrożny... nie daj się przyłapać.

Obie ręce położył na ramieniu Jana:

— Widzisz, ja bo tu zostaję. Mój to sposób kochania Alzacyi. Niemasz lepszego. Tum żył, tutaj umrę. Dla ciebie, mój biedny chłopcze, okoliczności inaczej się złożyły. Rozumiem cię i wyrozumiem wszystkiemu... Nie zdradź się przed kobietami... Zachowaj twą tajemnicę. — A u ciebie czy kto się domyśla?

— Nikt zgoła.

— Tem lepiej.

I dodał ciszej jeszcze:

— Chciałeś raz jeszcze ją zobaczyć. Nie mam ci tego za złe, skoro jej więcej nie spotkasz.

Jan kiwnął głową potakująco.

— Popatrz na nią, stąd z po za mnie, — i niech cię Bóg prowadzi!....

I z za szerokich ramion pana Bastiana, Jan Oberle mógł stwierdzić, że oczy Oli, zrazu wzruszeniem zamglone, teraz pełne były jakiejś trwogi. Nie spuściła powiek, wytrzymała jego spojrzenie. Pochłonęła ją całą ta rozmowa, której słów nie słyszała, ta tajemnica, do której czuła się być wmięszaną, a na jej twarzy rozlał się ból gwałtowny, właściwy młodości. — Co oni mówią? czy to lepsze, czy gorsze wieści? — Nie lepsze, nie zwracają się ku mnie!

Matka bodaj jeszcze więcej od córki pobladła.

— Żegnam cię, moje dziecko — mówił cichym głosem p. Bastian — wierzaj mi, bardzo szczerze cię kochałem... ale nie mogłem inaczej postąpić. Szanuję cię, nie zapomnę o tobie.

Łzy zatamowały mu słowa. Stary Alzateczyk ścisnął Jana za rękę i w milczeniu ją puścił. Jan zwrócił się ku drzwiom.

Szedł prawie nieprzytomny, drżący cały, jak we febrze. Od progu raz jeszcze się odwrócił... A więc trzeba mu było iść w świat, i nigdy, nigdy nie wrócić!..

— Do widzenia, pani!

Chciał dodać te same słowa pożegnania dla Oli, ale zaszlochał głośno i wybiegł z pokoju.

Słychać było oddalające się jego kroki.

— Co się to dzieje? co zaszło? — spytała pani Bastian. — Ksawery, ty nam coś ukrywasz?

Stary Alzateczyk płakał, jak dziecko. Zgadła wszystko, i wszystkie też jej uprzedzenia upadły.

— Olo — zawołała — biegnij go jeszcze po-
żegnać!

Dziewczyna rzuciła się ku drzwiom, dopadła
Jana przy furtce.

— Błagam cię, powiedz, czemu jesteś taki bie-
dny, tak nieszczęśliwy?

Odwrócił się z mocnem postanowieniem docho-
wania tajemnicy, dotrzymania słowa. Rozwarł tyl-
ko szeroko ramiona i do piersi ją przytulił.

— Odjeżdżasz? O Boże mój! — wołała z gło-
śną skargą — przeczuwam, że odjeżdżasz!

Złożył cichy, czuły pocałunek na jej włosach,
za całe życie, i oddalił się pospiesznie, żadnego
nie wypowiedziawszy słowa.

XV.

W Pułku.

O trzy kwadranse na siódmą Jan Oberle, ubrany po cywilnemu, okrążał dawne francuskie koszary św. Mikołaja, przechrzczone teraz na *Nikolaus Kaserne*. Stał przy bramie, uklonił się podoficerowi na odwachu, zamienił z nim słów kilka i przybliżył się do grona jednorocznych ochotników, którzy podobnież czekali przed olbrzymim gmachem, na jasno-zielony kolor pomalowanym. Dwóch kawalerzystów w jasno-niebieskich mundurach, o żółtych wyłogach, manewrowało na pustej arenie. Oddział, uszykowany przed stajnią, czekał rozkazu oficerów, aby wyruszyć na ćwiczenia.

— Panie wachmistrzu — rzekł Jan, zbliżając się do podoficera o pospolitej twarzy i przesadnym obejściu — melduję się do służby jednorocznej.

Sprawdziwszy jego imię i nazwisko wedle spisu, uprzednio sporządzonego, podoficer w gruncie o nieśmielony położeniem i majątkiem nowych rekrutów, żądny zjednania ich sobie, ale nie rad się z tem zdradzający, zmierzył Jana okiem, jakby szukając jakiego defektu, ułomności, niedoskonałości w tym Alzatzyku jeszcze cywilnym. Do-

konawszy przeglądu, rozkazał mu stanąć obok tamtych.

Tamci, byli to Niemcy, o ile sądzić było można z rozmaitości typów, Niemcy zbiegli też z różnych stron cesarstwa. Ubrali się starannie przed wdzianiem munduru, aby się dobrze przedstawić przyszłym towarzyszom broni i żołnierzom do wieść, iż należą do rodzin zamożnych. W różnokolorowych krawatkach lśniły kosztowne szpilki, jasne rękawiczki, lakierowane buty dopełniały elegancyi rekrutów. Przedstawiali się sobie nawzajem: „Nazywam się Fülrbach, nazywam się Blossmann,“ powtarzali na przemian. Jan żadnego z nich nie znał, każdemu w milczeniu się odklonił, własnego nie wymieniając nazwiska. Nie warto mu było na jeden dzień tyle naraz robić znajomości!

I stał na boku, a myśl jego odbiegła daleko: podczas gdy dokoła niego szeptano zapytania, Kto to taki? chyba jaki Alzatzczyk? — Na jednych ustach zawitały uśmiechy szybko zatarte, na innych twarzach wystąpiły rasowe przeciwieństwa, i twarde a stalowe oczy zmierzyły surowo nowoprzybyłego.

Liczba jednorocznych urosła do piętnastu. Gdy godzina naznaczona wybiła, wachmistrz zaprowadził ich na drugie piętro koszar, kędy się odbyć miały oględziny lekarskie. O ósmej znów ich uszykowano pod okiem podoficera na dziedzińcu. Jan stał obok syna wielkiego przemysłowca z Fryburga, o twarzy dziecka, pooranej licznymi bliznami, śladami uniwersyteckich pojedynków. Biorąc milczenie Jana Oberle za nieśmiałość, narzcił mu się na przewodnika. Podczas gdy pogrążony w zadumie Alzatzczyk przez kratę bramy spoglądał na lud strasburski, snu-

jący się ulicą, towarzysz próbował uwagę jego zjednać dla rzeczy i ludzi bliższych.

— Należało się przedstawić kilku oficerom. Ja sam tak zrobiłem. Spójrz na tego oto wachmistrza, co tam ze stajni wychodzi, to Stübel; je dobrze, pije jeszcze lepiej, ale w gruncie poczciwy. Tamten, o rudym wąsie, nazywa się Godfryd Hamm, podła figura... Znaćcie go?

— Podobno.

— Baczość! — zakomenderował podoficer. — Stój!

Sam zaś wyciągnął się jak struna, z rękoma po szwach. Ujrzał był nadchodzącego oficera, otulonego w szary płaszcz wojskowy, na którego widok rozbiegli po dziedzińcu huzary cofnęli się do stajni. Pułkownik zatrzymał się najprzód przed linią rezerwistów. Był to człowiek krwisty i energiczny, doskonały kawalerzysta, nieco już otyły, o chuderlawych nogach i oczach, miotających groźne spojrzenia.

— Tu panie pułkowniku — tłumaczył wachmistrz — mamy jednorocznych.

Pułkownik się nasrożył, a z szorstkością, w której zapewne upatrywał spełnienie powinności, w te przemówił słowa:

— Jesteście garstką uprzywilejowanych. Wykształcenie uprawnia was do jednorocznej tylko służby. Okażcie się godnymi tego przywileju. Bądźcie przykładem dla innych! Pomnijcie, że będziecie kiedyś oficerami tych żołnierzy. A więc żadnego naruszenia karności, żadnej nieprawidłowości w umundurowaniu! Ani minuty cywilnej odzieży! Potrafię karać, i to karać mocno!

Kazał sobie podać spis jednorocznych. Gdy wyczytał imię Jana, myśl jego nawiązała go z nazwiskiem Farnowa. Zakomenderował:

— Jednoroczny Oberle!

Jan wystąpił z szeregu. Pułkownik zmierzył go spojrzeniem niczem nie złagodzonem. Domyślał się, iż musi to być brat pięknej panny Oberle, z którą pozwolił swemu porucznikowi się żenić.

— Dobrze! — rzekł tylko, podniósł rękę do czapki i odwrócił się, podczas gdy wiatr północny wydał szeroko fałdy jego płaszcza.

Zaledwie pułkownik zniknął, zjawił się lejtnant pełniący obowiązki pierwszego adjutanta przy huzarach nadreńskich, piękny i wykwintny młodzieniec, który jął obwieszczać jednorocznym ochotnikom, do którego szwadronu i kompanii przydzieleni zostali. Jan znalazł się w 3-ej kompanii 2-go szwadronu.

— Nie wieszczę — ozwał się jego sąsiad. — Jest to właśnie kompania Gotfryda Hamma.

Od tej chwili garstka piętnastu ochotników już była właściwie „wcielona“ do armii, każdy z nich miał naznaczone sobie miejsce w tej zorganizowanej masie, miał nad sobą odpowiedzialnych przywódców, oraz prawo do zażądania munduru w tym a tym składzie, konia zaś w tej czy owej stajni.

Wszyscy też natychmiast zabrali się do regulowania sprawy umundurowania. Jan wraz z innym znów, przypadkowym towarzyszem broni, synem księgarza z Lipska, udał się na najwyższe piętro koszarowego gmachu, ażeby tam z magazynu wybrać i dobrać cały wojskowy rynsztunek, zostawiając podoficerowi niektóre onego części, jak buty, płaszcze itd., bądź dla niego samego, jako powitalny haracz, bądź dla udarowania innych podoficerów tejże kompanii. Posiedzenie przeciągnęło się tu aż dobrze po dziesiątej. Wypadło jeszcze zamówić jednego i drugiego bur-

sza, do rzeczy i do konia, wpaść do pułkowego krawca. Tyle to wszystko zabrało czasu, iż Jan dopiero koło 12-tej mógł się wyrwać z koszar i wpaść na śniadanie.

Jednoroczni ochotnicy w tym pierwszym dniu uwolnieni bywali od powrotu na godzinę 1-szą. Ukazali się dopiero później wszyscy razem, wedle wspólnej umowy, na dziedzińcu koszarowym, piękni, wykwintni, podziwiani przez oficerów, podczas gdy oficerowie z zazdrością się przyglądali ich cienkim mundurom i wytwornym ryszunkom. Jeden tylko z ochotników obcym był uczuciom próżności, któremi tamci się upajali. Myślał o depeszy, którą miał odebrać wedle umowy z wujem, a która dotąd nie była nadeszła. Niepokój, rokosz przeciw władzy, która dziś nad nim zaciężyła, a przeciw której młodość jego się buntowała, wszystko to nie dało mu na razie odczuwać znużenia tego męczącego nad inne pierwszego dnia służby. Dopiero o wpół do dziewiątej mógł do domu powrócić. Wielu z ochotników takie czuło znużenie, iż postanowili bez kolacyi udać się na spoczynek. Jan z innych powodów pospieszył wprost do swego mieszkania. W progu zatrzymała go odźwierna, oddając mu nadeszłą tymczasem depeszę.

Zwiastowała ona w zakrytej formie, że wuj Ulryk nie chybi na oznaczonem znaleźć się miejscu. Jan skoczył do siebie, zapalił świecę i odczytał trzy słowa, żadnym nie opatrzone podpisem: „Wszystko w porządku“.

Miało to znaczyć, że spotkanie nastąpi, że wuj przygotował co było trzeba. Los był tedy rzucony: za kilka godzin, w dniu 2go października, Jan miał opuścić szeregi. Acz nie miał chwili wątpliwości i wahania, — uczył jednak w tej

chwili szczególne wstrząśnienie. Ostateczne rozłączenie narzuciło mu się tak wyrażnie, że rozstrojony przemęczeniem fizycznym, rozplakał się jak dziecko. Rzucił się ubrany na łóżko, i przycisnąwszy głowę do poduszki, jął myśleć o tych, co dalej w Alsheim w domu rodzinnym zostaną, podczas gdy on pójdzie na wygnanie niepowrotne; wystawiał sobie gniew jednych, rozpacz drugich, gdy wieść o nim nadejdzie, — widział w duchu swą ukochaną, swobodną do niedawna Olę, taką smutną teraz i zbiedzoną, błagającą w chwili rozstania o wyjaśnienie, którego dać jej nie mógł... Wszystko to było koniecznem, niepowrotnem też było. Mijały godziny nocy. Cisza zalegała ulice. Jan zrozumiał, iż mu trzeba będzie całej energii moralnej, odsunął więc od siebie żale i widnia przeszłości, i jął raczej układać to, co mu dziś zrobić wypadnie.

Tak, dziś jeszcze, bo już kury pieją. Niepodobna było wyjeżdżać rannym pociągiem. Najwcześniejszy ruszał po wpół do szóstej, a już o czwartej należało się stawić do koszar. Byłoby to tedy niebezpiecznem zapóźwieniem. Rychło bowiem dany alarm, utrudniłby przekroczenie granicy. Zaczem postanowił był z wujem dopiero pociągiem południowym wyruszyć.

— Nieraz tak sam jeździłem — powtarzał pan Ulryk. — Staniesz w Russ Hersbach o pierwszej minut dwadzieścia jeden, w kwadrans wózką do trzemy do Schirneck. Stamtąd skoczymy w bok, i możemy być na ziemi francuskiej przed trzecią. Wtedy cię zostawię, a sam tu jeszcze wrócę.

O to tedy chodziło, by nie chybić na pociąg południowy, wychodzący o g. 12 minut 10. Ale że jednorocznych puszczano zwykle około g. 11, rzecz nie zdawała się być trudną.

W końcu Jan usnął, acz na krótko. Przed g. 4 już znalazł się w progach koszar św. Mikołaja.

Ta chwila odpoczynku wróciła mu równowagę. Jak to się nieraz przejawia u ludzi bardzo energicznych, Jan naprzód się niepokoił i trapił, aby w chwili działania odzyskać całą równowagę. Przez resztę poranku, z zupełnie zimną krwią odbywał żądane ćwiczenia. W całym jego zachowaniu się było nawet coś mniej obojętnego, mniej skrytego, aniżeli dnia poprzedniego. Towarzysz jego z Lipska odezwał się życzliwie: — Jesteście się tedy oswoili, nieprawdaż? — Jan się tylko uśmiechnął. Patrzał na gmachy koszar, na oficerów, na żołnierzy, na ten cały rynsztunek germańskiej potęgi okiem studenta, który, wyswobodzony z jarzma przymusowej nauki, spogląda na szkołę, na profesorów i współuczniów. Teraz bodaj z pewną ciekawością przypatrywał się rzeczom i ludziom, których już oglądać nie miał więcej. — Przed g. 11 ujrzał zdala barona von Farnow, powracającego na czele plutonu huzarów. Pyszny był urodą, sztywnością i wojskową karnością. Konie obłoczone kilkogodziennymi ćwiczeniami, ludzie wyczerpani trudem, wyglądali pospołu basła odpoczynku południowego. Na Farnowie tylko nie znać było znużenia, wjeżdżał w bramy koszar na wspnianym kasztanie, z taką wyniosłą swobodą jak gdyby się stawiał na myśliwskie spotkanie. Jan pomyślał: „Oto przyszły mąż mojej siostry. Nie spotkamy się już więcej. W razie wojny będziemy sobie wrogami.“ I w duchu jawiło mu się widmo jakiegoś wielkiego dowódcy jazdy, miocącego śmierć, lecącego po trupach, unoszącego się w strzemiionach, aby wydawać rozkazy. Farnow nie domyślał się, jakie to myśli snuły się po głowie jednego z tych ochotników, na których rzucił o-

bojętne spojrzenie. Wjechał w dziedziniec, dała się słyszeć gromka komenda, szcęk składanej broni, i wszystko naraz ucichło. Tylko instruktor rekrutów przeciągnął do wpół do dwunastej ćwiczenia, poczem Jan popędził do swego bursza, gdy mu na schodach jeden z towarzyszków zaskoczył drogę, wołając:

— Rewizya mundurów naszej kompanii o godz. punkt 12. Niema czasu wyjść teraz z koszar. Rozkaz to kapitana.

Jan biegł dalej, nie bacząc na przeszkodę, która tak *in extremis* przed nim stawała. Zdecydowany był bądź co bądź zamiar wykonać. Wszakże wuj Ulryk na niego czekał. Jedną tylko miał przed sobą myśl: oto co prędzej dopaść na kolej.

W mig się z burszem załatwił, a połączywszy się z innymi rekrutami, którzy swobodnie opuszczali koszary, jako należący do innych kompanij, znalazł się niebawem obok własnego mieszkania. Zegar wskazywał 12 godzinę bez 17 minut. Alboż był jeszcze czas na zmianę odzieży, zrzucenie munduru? Czy stanie go na dojazd do dworca dość dalekiego? Puszczając się w drogę w mundurze podwajało niebezpieczeństwo. Jan pomyślał, że zabierając z sobą walizkę, mógłby się przebrać w Russ Hersbach a bodaj w wagonie. Zawołał na odźwierną i cały zdyszany, rozkazał, aby mu copędzej zawołała fiakra, bo ma przed sobą pilną jazdę.

— W tej chwili schodzę. Niech fiaker czeka.

W przeciągu trzech minut rzucił w walizkę kurtkę, spodnie i kapelusz, które był zrana przygotował, a wskakując do fiakra krzyknął głośno:

— Na Pawią ulicę!

Ale zaledwie ruszyli, rzekł do dorożkarza:

— Co koń wyskoczy, jedź na dworzec kolejowy.

Stanął tamże na ostatnią chwilę, kupił bilet do Russ Hersbach i wpadł do wagonu, gdzie zastał dwóch innych podróżnych. Natychmiast pociąg runął w tunel, wiodący przez wały, i wybiegł znów na światło dzienne po drugiej stronie podkopu, i popędził ku zachodowi, przerywając alzaczką płaszczyznę

W tej samej bodaj chwili kapitan, sprawdzający mundury ochotników swojej kompanii, pytał wachmistrza:

— Oto jeden z nich. Gdzież drugi?

— Nie widziałem go — odparł Gotfryd Hamm.

A zwracając się do towarzysza Jana Oberle, młodego Saksończyka, zapytał:

— Gdzież się on podział?

— Wybiegł po ćwiczeniach i dotąd nie wrócił.

— Na ten raz ujdzie mu to bezkarnie — mruknął kapitan. — Może nie zrozumiał rozkazu. Uprzedź go jednak, Hamm, że to pierwsze i ostatnie uchybienie.

Na razie sprawa minęła bez skutków. Ale gdy się ludzie zebrali w stajniach dla czyszczenia koni, między pierwszą a drugą godziną, nieobecność Jana ponownie stwierdzoną została. Wzdłuż całego budynku żołnierze z ręcznie używali szczotek, pouczając jednorocznych, jak się mają do tej roboty zabierać. Konie stały rzędem przytroczone. Czyszczenie ich postępowało rażno naprzód, pod leniwym nadzorem feldfebla. Wtem wachmistrz drugiej kompanii wyszedł z biura ku miejscu, gdzie spodziewał się zastać przy koniu Jana Oberle. Rzucił okiem na cały szereg:

— Oberle nie wrócił? — zapytał ponownie.

Uprzednio badany towarzysz jednaką dał odpowiedź:

— Po ćwiczeniach wybiegł z koszar do swego mieszkania.

— Czy był w restauracyi na śniadaniu?

— Nie widziałem.

Wachmistrz Hamm odwrócił się. W oczach jego dziki ogień zamigotał, snąć nie lekcewał się sobie sytuacji. Rzecz mogła być groźną dla Jana, nieprzyjemną dla niego. Żadnego z oficerów nie było w tej chwili w koszarach. Gdyby co ważnego zaszło, kapitan gotówby się na nim, Hammie, mścić, że nic zawczasu nie spostrzegł, nie doniósł. Przypomniały mu się słowa własnego ojca, żandarma z Obernai, który mu przed dwoma tygodniami powiedział:

— Pono mieć będziesz w swoim pułku syna państwa Oberle. Pamiętaj mieć go na oku. Mocno bym się dziwił, gdybyśmy o nim czegoś nadzwyczajnego nie usłyszeli. Żywy to portret dziada, nienawidzącego Prusaków, gotów on co cięższego zbroić.

Ale należało teraz co żywo zarządzić dochodzenie. Na razie trudności nie było. Mieszkanie Jana znajdowało się naprzeciw koszar. Hamm sam przeszedł się do żółtego domu, o zielonych okiennicach i zapytał odźwiernej:

Czy p. Oberle jest w domu?

— Wyjechał w samo południe.

— Jakiż dał adres dorożkarzowi?

— Kazał jechać na Pawią nlicę.

— Pod jaki numer?

— Nie dosłyszałam. Nie wiem.

Ustalilo się pierwsze podejrzenie w umyśle wachmistrza. Nie było czasu do stracenia. Pobiegnął do kapitana zamieszkałego w nowej miasta dzielnicy, na Herderstrasse.

Kapitana nie było w domu.

Zawiedziony i zmęczony szybkim biegiem, wracał Hamm zły w stronę koszar, gdy po drodze przypomniał sobie, że wartoby uprzedzić porucznika Farnowa, który opodal mieszkał. Hamm wiedział o zaręczynach oficera. Wpadł tedy do wspólnych gmachów Germanii, gdzie Farnow mieszkał na pierwszym piętrze. Ordynans mu we drzwiach odpowiedział, że pan porucznik się ubiera.

Ubierał się właśnie, aby udać się do kasyna oficerskiego i nadto oddać parę wizyt. W pełnym negligiu pochylał się nad umywalnią, pokrytą przyborami toaletowymi. Woń kolońskiej wody rozlewała się po całym mieszkaniu.

Wpuszczono wachmistrza. Oficer chwycił za ręcznik, aby wilgotną twarz ocierać.

— Tyś to, Hamm? — Co cię przywodzi do mnie?

— Panie poruczniku, pozwoliłem sobie wstąpić tutaj, bo nie zastałem kapitana, a jednoroczny Oberle...

— Cóż zrobił? gdzie jest — spytał Farnow żywo wstrząśnięty.

— Od wpół do dwunastej zniknął bez wieści.

Farnow porzucił gąbkę i ręcznik na stół, i z niesłychaną gwałtownością podszedł do wachmistrza. Stanęły mu w pamięci obawy pani Oberle. Hamm pomyślał: Przypuszcza to samo, com ja przypuścił!

— Jaktó? zniknął? — Czy byłeś w jego kwaterze?

— Bylem. Powiedziano mi, że wyjechał przed samem południem doróżką.

Młody oficer uczuł śmiertelne zimno, które mu serce lodem ścięło. Przez chwilę oczy przymknął. Gdy je otworzył na nowo, już był panem siebie

i doznanego wzruszenia. Błady był jak trup, ale żadne ścięgo w jego obliczu nie zadrgało.

— Jedno masz tylko do zrobienia, Hamm: oto uprzedzić komendanta. Przekona się on, co zaszło... co należy dalej zrobić... co w takich razach jest przepisaniem.

Rzucił okiem na zegar ścienny z saskiej porcelany:

— Trzeba ci się spieszyć, boć to już kwadrans na drugą.

Wachmistrz skłonił się i wyszedł.

Oficer zaś cofnął się do przyległego pokoju, a zadzwoniwszy, zażądał telefonicznego połączenia z jednym z agentów policyjnych na dworcu strasburskim. W kilka minut później dowiedział się, iż jednoroczny ochotnik z 9-go pułku huzarów, w ostatniej chwili zjechał na pociąg z małą wazką, i że wziął bilet pierwszej klasy do Russ Hersbach.

— Nie, to być nie może! to jest niepodobieństwem! — zawołał Farnow rzucając się na sofę. — Musiała zająć pomyłka... Russ Hersbach, toć to przecie sama niemal granica, a Jan nie może dezertować, bo tu przecież się kocha... Takie, jak jego temperamenta francuskie, rządzić się zwykły uczuciem... Musi raczej być w Alsheim... W każdym razie chciałby zobaczyć się z Olą... trzeba mi się o tem przekonać.

I uderzył pięścią w stół mahoniowy.

— Hermann! — zawołał głośno.

Ordynans jego, ciężki, spokojny syn Germanii, stanął we drzwiach.

— Co żywo osiodłać mi konia! — pojedziesz ze mną.

Farnow w kilka minut był gotów, zbiegł szybko ze schodów, zastał oba konie przed domem, a

wyjechawszy za linię fortyfikacyi, puścił się cwałem w stronę Alsheim.

W miarę, jak się do celu przybliżał, prawdopodobieństwo dezercyi Jana żywiej się narzucało jego umysłowi. Wracała mu na pamięć rozmowa z panią Oberle, przeróżne nasuwały się przyczyny, aby uwierzyć w katastrofę, przeciw której chciał jeszcze walczyć siłą nieprzepartej woli. „On tak nas mało rozumie! chwalił się z tem przecież u Brausigów... Niemcy mu są zupełnie obce! tu zaś ta rodzina rozbita zupełnie, której nieporozumienia wzrosły jeszcze wskutek moich zaręczyn!... A jednak i on bodaj jest także zaręczonym... A miłość zwykła rozstrzygać w takich nawskróś francuskich duszach... Nie, niezawodnie go tam zastanę.... lub przynajmniej czegoś pewnego o nim się dowiem.

Słońce przypiekało na bezdrzewnym gościńcu., który się rozwijał niby wstęga kurzawy, łącząca jedną osadę z drugą, poprzez zżęte i puste pola. Niebo zakryły ołowiane chmury. Tylko nad Wogezami stały obłoki nieruchome, o złotym rąbku promieni. Okryte pyłem i potem konie, na chwilę tylko zwalniały biegu, aby znów do szybkiego wracać kłusa. Tu i owdzie na rżyskach śpiewały pastuchy, oglądając się za pędzącymi drogą jeźdźcami.

— Co też panu porucznikowi strzeliło do głowy? Gotów konia zamęczyć — zauważył Hermann.

Farnowa ogarniał tymczasem coraz straszniejszy niepokój:

— A jeśli go nie zastanę, nie odnajdę? Gdyby ten niegodny żołnierz w istocie...

Nie dopowiedział myśli swojej. Obernai zostało na prawo, krótsza droga wiodła przez pola

do Alsheim. Niebawem wysokie dachy dworu państwa Oberle ukazały się w oddali:

— Lunia! Lunia! Lunia!

W domu zgłuszonym parnością godzin popołudniowych ciepłego końca jesieni, jeden za ledwie głos mącił ogólną ciszę. Pani Monika siedziała obok krzesła teścia, który już z własnego nie wychodził pomieszkania, czytała głośno choremu *Gazetę Alzacką*, co dopiero pocztą nadeszłą. Przez okno otwarte dochodziły słowa zlane niemal w jednostajne echo, niby odmawianego w oddali różańca. W sali bilardowej pan Józef Oberle potrochu drzemał nad świeżym numerem dziennika *Strassburger Post*. Opodał, przy biurku, pochylona nad ćwiartką listowego papieru, Lunia pisała do narzeczonego.

— Paoie, panie Oberle!

Zbudzony znienacka przemysłowiec, zerwał się pośpiesznie i podbiegł ku drzwiom, gdzie zastał odzwiernego.

— Czemu mnie wołasz?

Po krótkiej w sieni rozmowie pan Oberle wrócił rozpromieniony.

— Luniu, pan von Farnow oczekuje cię u wrót ogrodu.

Lunia pokraśniała.

— Czemu tu nie zajechał?

— Bo przybył konno i bardzo mu pilno dalej jechać. Może i nie śmie... Pobiegnij po niego i przyprowadź tutaj. Powiedz, że ja o to proszę, że potrafię mu oszczędzić wszelkiego niemilego zajścia.

I ręką wskazując na górne mieszkanie, skąd dochodził miarowy głos czytającej, dał znak, iż raczej gotów drzwi na klucz pozamykać.

Lunia stanęła przed zwierciadłem, poprawiając włosy.

— Idź, duszko, o ciebie tylko prosi. Jeżeli zaraz z nim nie wrócisz, po chwili za tobą pośpieszę.

Wybiegła jak sarna z domu, szczęśliwa, trochę pomieszana, szukając oczyma Farnowa.

Przy wrotach ujrzała zdrożone konie i podchodzącego ku niej oficera.

Nigdy go takim nie widziała. Zakurzony, czerwony, chmurny! Nie jest to nawet pośpiech radości, nie odpowiada on nawet na wesołe powitanie Luni, wołającej zdala:

— Skąd ta niespodzianka, Wilhelmie!

Chwyta ją za rękę, ale zamiast tę rączkę ucałować, zamiast się w narzeczoną, jak zwykle, wpatrywać płonącemi, acz zawsze twardemi oczyma, pociąga ją za sobą ku pobliskim warsztatom. Uśmiech nie schodzi z ust Luni; dzielna bo to dziewczyna, trzyma się dobrze, choć lęk nieopisany zaczyna się wkradać do jej serca.

— Gdzież mnie porywasz? Cóż to za sposób dziki, nawet się ze mną nie przywitać? Gdzież twoja dawna uprzejmość?..

— Chodźmy tutaj... tu nas nie zobaczą.

Stanęli za stosem desek u wejścia do warsztatów. Farnow ścisnął narzeczonej rękę.

— Czy brat twój jest tutaj? Odpowiadaj co prędzej. Czy znajduje się w Alsheim?

Cała groza i groźba, któremi młodość jego próbowała odeprzeć zawisłe nad nimi nieszczęście, przebłysły w oczach wyglądających chciwie po myślniej odpowiedzi.

— Niema go tutaj — rzekła najspokojniej Lunia.

— Może się go spodziewacie?

— Nigdy w świecie!

— W takim razie zgubieni jesteście! — Czy mnie pani słyszysz? zgubieni!

— Cóż to znowu? Czemu mi mówisz pani?

— Jeśli go tutaj nie ma, jest to dowodem, że zbiegł z wojska.

— Jan?

Cofnęła się w tył, zachwiał się na nogach, jak gdyby upaść miała. W oczach jej się zaćmiło.

— Zbiegł z wojska?.. jesteście zgubieni? Co to wszystko znaczy? — Czy nie widzisz, że mnie zabijasz, takie mówisz rzeczy straszne! Czy to być może? Czy jesteś tego pewnym?

— Skoro go tutaj niema, inaczej wyraźnie nie jest. Wziął bilet do Russ-Hersbach — czy rozumiesz, co to znaczy Russ-Hersbach? W tej chwili już musi się znajdować po drugiej stronie granicy... Kiedy ci powtarzam, że już od trzech godzin Strassburg opuścił!

Tu wybuchnął śmiechem bólu i gniewu.

— Czy nie pamiętasz? Przyrzekł był matce, że się stawi w koszarach dnia 1 października. Dotrzymał słowa, które go już dziś wiązać przestało — i zbiegł z wojska. A teraz...

— Teraz co?

Lunia nie wątpiła już, zrzuciła wszystko. Piers jej wezbrała męką, złożyła w niemej prośbie załamane ręce. I oto skamieniałemu z bólu narzeczonemu powtórzyć musiała zapytanie:

— A teraz co?

Farnow do niepoznania zmieniony, jęknął tylko słabym głosem:

— Teraz nam rozstać się trzeba, rozstać na zawsze!

— Rozstać! — dlatego, że brat mój zbiegł z wojska?

— Nie inaczej.

— Ależ to szaleństwo!

— To powinność żołnierza.

— Alboż mnie nie kochasz wcale?

— Kocham, kocham z całej duszy!... Ale honor wojskowy już mi nie pozwala cię zaślubić! ...Zrozumieć to przecież musisz! Ja Farnow, ja pruski oficer, nie mogę się przecież żenić z siostrą dezertera!

— Przestań więc być oficerem, a kochaj mnie dalej! — wołała Lunia, wyciągając ręce ku narzeczonemu; — honor nakazuje ci przedewszystkiem pozostać wiernym Luni Oberle, nie opuszczać jej, nie zrywać z nią, nie łamać danego jej słowa, nie złamać jej życia! Zapomnij o moim bracie, niech idzie kędy chce! nie niszczyć tylko twego i mego szczęścia!

Farnow stał jak posąg nieruchomy. Zrazu nawet mówić nie był w stanie. Po chwili, siłą woli, naprężając wszystkie żyły jego karku, zdobył się na odpowiedź:

— Gorszych jeszcze dowiesz się rzeczy. — Jako oficer, mam obowiązek wydać twego brata!

— Tego nie uczynisz! — krzyknęła, cofając się Lunia. — Ja ci tego zabraniam!

— Za chwilę sam to uczynię. Prawo wojskowe mnie do tego przyniewala.

— To prawdą być nie może. Niema podobnie okrutnej ustawy.

— Zaraz się o tem przekonasz... — Hermann!

Przybliżył się ordynans, jeszcze cały zgrzany i ogłupiały szaloną jazdą.

— Uważaj, Hermann. — Powtórz mi dosłownie paragraf ustaw, stanowiących, co czynić wypada, kiedy się otrzymało wiadomość o zamierzonej dezercyi?

Żołnierz się wyprostował, i po chwili namysłu jął recytować z pamięci:

— „Ktobykolwiek, w sposób godzien wiary, powziął był wiadomość o zamiarze dezercyi, w chwili, kiedyby się jeszcze jej zapobiedz udać mogło, a nie uprzedził odnośnej władzy, karaym być winien aresztem dziesięciu-miesięcznym.

— Na koń! — rozkazał Farnow. — Czas nagli!

I zwrócił się do narzeczonej:

— Bądź zdrowa, Luniu!

Uchwyciła się jego ramienia.

— Nie, tak mnie nie odjedziesz, nie pożegnasz, nie chcę się z tobą rozłączyć!

Spojrzał przez chwilę jeszcze na tę śliczną twarz dziewczęcą, pełną miłości i bólu. Ona powtarzała: — Nie chcę! nie mogę!

Wtedy Farnow objął ją ramionami, uniósł w górę, przytulił do piersi, namiętnie ucałował te oczy, których już więcej widzieć nie miał i nie chciał. A po gwałtowności rozpaczliwej tego pożegnania Lunia zrozumiała, iż jest ono ostatniem ..

Odepchnął ją od siebie, pobiegł ku bramie, dosiadł konia i nie oglądając się za siebie, popędził w kierunku Obernai.

XVI.

Na pograniczu.

Mrok zapadał, a Jan nie był jeszcze wyszedł z niemieckich gąszczy. Wyczerpany znużeniem, spał na pościeli z mechu i igliwia, podczas gdy pan Ulryk czuwał, baczny na wszelkie nowe niebezpieczeństwa, jeszcze wzruszony temi, które już przebyli. Znajdowali się na polanie, co dopiero opuszczonej przez drwali, którzy przetrzebiali świerkowe zagajenia, ustawiając kopy gałęzi, tworzące teraz dokola zbiegów rodzaj niedostępnej warowni. Cisza panowała zupełna. Wiatr tylko, dmąc coraz silniej, ugiął drzewa zapowiedzią niedalekiej burzy.

Dwie godziny miały, odkąd p. Ulryk z siostrzeńcem znaleźli byli tu przygodną ochronę.

Gdy stanęli na Russ Hersbach, wuj Ulryk odrazu się pomiarkował, iż minęła już sposobna pora do zrzucenia munduru. Przebierając się teraz, Jan zwróciłby niechybnie na siebie czyjaś uwagę na tem pograniczu, rojącem się od szpiegów, kędy sameż kamienie mają uszy, a drzewa oczy. Rzucił tedy niecierpliwie walizkę na dorózkę, od kilku dni w Schirneck zamówioną:

— Potrzebaż się było tym ciężarem obarczać! — mruknał pod nosem. — Dostaniesz na piwo, ale nie żałuj koni!

Ruszyli przez wieś, dotarli szybko do Schirneck, aby stamtąd zagłębić się w jar, wiodący w górę ku Grand-Fontaine. Nic dotąd nie budziło obaw, tylko liczba mniemanych turystów dziwnie się jakoś wzmagala po drodze. To jedno już miało poważne znaczenie. Bo choć p. Ulryk zarzucił koc podróżny na jaskrawy mundur siostrzeńca, choć Jan siedział w głębi, przesłonięty podniesioną dorożki kapotą, niewątpliwie rozpoznali jasną kurtkę huzarską spotkani w Schirneck żandarmi, dostrzegli ją kamieniarze nad szosą, dojrzał i urzędnik celny, tak niby obojętnie kurzący lulkę u pierwszego rozdroża, wiodącego w góry. Pan Ulryk powtarzał sobie ustawicznie: — „Za chwilę alarm będzie dany! za chwilę stanie tu jaki żandarm lub strażnik, pytając, co tu robimy i kim jesteśmy.“ — Nie dzielił jednak swych obaw z Janem, upojonym teraz niebezpieczeństwem imprezy.

Dorożkarz, mimo uciążliwej drogi, szybko dotarł do Grand-Fontaine. Widniała już zdala ozłocona jesienią bujna zieleń buków, gdy konie stanęły tuż w pośrodku wsi, przy studni. Mogło być najwyżej kwadrans na trzecią. Tu wypadło podróżnym wysiąść, bo dalsza droga nie była już dla powozów przystępną.

— Możesz czekać w karczmie, dopóki nie wrócimy z naszej wycieczki — rzekł p. Ulryk do dorożkarza. — Nie żałuj koniom obroku, ani sobie wina mozelskiego. Za godzinę wrócimy.

Puścili się teraz ścieżką, łączącą Grand-Fontaine z ostatnią osadą podgórza, z wioską Minières.

Zaledwie uszli kilkaset metrów, aliści zoczyli schodzącego ku nim leśniczego z Mattbiskopf. Ubrany w kurtkę służbową i czapkę, zdązał jakoby na ich spotkanie.

P. Ulryk się potrochu zmieszał.

— Możeby lepiej później natknąć się na tego jegomościa Ruszajmy w las.

Zboczyli z drogi, zagłębiając się w gęstwinie nieprzebytej, która w każdym razie tysiączne dostarczała zachrony i skrytki. A czas był ostatni takowych szukać. Władza wojskowa strasburska zaalarmowała już była całą straż graniczną, telefonowano do stacyi w Grand-Fontaine, obwieszczając dezercyę Jana Oberle i polecając przychwytywanie zbiega. Acz leśny, który zaniepokoił pana Ulryka, na razie więcej się nie pojawił, tenże za pomocą starej z pod Jeny lunety zdala upatrywał jakiś ruch niezwykły a groźny. Zaroiło się niebawem w dolinie od żandarmów i strażników śpieszących w stronę lasu.

Na razie pościg nie dosięgnął zbiegów, ale ich zdala spostrzeżono. Więcej jak przez godzinę trwała istna naganka, zagradzająca dostęp do granicy. Przepędzani z jednego zagajenia w drugie, chroniąc się coraz to w inną gęstwinę, ocaleni zostali jedynie szczęśliwym pomysłem pana Ulryka, który w ostatniem niebezpieczeństwie, wraz z siostrzeńcem wpadł między ustawione kopy gałęzi, gdzie na razie uszli baczości żandarmów, którzy w inną podążyli stronę.

Jan teraz spał, a zmrok coraz gęstszy zapadał. Ciepły powiew zwiastował idącą nawałnicę. Zerwały się kruki z pobliskich drzew, a trzepotanie ich skrzydeł zbudziło p. Ulryka z przeciągłej zadumy, w którą go pogrążał widok uspionego w mundurze pruskiego kawalerzysty siostrzana,

który spoczywał tak smacznie na alzackiej ziemi. Cicho, ostrożnie, p. Ulryk wyjrzał nareszcie po za warownię galezi.

— Co tam widać, wuju? — spytał przebudzony szelestem młodzieniec.

— Ani na lekarstwo żandarma, ni strażnika. Omyliliśmy pościg. Ale z nimi zawsze należy się mieć na ostrożności. Czujesz-li w sobie dostateczny zapas odwagi?

— Przekonasz się o tem w przygodzie!

— Sądzę, że pościgu już nie będzie. Ale może nadeszła godzina...

Jał nasłuchiwać pilnie, nareszcie się odezwał:

— Czas ułożyć plan wojenny.

Wspięli się w górę, ponad stos ustawionych kopami galezi.

— Patrz ku zachodowi. Widzisz tam wioskę?

— Zapewne.

— Pomimo nocy i przymgleń jesiennych, dostrzedz musisz, iż las jest tam mieszany, pół świerków, pół buków.

— Domyślam się tego.

— Półkolem okrążymy wioskę, a gdy w dole staniemy, wystarczy ci zbiedz niecałe dwieście metrów, aby stanąć na ziemi francuskiej.

Jan nic zrazu nie odpowiedział.

— Oto miejsce, które dla ciebie upatrzyłem. Tam, opodal od Raon, Niemcy zagarnęli wszystkie lasy, podczas gdy Francyi zostawiono część wylesioną i nagą. I tam to właśnie rozciąga się łąka francuska, na której widnieje zdala jakaś opuszczona chata, bodaj jeszcze z przed wojny... Ja tedy naprzód wyruszę.

— Nie, wuju, puśćcie mnie pierwej.

— Ustąp, chłopcze, niebezpieczeństwo tu jest równe, z przodu czy z tyłu. A przecież muszę ci

służyć za przewodnika. Idę tedy pierwszy, unikamy ścieżek, a tobie nie zostaje, jak przebyć w pełnym biegu drogę, rzucić się w gąszcz, nie schodząc ani na włos z prostej linii. Za tym gąszczem rośnie już francuska trawa.

P. Ulryk uściskał teraz Jana. Nie chciał przeciągać pożegnania, aby się nie rozkładać w chwili, gdy im trzeba było wszystkie skupić siły.

— Chodźmyż!

Wysunęli się z ukrycia, wkroczyli w świerkowe zagajenie, gdzie jeszcze nie ostygł był całodzienny upał. Nie łatwo przychodziło im zstępować z góry, raz po raz potykali się to na obrosłych mchem kamieniach, to na opadłych gałęziach, to na śliskiej powierzchni igliwem zakrytej. Raz po raz przystawali też, nasłuchując zdala każdego szelestu. I Jan wtedy się odzywał:

— Omyliliśmy już na dobre poiseig, nieprawdaż?

— Cicho! jeszcze nie jesteśmy pewni wygranej!

Raz jeszcze musieli w górę się wspinać. Stanąwszy na szczycie jakoby wysuniętego Wogezów podwala, pan Ulryk przystanął, odetchnął pełnemi pierściami, wchłaniając swobodniejszy wiew, płynący teraz po przez rzadsze i młodsze drzewa, a niebaczny na niebezpieczeństwo zagadnął:

— Czujesz li zapach francuskich rżysk i ugorów?

Przed nimi rozciągała się niedostrzegalna wśród mroku równina. Znaczyły się tylko ciemniejszą jeszcze plamą, bądź nieruchome lasy stoków, bądź ruchome nad nimi obłoki.

Pan Ulryk zaczął schodzić jeszcze ostrożniej i uważniej niż poprzednio, podając baczne ucho

na najmniejszy szelest. Zerwał się nad nim puszczyk. Przyszło im przedzierać się przez tarninę, która czepiała się odzieży i wstrzymywała kroki. Wtem odezwał się głos w pobliżu:

— *Halt!*

Pan Ulryk położył rękę na ramieniu Jana, i szepnął zcicha:

— Nie waż mi się stąd ruszyć! przeciągnę ich za sobą w stronę wioski. Skoro tylko za mną w pogoń się puszcza, biegnij co żywo wprost przed siebie! Do widzenia!

Podniósł się, ostrożnie zrobił kilka kroków, zaczęł jął uciekać w oznaczonym kierunku.

Ten sam głos, teraz już dużo bliżej, po dwa-kroć zawołał:

— *Halt! Halt!*

Wystrzał karabinu rozświetlił smugą oguistą gęste nocy cienie.

Gdy huk przebrzmiał, zdala odezwał się głos p. Ulryka:

— Chybili!

Jednocześnie Jan Oberle rzucił się był ku granicy. Biegł, co sił starczyło, z pochyloną naprzód głową, nie bacząc na gałęzie, które smagały go wielitościwie wśród przedartej siłą gęstwiny. Przesunął się obok człowieka, widocznie ukrytego w zasadzce. Odezwał się wnet świst przeraźliwy. Jan przyspieszył biegu, pędem wypadł na drogę. W tej samej chwili zagrzmiął drugi wystrzał. Jan runął na ziemię. Zewsząd podniosły się krzyki, nawoływania:

— Trzymamy go! Łapaj! chwytaj!

Ale Jan już był powstał, mniemając, że się tylko pośliznął na krawędzi drogi. Skoczył w krzaki, uczył tylko dziwne naraz osłabienie, nogi mu nie dopisywały. Nawoływania tymczasem nie usta-

wały, przydając mu siłę, potęgując chęć ucieczki. Zakolysały się przed nim drzewa, doznał wrażenia wielkiej jakiejś światłości i wielkiego ochłodzenia, zaczem stracił przytomność.

Późno w nocy ją odzyskał. Budzi się z długiego omdlenia. Las cały miotany jest wichrem nawalności. Jan spoczywa w pustej, opuszczonej chacie, na posłaniu z świeżych gałązek. Latarka słabo rozświeca ogołoconą z sprzętów izdebkę. Ktoś się nad nim pochyla. Mija pierwsza chwila niepokoju i przestachu. Twarz to przychylna, twarz pocziwa.

— Czy padło więcej strzałów? — pyta Jan.

Odpowiedź w języku francuskim dana, uspokaja go odrazu:

— Żadnego później nie usłyszałem.

— Bogu dzięki. Wuj Ulryk uszedł cało!

Widzi, że mundur z niego zdjęto, że koszula krwią zbryzgana... Oddychać mu jakoś trudno...

— Co się ze mną dzieje? Co mi się stało?

Strażnik, człek starszy, o szpakowatym wąsie, który gotówby płakać, gdyby się tego nie wstydził, odpowiada na pytanie:

— Dostałeś kulą w ramię, mój chłopcze! — ale to nic! Na szczęście miałem z sobą towarzysza, który pobiegł po doktora.... O świcie tu przybędą... Nie smuć się, nie martw... Ktoś ty zacz?

Wyczerpany i senny Jan Oberle, odpowiada tylko:

— Alzacya

Zaledwie mówić może. Deszcz nawalny zaczyna siec po dachu, po liściach drzew, po skałach i górach i całym otoczeniu chaty. Wicher targa drzewami, które się chylą i podnoszą naprzemian,

jak morskie bałwany. Szmer i szum jakiś olbrzymi, złożony z milionowych głosów i odgłosów, podnosi się falą wśród pasma Wogezów i ciszę nocną wypełnia. Ranny, z wytężoną nasłuchuje uwagą. Czy zrozumiał? Wszystkie go siły odchodzą, a jednak uśmiech na białych jawi się wargach:

— To Francya śpiewa! — gasnącym odzywa się głosem.

I opada na posłaniu, i oczy zamyka, w oczekiwaniu jutrzeńki.

BIBLIOTEKA
UMCS
DUBLIN

